

CZERWONY LWIB



LAFADIO HEARN

Nr. 45

Stobbe/ps.

Handwritten text at the bottom of the page, possibly a signature or name, written in dark ink. The text is difficult to decipher due to its cursive style and the paper's condition.

LAFCADIO HEARN

115

CZERWONY ŚLUB

I INNE OPOWIADANIA

Wybrał i przetłumaczył z angielskiego

JERZY BANDROWSKI

WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”

BIBLIOTEKA GROSZOWA

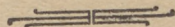
WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR LUDWIG FISZER

WYDAWCA, BIBLIOTEKA GROSZOWA

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11, m. 1.



Warunki Prenumeraty:

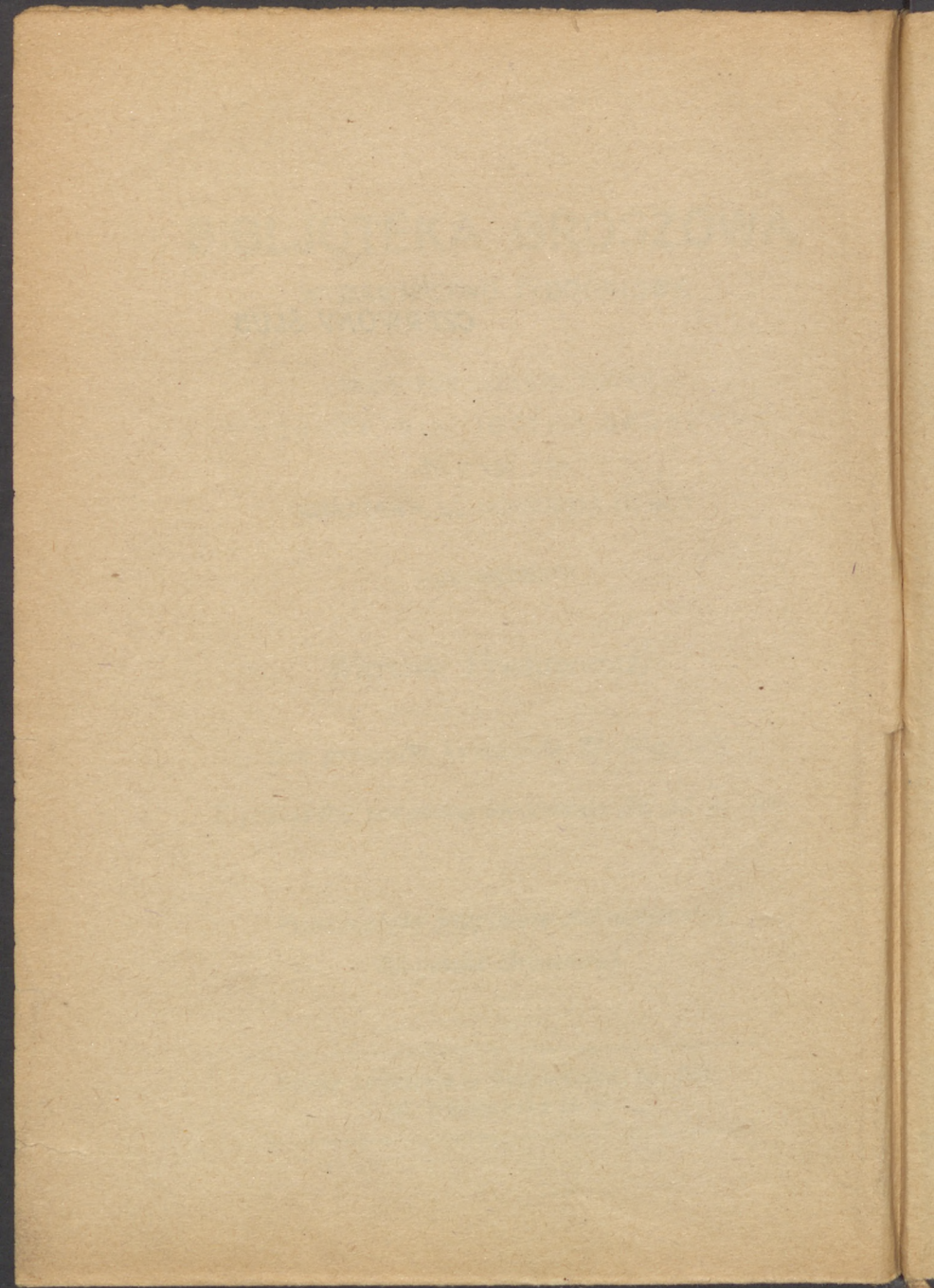
Bez przesyłki kwartalnie Zł. 9 gr. 95.

Z przesyłką pocztową kwartalnie Zł. 11 gr. 95.

*Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej.*

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc.
ul. Warszawska № 61.

CZERWONY ŚLUB



Mogłoby się na pierwszy rzut oka zdawać, że miłość ma w Japonji o wiele mniejsze znaczenie niż na Zachodzie; częściowo z powodu odmiennej budowy społeczeństwa na Wschodzie a także dzięki zawieraniu za pośrednictwem rodziców wczesnych małżeństw między dziećmi, co zapobiega wielu przykrościom.

Z drugiej strony samobójstwa z miłości nie są rzadkie, główną ich cechą jednakże jest, że ofiarą ich padają zwykle dwie osoby. Dodać też należy, że w większości są skutkiem grzesznej namiętności między bliskimi krewnymi. Oczywiście znajdują się też czcigodne i szanowne wyjątki, to jednak znaleźć można przeważnie tylko na prowincji. W takiej tragedji miłość rodzi się naraz często z najniewinniejszej a najnaturalniejszej w świecie przyjaźni między chłopcem a dziewczęciem, tkwiącej początkami w samym dzieciństwie nieszczęsnych ofiar.

Nawet wtenczas jednak między podwójnem zachodniem samobójstwem z miłości a japońskiem *dżo-zi* zachodzi bardzo ciekawa różnica. Samobójstwo wschodnie nie jest nigdy ślepym, gwałtownym odruchem szalu, pochodzącego z cierpienia. Jest nietylko zimne, metodyczne, ale także obrzędowe. Stanowi sposób zawarcia małżeństwa, którego certyfikatem

jest śmierć. Kochankowie zaślubiają się wzajemnie w obliczu bogów, piszą swe listy pożegnalne i umierają. I niema związku świętszego niż ten. Dlatego, gdyby się przypadkiem zdarzyło, skutkiem wdania się osób trzecich lub szybkiej a umiejętnej pomocy lekarza, że któraś z ofiar takiego samobójstwa uszłaby z życiem, obowiązkiem jej miłości i czci jest pozbawić się go przy najbliższej sposobności.

Gdyby oboje zostali uratowani, mogą żyć dalej. Lepiej jednak dopuścić się zbrodni, za którą grozi pięćdziesiąt lat więzienia, niż być mężczyzną, o którym wiadomo, że, ofiarowawszy się umrzeć z ukochaną dziewczyną, pozwolił jej powędrować do *Meido**) samotnie. Kobiecie, która swego ślubu nie dotrzymała, może się to częściowo przebaczyć, ale mężczyzna, który przeżył *dżoszi*, ponieważ mu w samobójstwie przeszkadzono, i który dlatego, że się mu to raz nie udało, pozwala sobie żyć dalej, do końca życia będzie uważany za krzywoprzysięcę, mordercę, nikczemnego tchórza, wyrodka.

Znałem taki wypadek — wolę jednak spróbować opowiedzieć miłosną tragedję skromnej pary kochanków w pewnej wiosce jednej ze wschodnich prowincyj Japonji.

I

Wioska ta leży na brzegu szerokiej, lecz bardzo płytkiej, rzeki, której kamieniste koryto pełne jest wody tylko podczas pory deszczowej. Rzeka ta płynie przez niezmierną równię pól ryżowych, otwartą ku północy i ku południowi, ale zamkniętą na zachodzie ścianą błękitnych wirchów, na wschodzie zaś łańcu-

*) *Meido* — japońskie zaświaty, odpowiadające greckim *Polom Elizejskim*. Przep. tłum

chem niskich, lesistych wzgórz. Od tych wzgórz było do wsi zaledwie pół mili przez pola ryżowe, a główny jej cmentarz, leżący przy świątyni budyjskiej, imienia bogini Kwannon-O-Jedenastu-Twarzach, znajduje się na najbliższem wzgórzu. Jako dobry punkt handlowy wioska nie jest nawet pozbawiona pewnego znaczenia. Oprócz kilkuset strzech chałup wieśniaczych, zbudowanych w zwykłym chłopskim stylu, posiada całą ulicę dwupiętrowych domów z zasobnemi sklepami a także i zajazdów, krytych piękną dachówką. Znajduje się tu też bardzo malownicza *udżigami*, to jest parafjalna świątynia wyznawców *Szińto*, poświęcona Bogini Słońca i ukryta w gąszczu marwowem ładna kapliczka Bóstwa Jedwabników.

W tej wsi, siódmego roku ery Meidzi, w domu niejakiego Uczidy, farbiarza, urodził się chłopiec, któremu dano imię Taro. Dzień jego urodzenia był *akuniczi*, to znaczy feralny — siódmy dzień ósmego miesiąca według starodawnego Kalendarza Księżyców. Rodzice jego, ludzie starej daty, martwili się i gryźli z tego powodu, ale współczujący z nimi poczciwi sąsiedzi starali się wytłumaczyć im, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ponieważ, na rozkaz Cesarza, Kalendarz zmieniono, skutkiem czego, według nowej rachuby czasu, urodziny chłopca wypadają na dzień *kicu-niczi* czyli szczęśliwy.

Perswazje te dodały stroskanym rodzicom trochę otuchy, mimo wszystko jednak, kiedy zanieśli dziecko do „*udżigami*”, to złożyli bogom w ofierze wielką latarnię papierową, błagając ich z całej duszy, aby trzymali zdala od głowy chłopca nieszczęścia. *Kannuszi* — co znaczy kapłan — odmówił starodawne zaklęcia, o jakie go proszono, powachlował świętą *gohei**) nad małą, ogoloną główką i poświęcił mały amulet, który

*) *Gohei* — coś w rodzaju stopy.

dziecię miało nosić na szyi, poczem rodzice zanieśli dziecko do świątyni Kwannon na wzgórzu, a złożwszy tam znowu ofiary, modlili się do wszystkich Buddów o opiekę nad swym pierworodnym.

II

Kiedy Taro miał sześć lat, rodzice postanowili posyłać go do nowej szkoły normalnej, zbudowanej w niewielkiej odległości od wsi. Dziadek Taro kupił mu kilka pędzelków do pisania, trochę papieru, książkę i tabliczkę i, wzięwszy go pewnego dnia wczesnym rankiem za rączkę, poprowadził do szkoły. Taro był uszczęśliwiony, raz dlatego, że tabliczką i innymi nowymi rzeczami cieszył się, jak nowymi zabawkami, a powtóre—ponieważ wszyscy mu mówili, że szkoła to bardzo przyjemne miejsce, w którym będzie miał mnóstwo czasu na zabawę. Prócz tego matka obiecała mu dużo ciasteczek, jak wróci do domu.

Gdy przyszli do szkoły — wielkiego, dwupiętrowego budynku ze szklanymi oknami — pedel wprowadził ich do wielkiej, pustej sali, w której za pulpitem siedział jakiś poważny pan. Dziadek Taro złożył mu niski pokłon i, nazywając go Sensei, uniżenie i pokornie prosił, aby raczył zająć się nauką jego małego towarzysza. A wówczas Sensei powstał, nawzajem złożył niski pokłon, i zaczął uprzejmie ze starszym rozmawiać. Nadmiar wszystkiego położył swą rękę na głowie Taro i mówił o wielu pięknych rzeczach.

Ale Taro ogarnął naraz przestraszony, a kiedy dziadek powiedział mu: „Dowidzenia!“ i odszedł, zaczął się bać jeszcze bardziej i najchętniej uciekłby do domu. W tej chwili nauczyciel wziął go za rękę, zaprowadził do wielkiej, wysokiej, białej sali, pełnej dziewcząt i chłopców, siedzących na ławkach, wska-

zał mu miejsce i kazał mu usiąść. Dziewczęta i chłopcy zwrócili głowy w jego stronę i, szepcząc coś, śmiali się. Taro pomyślał, że to z niego tak się śmieją i zrobiło mu się bardzo przykro.

W tej chwili rozległ się dźwięk wielkiego dzwonu, nauczyciel, który zajął swe miejsce na wysokim gradusie w drugim końcu sali, nakazał ciszę tak surowym głosem, że Taro znów ogarnęło przerażenie.

Wszyscy ucichli a nauczyciel zaczął mówić.

Taro myślał, że jego słowa są groźne.

Nie mówił wcale o tem, jakoby szkoła była tak przyjemnem miejscem, przeciwnie, tłumaczył uczniom i uczennicom, że to nie miejsce zabaw, lecz ciężkiej pracy. Mówił, że nauka to rzecz bardzo trudna i męcząca, oni jednak muszą uczyć się bez względu na wysiłek i trudności. Wyliczył prawidła, do których obowiązani są stosować się, nie zapominając o karach za nieposłuszeństwo i niedbalstwo. A kiedy już wszyscy, przejęci zgrozą, siedzieli jak trusie, zmienił naraz sposób mówienia i zaczął mówić do nich, jak kochający ojciec — obiecując im kochać je, jak własne dzieci. Potem opowiedział im, jak to ta szkoła została zbudowana z łaskawego polecenia Jego Cesarskiej Mości, aby z chłopców i dziewcząt tego kraju zrobić rozumnych mężczyzn i dobre kobiety i jak bardzo dzieci powinny kochać swego Cesarza, pamiętając, iż szczęściem jest oddać za Niego życie. Przypominał im też, jak powinny kochać swych rodziców, z takim trudem zdobywających środki na ich wykształcenie, wykazując, jakim grzechem i jak wielką niewdzięcznością byłoby lenistwo podczas godzin szkolnych. A wówczas zaczął uczniów i uczennice wywoływać po nazwisku, egzaminując ich, czy zrozumieli to, co mówił.

Taro słyszał tylko część przemówienia nauczyciela. Jego mała duszyczka wciąż jeszcze pochłonięta była

tem, że kiedy wszedł do klasy, śmiały się wszystkie dziewczęta i wszyscy chłopcy. Tajemnicza przyczyna tego była dla niego tak bolesna, że nie mógł o czym innym myśleć, wobec czego nie był też zupełnie na pytanie nauczyciela przygotowany.

— Uczida Taro, co lubisz najbardziej na świecie?

Taro zląkł się, wstał i odpowiedział szczerze:

— Ciastka!

Znowu wszyscy zwrócili się ku niemu i uśmiechnęli się, a nauczyciel rzekł z wyrzutem:

— Uczida Taro, czy wolisz ciastka od rodziców? Uczida Taro, czy przekładasz ciastka nad swój obowiązek wobec Jego Majestatu, naszego Cesarza?

Wtedy dopiero Taro pojął, że popełnił jakieś wielkie głupstwo. Zrobiło mu się gorąco, wszystkie dzieci zaczęły się śmiać, a on się rozplakał. To pobudziło je do jeszcze większego śmiechu, tak, że śmiały się póki nauczyciel nie nakazał im być cicho. A wówczas zwrócił się z tem samem pytaniem do następnego ucznia. Taro zakrył oczy rękawami i szlochał.

Zadzwoniono.

Nauczyciel oświadczył dzieciom, że następna godzina będzie poświęcona nauce pisania pod kierunkiem drugiego nauczyciela, a tymczasem pozwolił im wyjść i pobawić się trochę. To rzekłszy wyszedł, a wszystkie dzieci wybiegły na dziedziniec, nie zwracając najmniejszej uwagi na Taro. To zupełne lekceważenie przynębiło dziecko jeszcze bardziej niż skierowana na niego niedawno powszechna uwaga. Usiadłszy znowu na niskiej ławeczce, płakał i płakał, starając się jednak wszelkiemi siłami, by dzieci, usłyszawszy płacz, nie powróciły i nie zaczęły się znowu z niego naśmiewać.

Wtem ktoś położył mu na ramieniu rękę; odezwał się czyjś łagodny głosik. Odwróciwszy głowę ujrzał

przed sobą parę najśłodszych oczu, jakie kiedykolwiek widział — oczu małej dziewczynki, może o rok starszej od niego.

— Cóż ci jest? — zapytała go łagodnie.

Taró przez dłuższą chwilę łkał i płakał, aż wreszcie odpowiedział:

— Jest mi tu bardzo źle. Chcę iść do domu.

— Dlaczego? — pytała dalej dziewczynka, objawszy go jedną ręką za szyję.

— Wszyscy mnie tu niecierpią; nikt nie chce się do mnie odezwać ani bawić się ze mną.

— O, wcale nie! — zawołała dziewczynka — dlaczegoż miałoby cię niecierpieć. To wszystko tylko dlatego, że jesteś nowy. Jak przyszedłam pierwszy raz do szkoły zeszłego roku — było ze mną to samo. Nie trzeba się zaraz obrażać.

— Ale kiedy wszyscy się bawią a ja tu muszę siedzieć sam! — protestował Taro.

— O, nie, wcale nie musisz. Powinieneś wyjść, pobawić się trochę. Ja się z tobą będę bawiła. Chodź!

Taró znowu się głośno rozplakał. Żal, wdzięczność i radość z powodu doznanego współczucia tak przepelnily jego małe serduszko, że nie mógł nad niem zapanować. Jak to przyjemnie płakać i być pieśczoneym.

Ale dziewczynka zaśmiała się tylko i czem prędzej wyprowadziła go na podwórze, ponieważ jej mała macierzyńska duszyczka wszystko rozumiała.

— Rozumie się, jak chcesz — możesz sobie płakać! — mówiła. — Ale musisz się też bawić.

Jakże się świetnie bawili.

Ale po nauce, kiedy dziadek Taro przyszedł po niego, Taro znowu zaczął płakać, ponieważ koniecznie chciał się pożegnać ze swą małą koleżanką.

Dziadek roześmiał się i zawołał:

— Któż ci broni? A, to mała Joszil Mijahara O-Joszil Joszi może nas odprowadzić do domu i wstąpić na chwilę. To jej po drodze.

W domu zjedli razem obiecane Taro ciasteczka. A O-Joszi, naśladując surową minę nauczyciela, zażyła złośliwie:

— Uczida Taro, czy wolisz ciasteczka ode mnie?

III

Ojciec O-Joszi miał w pobliżu wioski majątek ziemski a prócz tego w samej wiosce posiadał sklep. Matka, ze szlacheckiej rodziny, adoptowana przez rodzinę Mijaharów w czasie zniesienia kasty rycerskiej*) powiła kilkoro dzieci, z których jednak przy życiu została najmłodsza O-Joszi. O-Joszi straciła matkę jeszcze jako małe dziecko.

Mijahara, choć już niepierwszej młodości, ożenił się po raz drugi, wzięwszy za żonę córkę jednego ze swoich dzierżawców — młodą dziewczynę, nazwiskiem Ito O-Tama. Smagła jak miedź była jednak uderzająco ładną dziewczuchą wiejską, rosła, mocna i żywa. Mimo to związek ten był dla wszystkich niespodzianką, ponieważ O-Tama nie umiała ani czytać, ani pisać. Zdziwienie zmieniło się w powszechny śmiech, kiedy się dowiedziano, iż ta młoda żona, prawie od chwili, jak próg nowego swego domu przekroczyła, wszystko wzięła w swe ręce. Wkrótce jednak sąsiedzi, poznawszy O-Tamę lepiej, przestali się śmiać z uległości jej męża. Znacznie lepiej od niego rozumiała się na interesach, dbała o najmniejszą rzecz i tak zręcznie kierowała jego sprawami, że w przeciągu niecałych dwóch lat podwoiła jego dochody. Okazało się, że

*) Słynna „Wielka Reforma“, połączona równocześnie z bezwzględnie przeprowadzoną reformą, która unicestwiła stan rycerski i wyzwoliła wieśniaka japońskiego z poddaństwa.

Mijahara znalazł żonę, która potrafi zrobić go bogatym. Jako macocha nie była dokuczliwą nawet po urodzeniu pierwszego syna. Nie zaniedbywała O-Jo-szi i regularnie posyłała ją do szkoły.

Dzieci chodziły jeszcze do szkoły, gdy raptownie stała się rzecz dawno wprawdzie spodziewana, lecz dziwna. Nigdy niewidziani, wysocy ludzie z czerwonymi włosami i brodami — cudzoziemcy z Zachodu — wkroczyli do doliny z wielką liczbą japońskich robotników i zaczęli budować linię kolejową. Biegła ona u podnóża łańcucha niskich wzgórz poza polami ryżowymi i gajem morwowym za wsią. W miejscu, gdzie tor kolejowy przecinał starą drogę, prowadzącą do świątyni Kwannon, wybudowano małą stację, a na wielkiej białej tablicy, umieszczonej nad peronem, chińskimi charakterami wymalowano nazwę wsi. Następnie zbudowano równoległą do toru kolejowego linię telegraficzną — a wreszcie pojawiły się pociągi. Biegły, gwizdały, zatrzymywały się, znów biegły naprzód — że posążki Buddów na starym cmentarzu ledwo się trzymały na swych cokółkach.

Dzieci ze zdumieniem przyglądały się dziwnej, równej drodze, z jej podwójnymi, żelaznymi świecącymi szynami, lecącymi ku północy i na południe i ginącymi w tajemniczej dali. Przerażenie ogarniało je na widok ryczących, gwizdzących i dymiących pociągów, podobnych do niosących burzę smoków a lecących z takim hukiem, że aż ziemia drżała. Po strachu nastąpiła ciekawość i zainteresowanie — zainteresowanie, które wzrosło jeszcze, gdy jeden z ich nauczycieli narysował im na tablicy maszynę i pokazał im jej części składowe, wytłumaczył im jeszcze bardziej zdumiewające funkcjonowanie telegrafu i wyłożył im, jak to teraz stolica zachodnia i święte miasto Kioto są ze sobą połączone linią kolejową i telegraficzną, tak że podróż z jednego miasta do drugiego

nie trwa nawet całych dwóch dni, zaś wiadomości można przesyłać w przeciągu kilku sekund.

Taro i O-Joszi przyjaźnili się serdecznie. Razem się uczyli, bawili, odwiedzali się. Ale kiedy O-Joszi skończyła jedenaście lat, wzięto ją ze szkoły, aby mogła macosze pomagać w gospodarstwie, skutkiem czego Taro widywał ją już rzadziej. W czternastym roku życia skończył szkołę i zaczął pracować w sklepie swego ojca. Przyszły nieszczęścia. Matka, obdarzywszy go małym braciśkiem, umarła, a tegoż samego roku umarł dobry, stary dziadek, który go pierwszy zaprowadził do szkoły. Po tych dwóch nieszczęściach świat nie był już w jego oczach tak piękny, jak dawniej. Zresztą nic się w jego życiu do siedemnastu lat nie zmieniało. Od czasu do czasu bywał w domu Mijahary i rozmawiał z O-Joszi. Wyrosła już na smukłą, ładną pannę, ale dla niego była zawsze tylko wesołą towarzyszką zabawy z minionych, szczęśliwych dni.

IV

Pewnego pogodnego wiosennego dnia Taro uczył się dziwnie osamotnionym, wobec czego przyszło mu na myśl, że może dobrze byłoby zobaczyć się z O-Joszi. Prawdopodobnie w pamięci jego istniał wciąż stały związek między uczuciem osamotnienia wogóle a jego pierwszym dniem w szkole w szczególności. Bądź co bądź coś w nim — wspomnienie miłości matki czy może innego zmarłego — domagało się odrobiny czułości a pewny był, że tę czułość u O-Joszi znajdzie.

Tak więc skierował się do małego sklepu. Kiedy się do niego zbliżał, usłyszał jej śmiech, brzmiały przedziwnie słodko. A potem ujrzał ją, jak obsługiwała starego wieśniaka, który zdawał się być bardzo zadowolony i gawędził gadał wie.

Trzeba było poczekać chwilę. Taro uczuł się nie-
mile dotknięty tem, że nie może odrazu przystąpić
do O-Joszi i mieć ją tylko dla siebie, ale już to samo,
że znajduje się w pobliżu jej, przyniosło mu pewną
ulgę. Patrzył na nią, patrzył i naraz zdziwił się, że
nigdy jeszcze nie pomyślał o tem, jaka ona jest ładna.

Była istotnie bardzo ładna. Ładniejsza od wszy-
stkich dziewcząt we wsi.

Patrzył na nią i dziwił się, a ona z każdą chwilą
piękniała mu w oczach.

Dziwna to była rzecz. Nie mógł tego zrozumieć.

Zaś O-Joszi, pierwszy raz w życiu, była jakby
zmieszana tem poważnem spojrzeniem i zarumieniła
się aż po koniuszki swych małych uszu.

A wówczas Taro zrozumiał odrazu, że ona jest
najpiękniejsza na całym świecie, najśodsza, najlepsza
i że koniecznie musi jej to powiedzieć. I złość go
nagle ogarnęła na starego wieśniaka, który gadał
i gadał z O-Joszi jakgdyby ona była pierwsza lepsza.
Cały świat zmienił się w przeciągu kilku minut dla
Taro, ale on o tem nie wiedział. Wiedział tyle tylko,
że od czasu, kiedy ostatni raz widział O-Joszi,
ona stała się wprost boska. I jak tylko nadarzyła się
wreszcie sposobność, opowiedział jej wszystko o swem
szalonem sercu, a ona wszystko jemu o swoim.

Zdumienie ich ogarnęło, gdy spostrzegli, że myśli
ich są te same.

A to było początkiem nieszczęścia.

V

Stary wieśniak, którego Taro widział rozmawiają-
cego z O-Joszi, był w tym sklepie nie tylko dla za-
łatwienia sprawunków. Trudniąc się rolnictwem, był
też zawodowym *nakodo*, to znaczy swatem, i w tym
wypadku działał na skutek bogatego handlarza ry-
żem, nazwiskiem O-Kazaki Jaicziro. O-Kazaki zauwa-

żył O-Joszi, która mu się spodobała, wobec czego zawezwał do siebie *nakodo* i polecił mu wywiedzieć się wszystkiego o niej i o jej rodzinnych stosunkach.

Bardzo nie lubiany przez wieśniaków a nawet przez swych najbliższych sąsiadów we wsi był ten O-Kazaki Jaicziro. Starszy już człowiek, otyły, gburowaty, o twardych rysach twarzy, krzykliwy, zachowywał się szorstko, niegrzecznie. Mówiono, że jest złośliwy. Wiedziano, iż z powodzeniem spekulował na ryżu podczas pewnego okresu głodu, co wieśniacy uważają za zbrodnię, której nigdy nie wybaczą. Nie pochodził z tych stron i nie miał tu żadnych krewnych. Osiemnaście lat temu przybył tu z któregoś z zachodnich dystryktów wraz z żoną i dzieckiem. Żona jego od dwóch lat już nie żyła, zaś jedyny syn, podobno bardzo źle traktowany, zniknął nagle i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Krążyły też o nim i inne, wcale niepochebne, historie. Między innymi opowiadano sobie, że w jego rodzinnej, zachodniej prowincji rozwścieczony tłum spłądował jego dom i magazyny, a sam O-Kazaki musiał życie ratować ucieczką. Druga plotka głosiła, iż w dzień ślubu musiał wydać bankiet dla boga *Dżizo*.

W niektórych prowincjach dotychczas jeszcze panuje zwyczaj urządzania—z okazji ślubu niepopularnego *farmera*—bankietu dla boga *Dżizo*.

Banda nieokrzesanych parobków przemocą wdiera się do domu, niosąc kamienną figurę bóstwa, pożyczoną z gościńca lub z któregoś z sąsiednich cmentarzy. Za nimi wali zbitym tłumem cała gmina. Figurę ustawia się na środku świetlicy, poczem nieproszeni goście domagają się natychmiastowych obfitych ofiar w żywności i *saké**). Stanowi to, oczywiście,

*) *Saké*—wódka z prosa, zresztą słaba, ulubiona w Japonji i podawana przeważnie na gorąco. W znaczeniu japońskim jest to „wino”.

obfitą ucztę dla nich, której jednak odmówić byłoby nadzwyczaj niebezpiecznie. Wszystkich tych nieproszonych gości musi się obsługiwać póki oni nie będą w stanie już ani jeść, ani pić. Zmuszenie ziemianina do wydania takiej uczyty jest nietylko publiczną naganą, ale także trwałem publicznem napiętnowaniem.

I otóż na stare lata ten O-Kazaki postanowił pozwolić sobie na zbytek, jakim jest młoda i ładna kobieta.

Jednakże, mimo swego bogactwa, nie mógł jakoś zaspokoić swego pragnienia tak łatwo, jak to sobie wyobrażał. Niektóre rodziny osadzały jego zapędy na miejscu, dyktując mu niemożliwe do przyjęcia warunki. Wójt odpowiedział — mniej grzecznie — że wydałby swą córkę raczej za *oni* (djabła), niż za niego. I handlarz ryżem musiałby szukać żony chyba w innym dystrykcie, gdyby, po tych wszystkich niepowodzeniach, nie zauważył przypadkiem O-Joszi. Dziewczyna bardzo mu przypadła do gustu, a sądząc, że rodzina jej jest uboga, był pewny, że, za cenę jakichś ustępstw, dostanie ją bez trudu. Wobec tego starał się rozpocząć za pośrednictwem *nakodo* pertraktacje z rodziną Mijahara,

Macocho O-Joszi, aczkolwiek wieśniaczka i kobieta, nie posiadająca żadnego wykształcenia, bynajmniej nie była głupia. Wprawdzie nigdy nie kochała swojej pasierbicy, była jednak zbyt rozumna, aby się nad nią pastwić bez przyczyny. Co więcej, O-Joszi w niczem jej nie przeszkadzała. Była robotnicą wytrwałą, posłuszną, łagodną i bardzo pożyteczną w domu. Jednakże ta sama trzeźwa przebiegłość, która uznawała zasługi O-Joszi, oceniała też należycie wartość dziewczęcia na rynku małżeńskim. O-Kazaki nigdyby nie przypuścił, że ma tu do czynienia z kimś znacznie od siebie chytrzejszym. O-Tama знаła większą część jego historii. Miała do-

kładne dane o jego majątku. Nietajne jej były wszystkie jego daremne konkury, tak we wsi, jak i poza wsią. Zdawało się jej, że piękność O-Joszi, mogła zbudzić prawdziwą namiętność, a wiedziała, że namiętność starszych ludzi w większości wypadków nie trudno wykorzystać. O-Joszi nie była nadzwyczaj piękna, ale, przymilna, była naprawdę ładną i pełną wdzięku dziewczyną i O-Kazaki musiałby zjeździć dużo kraju, aby znaleźć podobną do niej. Gdyby on nie chciał dobrze zapłacić za przywilej poślubienia takiej żony, O-Tama знаła młodszych mężczyzn, którzy nie kładliby tamy swej szczodrości. O-Kazaki mógł ożenić się z O-Joszi, ale nie za byle jaką cenę. Jego zachowanie się po pierwszej odmowie okaże jego zamiary w należytem świetle. Jeśli jest naprawdę zakochany, będzie go można zmusić do uczynienia więcej, niż byłby zdolny zrobić którykolwiek mieszkaniec dystryktu. Z tego powodu bardzo ważną rzeczą było oszacowanie prawdziwej siły jego uczucia, bez zwracania uwagi O-Joszi. Ponieważ reputacja swata zależy w zupełności od jego zawodowego milczenia, nie było obawy, aby on mógł sekret wydać.

Kierunek polityki rodziny Mijahara został wytknięty podczas narady ojca O-Joszi z macochą. Stary Mijahara ani na chwilę nie miał zamiaru sprzeciwiać się planom swej żony; zato ona pierwsza pośpieszyła uprzedzić go, że ten ślub będzie dla jego córki pod wielu względami korzystny. Omówiła z nim razem wszystkie finansowe korzyści związku, wykazała, że niektóre punkty nie są pozbawione przykrego ryzyka, że jednakże można temu zaradzić przez nakłonienie O-Kazaki do pewnych ustępstw zasadniczych. Wówczas dopiero nauczyła małżonka jego roli. Podczas pertraktacji należy ośmielać Taro do składania częstych wizyt. Wzajemna skłonność młodych ku sobie nie była niczem innym jak tylko pajaczną uczu-

cia, łatwą do usunięcia każdej pożądaney chwili—a na razie można się było nią posługiwać. Fakt, iż O-Kazaki dowiedziałby się o przystojnym, młodym rywalu, mógł tylko korzystnie wpłynąć na przyśpieszenie pożądaneych postanowień.

Dla tych to przyczyn stało się, że, kiedy ojciec Taro, pierwszy w imieniu syna, poprosił o rękę O-Joszi, ani mu nie odmówiono, ani oświadczyn ostatecznie nie odrzucono. Jedyńą rzeczą, jaką bezpośrednio przeciw związkowi wysunięto, była uwaga, iż O-Joszi była o cały rok starsza od Taro, i że takie małżeństwo nie zgadzałoby się z przyjętymi zwyczajami—co było zupełnie słuszne. Był to jednakże zarzut bardzo słaby i wysunięty naprzód właśnie dzięki swej wątpliwości.

Równocześnie zaś pierwsze kroki O-Kazakiego potraktowano tak, aby mu dać do poznania, że się w jego szczerłość nie wierzy. Małżonkowie Mijahara udawali, że zupełnie nie wiedzą o co swatowi idzie. Byli głusi nawet na najprostsze wyjaśnienia, dopóki O-Kazaki nie wpadł na myśl wystylizowania czegoś, co uważał za ponętą propozycję. Wówczas stary Mijahara oświadczył, że odda rzecz do rozpatrzenia żonie i zgodzi się na jej decyzję.

O-Tama objawiła swą decyzję, odrzucając natychmiast propozycję z wszelkimi pozorami wzdargliwego zdumienia. Mówiła mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Był raz pono człowiek, który chciał zdobyć piękną żonę za bardzo niską cenę. Wreszcie znalazł piękną kobietę, która twierdziła, że nie jada więcej jak dwa ziarnka ryżu dziennie. Wobec tego ożenił się z nią, a ona istotnie nie brała w usta nic więcej, jak dwa ziarnka ryżu dziennie i on był bardzo szczęśliwy. Ale pewnej nocy, wróciwszy z podróży, zaczął ją w tajemnicy podglądać przez dziurkę w strychu i zauważył, że ona je potwornie—pożerając całe stopy ryżu

i ryb i wkładając całą żywność w dziurę na szczycie głowy pod włosami. Wtedy dopiero zrozumiał, że ożenił się z upiorem (Jama-Omba).

O-Tama miesiąc czekała na wynik swej odmowy — i czekała z całą wiarą, wiedząc jak wyimaginowana wartość zyskuje na cenie skutkiem przeszkód, jakie się pojawiają na drodze do jej zdobycia. Aż wreszcie, jak się tego spodziewała, swat znowu się zjawił. Tym razem O-Kazaki nie traktował ich tak bardzo zgóry jak przedtem; powiększył swoją pierwszą ofertę a nawet zaryzykował kilka kuszących obietnic. Wtedy zrozumiała, że zupełnie ma go już w swoich rękach. Jej plan kampanji nie był bynajmniej skomplikowany, lecz ugruntowany na głębokiej, instynktownej znajomości gorszej strony natury ludzkiej; dlatego była pewna powodzenia. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość; prawne kontrakty z różnemi kruczkami to pułapki na ludzi prostych. O-Kazaki, chcąc dostać O-Joszi, musiał poświęcić niemałą część swego majątku.

VI

Ojciec Taro, szczerze pragnął małżeństwa syna z O-Joszi i próbował uregulować sprawę na zwykłej drodze. Niemożność otrzymania od Mijahary określonej odpowiedzi bardzo go zdziwiła. Był wprawdzie prostym, naiwnym człowiekiem, umiał jednak od czuwać ludzi i nadzwyczajnie grzeczny sposób postępowania O-Tamy, której nigdy nie lubiał, wzbudził w nim podejrzenie, że wogóle niema się tu czego spodziewać. Przyszło mu na myśl, że powinien podzielić się swemi podejrzeniami z Taro, co miało ten rezultat, iż chłopak rozchorował się i dostał gorączki. Ale macocha O-Joszi nie miała zamiaru doprowadzenia Taro do rozpaczcy w tak wczesnem sta-

djum swej intrygi. Podczas jego choroby posyłała mu uprzejme pozdrowienia, a jeden raz list O-Joszi, który — jak tego właśnie się spodziewała — ożywił wszystkie jego nadzieje. Po wyzdrowieniu, Mijahara przyjął go uprzejmie i pozwolił mu rozmawiać z O-Joszi w sklepie. O wizycie jego ojca nie wspominał jednak ani słowem.

Kochankowie mieli też często możność spotykania się w podwórzu *udzigami*, dokąd O-Joszi przychodziła często z najmłodszym dzieckiem swej macochy. Nawet w tłumie piastunek, dzieci i młodych matek mogli zamienić parę słów, nie obawiając się plotek. Przez cały miesiąc nadziejom ich nie wymierzono żadnego ciosu, gdy nagle O-Tama uczyniła ojcu Taro nieprawdopodobny i niemożliwy do przyjęcia układ pieniężny. Uchyliła już trochę maski, ponieważ O-Kazaki miotał się dziko w sieci, jaką mu zastawiła, a z gwałtowności jego szamotań się wnioskowała, iż koniec jest już niedaleki. O-Joszi wciąż jeszcze nie wiedziała co się działo, miała jednak powody obawiać się, że nigdy żoną Taro nie będzie. Schudła trochę i zmizerniała.

Pewnego poranku Taro wziął swego małego braciszka i udał się z nim do podwórza świątyni w nadziei, iż znajdzie tam sposobność pogawędzenia z O-Joszi.

Istotnie spotkali się.

A wtedy on jej oświadczył, że go zaczyna ogarniać trwoga.

Mały drewniany amulet, który swego czasu matka zawiesiła mu na szyi gdy był jeszcze dzieckiem, rozpekł się na dwoje.

— To wcale nie jest złowróżbnym znakiem — mówiła O-Joszi — to tylko dowód, że łaskawi bogowie opiekują się tobą. We wsi była przecież epidemia. I ty zachorowałeś na febrę, ale wyzdrowiałeś.

Poświęcony amulet ochronił cię — ale też dlatego pękł. Idź zaraz do *kannuszi* i powiedz mu — da ci natychmiast inny.

Ponieważ oboje byli bardzo nieszczęśliwi, a nigdy nikomu nic złego nie zrobili, zaczęli filozofować nad sprawiedliwością świata.

Taro mówił:

— Być może żeśmy się nienawidzili w przeszłym życiu. Być może ja nie byłem dobry dla ciebie lub też ty nie byłaś dobrą dla mnie. A oto nasza kara. Tak mówią kapłani.

O-Joszi odpowiadała jakby z cieniem swej dawnej żartobliwości:

— Zatem ja byłem wówczas mężczyzną a ty byłaś kobietą. Ja cię bardzo, bardzo kochałem, ale ty byłaś dla mnie bardzo niedobra. Doskonale sobie wszystko przypominam.

— Nie jesteś Bozacu — odpowiedział Taro, uśmiechając się wbrew swemu zmartwieniu — dlatego nic nie możesz pamiętać. Tylko w dziesięciu pierwszych stanach Bozacu możemy zacząć przypominać sobie.

— Skąd wiesz, że ja nie jestem Bozacu?

— Jesteś kobietą, a kobieta nie może być Bozacu.

— A czy Kwan-dze-on Bozacu nie jest kobietą?

— To prawda. Ale Bozacu nie może kochać nic, prócz Kijo.

— A czy Szaka*) nie miał żony i syna? Czyż ich nie kochał?

— I owszem. Ale wiesz, że musiał rodzinę opuścić.

— I to było bardzo nieładnie, choćby nawet zrobił to Szaka. Ale ja w te historie nie wierzę.

*) Budda. Przep. tłum.

— A czy ty, gdybyś mnie mógł dostać, opuściłbyś mnie?

Tak rozmawiali i spierali się, śmiejąc się często: tak miło było być razem. Nagle dziewczyna znowu spoważniała i rzekła:

— Słuchaj! Miałam dziś sen. Widziałam dziwną jakąś rzekę i morze. Stałam zdaje mi się nad brzegiem rzeki, tuż u jej ujścia do morza. I tak się bałam, tak się bardzo bałam, a nie wiem czemu. Naraz patrzę i widzę, że niema wody w rzece, niema wody w morzu, a są tylko kości Buddy. Ale ruszają się wszystkie jak woda.

A potem znowu zdawało mi się, że jestem w domu i że dałeś mi wspaniałą jedwabną materjał na kimono i że to kimono już uszyto. Włożyłam je. Ale wtenczas znowu się zdziwiłam, ponieważ na pierwszy rzut oka różnobarwne, teraz było zupełnie białe, a ja, głupiutka, ułożyłam je na sobie tak, jak się układa suknie umarłych, na lewo. Tak udałam się do domów wszystkich moich krewnych i znajomych, aby się z nimi pożegnać, i mówiłam im, że odchodzę do *Meido*, zaś oni wszyscy pytali mnie dlaczego, a ja nie mogłam im odpowiedzieć.

— To bardzo dobrze! — odpowiedział Taro — doskonale, jak się komu śni śmierć! Być może, że to zapowiedź naszego bliskiego ślubu.

Tym razem dziewczyna nie odpowiedziała i nawet się nie uśmiechnęła.

Taro milczał przez chwilę a potem dodał:

— Jeżeli myślisz, Joszi, że to sen niedobry, opowiedz o nim szeptem wszystkim roślinom *nauten* w ogrodzie i wtedy z pewnością się nie spełni.

Ale wieczorem tegoż samego dnia ojca Taro zawiadomiono, iż Mijahara O-Joszi ma się stać małżonką O-Kazaki Jaicziro.

O-Tama była naprawdę bardzo sprytną kobietą. Nigdy jakiejś większej omyłki nie popełniła. Należała do tych znakomicie zorganizowanych istot, które zdobywają powodzenie w życiu dzięki doskonałej łatwości, z jaką eksploatują słabsze od siebie charaktery. Wrodzona jej przodkom chłopska cierpliwość, chytryść, zdolność przewidywania, szybka orjentacja, uparta oszczędność, wszystko to uczyniło z jej mózgu precyzyjnie działający aparat. Aparat ten funkcjonował bez zarzutu w otoczeniu, które powołało go do życia, a zwłaszcza wśród tych ludzi, z którymi przeznaczonym mu było mieć do czynienia — mianowicie z wieśniakami.

Był to jednak charakter, w którym nie orjentowała się tak dobrze, ponieważ jej rasowemu wyczuciu był obcy. O-Tama stanowczo nie wierzyła temu, co dawniej mówiono o różnicy charakterów między *samurajami**) a *heimin***). Jej zdaniem cała różnica między obiema kastami polegała tylko na przywilejach, jakie szlachcie nadawały prawa i tradycja. Te to przywileje — myślała — spowodowały, iż ludzie, pochodzący z byłej kasty rycerskiej, są znacznie niedołężniejsi, kapryśniejsi od drugich i w duszy miała dla nich tylko pogardę. Widziała, jak skutkiem niezdolności do ciężkiej pracy i zupełnego braku sprytu w interesach, z bogaczy stali się żebrakami. Widziała, jak renta, wypłacana im przez nowy rząd, przechodziła z ich rąk w ręce chytrych spekulantów najgorszego gatunku. Gardziła słabością, niedołęstwem i w oczach jej pierwszy lepszy handlarz jarzynami stał wyżej, niż taki były szlachcic, zmuszony na stare lata prosić o jałmużnę tych, którzy dawniej na jego widok

*) Kasta rycerska.

**) Kasta włościańska.

zrzucali na znak szacunku obuwie a, kłaniając się, głową dotykali błota.

Dlatego też nie imponowało jej wcale, że matka O-Joszi była szlachcianką. Przeciwnie była zdania, że szlacheckie pochodzenie, któremu przypisywała też wątpliwość dziewczyny, jest jej nieszczęściem. Jasno widziała w charakterze O-Joszi wszystko to, co było zrozumiałe dla człowieka niższej kasty, między innymi, że nic się u niej nie wskóra szorstkością, co się jej zresztą podobało.

Były tu jednak właściwości, z których O-Tama nigdy jasno sobie sprawy nie zdawała: głęboka, choć dobrze opanowana, wrażliwość na zło i dobro, niewzruszone poczucie własnej godności i utajony zapas woli, która mogła zapanować nad wielkim bólem fizycznym.

Oto czemu, kiedy O-Joszi oświadczono, iż ma zostać żoną O-Kazakiego, jej zachowanie się w błąd wprowadziło macochę, która spodziewała się buntu.

Omyliła się.

Dziewczyna w pierwszej chwili zbieła, jak płótno. Ale w następnej chwili zarumieniła się, uśmiechnęła, skłoniła się i mile zaskoczyła panią Mijaharę, oświadczając jej w ceremonjalnym języku miłości dzieci dla rodziców gotowość zastosowania się we wszystkim do woli rodzicielskiej. Zachowanie się jej niczem nie zdradzało najmniejszego, choćby ukrytego, niezadowolenia.

O-Tama była tem tak uradowana, że zaczęła się jej zwierzać, opowiedziała jej niektóre szczegóły pertraktacji a także wymieniła dokładnie ile i co O-Kazaki za nią daje. Dalej, zasypawszy ją znanymi pociechami, jakich się nie skąpi młodej dziewczynie, wychodzącej, wbrew swej woli, zamąż za starszego człowieka, O-Tama dała jej kilka istotnie bezcennych rad, jak ma wziąć pod pantofel O-Kazakiego. Imie-

nia Taro ani razu nawet nie wspomniano. O-Joszi podziękowała macosze za rady jak należało, ścieląc się jej wdzięcznie do stóp. Były to istotnie rady podziwu godne. Mając takiego nauczyciela, jak O-Tama, pierwsza lepsza i trochę rozgarnięta dziewczyna ze wsi mogłaby bez trudu znieść życie z O-Kazakim.

Ale O-Joszi była tylko napół wieśniaczką. Jej nagłe zblednięcie a następne zarumienienie się po zawiadomieniu jej o losie, jaki jej zgotowano, było spowodowane uczuciami, których O-Tama nawet nie podejrzewała. I jedno i drugie było wynikiem rozumowania o wiele więcej skomplikowanego, niż najsprytniejsza kalkulacja, jaką O-Tama kiedykolwiek w życiu zrobiła.

O-Joszi zbladła ze zgrozy a zarazem na myśl o zupełnej obojętności moralnej macochy, o zupełnej bezużyteczności jakiegokolwiek oporu, o zaprzedeniu jej temu obrzydliwemu starcowi tylko dla niepotrzebnego zysku, o okrucieństwie i hańbie takiego targu. W tej chwili jednakże rozumiała też, że teraz, dla zajrzenia w oczy rzeczy najgorszej, potrzebuje całej swej odwagi, silnej woli i przebiegłości. Wówczas uśmiechnęła się. A kiedy się uśmiechała, młoda jej wola stała się jak stal, którą można przeciąć żelazo, nie wyszczerbiwszy ostrza. Odrazu wiedziała, co robi — odpowiedziała jej to szlachecka krew; teraz byle tylko zyskać na czasie i znaleźć odpowiednią sposobność. Była tak pewna zwycięstwa, że musiała użyć wielkiego wysiłku aby się głośno nie roześmiać. Błyski w jej oczach wprowadziły najzupełniej w błąd O-Tamę, która wzięła je za objaw zadowolenia, wywołanego nagłym zrozumieniem wszystkich korzyści, jakie daje poślubienie bogatego człowieka.

Działo się to piętnastego dziesiątego miesiąca; ślub miał się odbyć szóstego dziesiątego miesiąca. Ale w trzy dni później O-Tama, wstawszy o świcie,

zauważyła, że jej pasierbica w nocy zniknęła. Również ojciec Taro Uczida nie widział syna od zeszłego popołudnia.

W parę godzin później od obojga nadeszły listy.

VIII

Przybył wczesny pociąg poranny z Kioto.

Małeńka stacyjka pełna była wrzawy i zgielku — stukania *getów**), rozgwaru rozmów i urywanych okrzyków chłopaków wiejskich, sprzedających ciastka i zakąski i wykrzykujących: *Kuazsi joros! Suszi joros! Bento joros!*

Pięć minut — stukanie *getów*, trzaskanie drzwiczkami wagonów i piskliwe okrzyki chłopców ustały, rozległ się gwizd, pociąg szarpnął się i ruszył naprzód. Kiedy się z hukiem potoczył, kierując się z wolna ku północy, stacyjka opustoszała.

Dyżurny policjant przy furtce zatrzasnął ją i zaczął się przechadzać po wysypanym piaskiem peronie, przyglądając się cichym polom ryżowym.

Była jesień — okres Wielkiego Światła.

Światło słoneczne stało się bielsze, cienie głębsze, zaś wszystkie kontury ostre, jak krawędzie szklanych szczerb. Oddawna wypalone spiekotą lata mchy odżyły, okrywając przedziwnymi plamami i pasami jasnej, delikatnej zieleni nagie miejsca czarnej wulkanicznej ziemi. Z każdej grupy sosen dolatywało wibrujące wołanie *cuku-cuku-boszi* a nad wszystkimi małymi kanałami i kanalikami wciąż zcicha połyskiwały jakby małe błyskawice — błyski szmaragdowe, różowe, stalowo-błękitne — lśnienia skrzydeł świtezianek.

I oto, może dzięki nadzwyczajnej czystości rannego

*) *Gety* — powszechnie noszone w Japonji drewniane sandały.

powietrza, policjant, patrząc ku północy, zauważył na torze coś, co kazało mu stanąć, przysłonić oczy dłonią a potem spojrzeć na zegar. Zasadniczo czarne oko policjanta japońskiego, podobnie jak bystre oko sępa, rzadko kiedy nie zauważy najdrobniejszego nawet, nic nie znaczącego wypadku w polu swego widzenia. Pamiętam, pewnego razu, w dalekiej Oki, pragnąc przyglądać się tańcowi w maskach, wykonywanemu na ulicy przed moim zajazdem, lecz nie chcąc być spostrzeżonym, zrobiłem malutką dziurkę w papierowym oknie na pierwszym piętrze i przypatrywałem się przedstawieniu. Podo mną chodził po ulicy policjant w białym, jak śnieg, mundurze i pelerynce; byliśmy właśnie w środku lata. Zdawało się, że nie widzi ani tańczących, ani tłumu, wśród którego chodził nie oglądając się nawet. A naraz stanął i wpatrzył się akurat w dziurkę w moim *szodzi**); bo w tej dziurce ujrzał oko, które po kształcie rozpoznał natychmiast jako oko cudzoziemca. A wówczas wszedł do zajazdu i zaczął się dopytywać o mój pasport, który zresztą był już zameldowany.

To, co policjant na małej stacyjce wiejskiej zauważył, a później też zaraportował, było, iż w odległości przeszło pół mili (ang.) od stacji, dwie osoby wyszły na tor kolejowy, przeszedłszy przez pola ryżowe i prawdopodobnie wyszedłszy z jakiegoś folwarku, znajdującego się w znacznej odległości na północny-zachód od wsi. Jedna z nich, kobieta, jak się tego policjant domyślał z koloru jej sukni i pasa, musiała być bardzo młoda. Poranny pociąg z Tokio musiał nadjechać w przeciągu paru minut i ze stacji można było zauważyć jego zbliżający się dym. Dwie osoby zaczęły biec szybko wzdłuż toru, którym jechał pociąg. Zniknęły mu z oczu za zakretem drogi.

*) Papierowa ryba w oknie.

Ta para to był Taro z O-Joszi. Biegli prędko, najpierw dlatego, by uniknąć uwagi policjanta, powtórze, chcieli złapać ekspres z Tokio możliwie jak najdalej od stacji. Znalazłszy się za zakrętem drogi, przestali biec i szli wolniej, bo już widzieli zbliżający się dym. Jak tylko ujrzeni pociąg, wyszli na tor tak, aby nie zwrócić na siebie uwagi maszynisty i czekali, trzymając się za ręce. Jeszcze chwila i niski huk, niby odgłos gromu, doleciał do ich uszu. Zrozumieli, że czas przyszedł.

Teraz wysunęli się już całkiem na tor, opletli się ramionami twarz przy twarzy, ostrożnie lecz szybko legli na szynach, dzwoniących już jak kowadło do taktu pedzącego pociągu.

Chłopiec uśmiechnął się. Zaś dziewczę, oplótlszy jeszcze silniej jego szyję ramionami, rzekło mu do ucha:

— Na czas dwóch istnień i trzech jestem twoją żoną a ty jesteś moim mężem, Taro-Sama.

Taro nie odpowiedział, bo niemal w tej samej chwili, mimo rozpaczliwych wysiłków maszynisty w celu zatrzymania rozpędzonego pociągu, koła przejechały parę kochanków — tnąc równo, jak olbrzymie nożyce.

IX

Dziś ludzie ze wsi przynoszą na wspólny grób połączonych w śmierci kochanków bambusowe miśeczki z kwiatami, palą kadzidła i odmawiają modlitwy. Nie jest to zgodne z przepisami religji, bo Buddyzizm zabrania *dżoszi* a cmentarz jest buddyjski. Niemniej jest w tem uczucie religijne — godne szacunku. ☸

☸ Zapytacie może, w jaki sposób i dlaczego ludzie modlą się do tych umarłych. Oczywiście nie wszyscy modlą się do nich, ale modlą się kochankowie,

zwłaszcza nieszczęśliwi. Inni przyozdabiają tylko grób i odmawiają modlitwy. Jednakże kochankowie proszą tych zmarłych o wstawiennictwo i pomoc.

Zapytałem — dlaczego?

Odpowiedziano mi prosto:

— *Albowiem tak bardzo cierpieli.*

Wynikałoby z tego, że idea, ożywiająca tych nabożnych, byłaby może równocześnie i starsza i znacznie więcej nowoczesna niż Buddyzm — Idea wiecznej Religji Cierpienia.

(Out of the East).

DYPLOMACJA

w
za
i
ja
»f
za
w
ka
ru
n
n

n
n
te
b
V
z
d
-

c

Egzekucja miała się odbyć w ogrodzie *jasziki* *), wobec czego przyprawiono tu delinkwenta i kazono mu ukłęknać na miejscu, wysypanem piaskiem i przeciętem przez *tobi-issi*, albo też stopnie takie, jak je dziś jeszcze możecie ujrzeć w tak zwanym „pejzażowym ogrodzie” japońskim. Ręce jego związane były na plecach. Dworzanie przynieśli wodę w kubłach i pełne żwiru worki na ryż. Temi workami obstawiono klęczącego tak, że nie mógł się ruszyć. Przyszedł pan i przyglądał się przygotowaniom. Uznał je za zadowalniające i nie zrobił żadnego zarzutu.

Naraz skazaniec krzyknął w jego stronę:

— Czcigodny panie, występku, który popełniłem, nie dopuściłem się rozmyślnie. Winą była tu tylko moja wielka głupota. Urodziłem się głupcem wskutek swej *Karny**)*, wobec czego nie mogłem uniknąć omyłek. Jednakże zabić człowieka za to tylko, że był głupi, jest grzechem, za który musi przyjść kara. Wiedźcież tedy, że jeżeli mnie zabijecie, zostanie z pewnością pomszczony — ponieważ wy sami buzdziecie we mnie pragnienie zemsty. Zło za zło...

*) Willi.

***) Przeznaczenie.

Jeżeli ktoś ma być zabity w stanie silnego uczucia zemsty, duch jego może mieć siłę zemszczenia się na zabójcy.

Samuraj wiedział o tem.

Dlatego odpowiedział bardzo uprzejmie, niemal pieszczotliwie:

— Musimy pozwolić wam straszyć nas ile wam się tylko zechce — po śmierci. Trudno jednakże uwierzyć, abyście istotnie mogli urzeczywistnić co zamierzacie. Czy nie chcielibyście spróbować dać nam jakiś dowód swego wielkiego postanowienia — po ucięciu wam głowy?

— Stanowczo dam! — odpowiedział skazaniec.

— Doskonale! — rzekł samuraj, dobywając swej długiej szabli — w tej chwili was zetnę. Naprzeciw was znajduje się stopień. Spróbujcie go ugryźć kiedy wam utnę głowę. Jeśli wasz rozgniewany duch potrafi wam do tego dopomóc, niektórzy z nas może się zlekna... Czy spróbujecie ugryźć kamień?

— Ugryzę! — wykrzyknął człowiek w wielkim gniewie. Ugryzę z pewnością. Ugryzę. —

Błysk, świst szabli, głucho uderzenie: skępowane ciało pochyliło się nad workami ze żwirem, dwie strugi krwi trysnęły z karku a głowa potoczyła się po piasku. Toczyła się ciężko ku stopniowi, a potem, skoczywszy naraz, chwyciła się zębami jego górnego brzegu, rozpaczliwie wisiła tak przez chwilę aż opadła bezsilna.

Nikt nie odezwał się ani słowem, ale dworzanie ze zgrozą przyglądali się swemu panu. On jednak zupełnie nie był tem zmieszany. Podał tylko szablę najbliższemu słudze, który wodą z drewnianego wiadra oblał kilkakrotnie klingę od rękojeści aż po ostrze, a potem kilkakrotnie wytarł ją starannie arkuszami miękkiego papieru. I tak skończyła się ceremonjalna treść historii.

Od tego czasu przez kilka miesięcy dworzanie i służba żyli w bezustannym strachu najazdu ducha. Nikt z nich nie wątpił, że obiecana zemsta nadejść musi, zaś nieustająca trwoga powodowała, że słyszeli i widzieli więcej niż było. Zaczęli się bać świstu wiatru w bambusowych krzakach, a nawet migania cieniów w ogrodzie. Wreszcie, naradziwszy się wspólnie, postanowili poprosić swego pana, aby dla uspokojenia mściwego ducha, zamówił żałobne nabożeństwo.

— To zupełnie zbyteczne — odpowiedział samuraj, kiedy najwyższy dworzanin przyszedł mu to zameldować — nie przeczę, że pragnienie zemsty człowieka umierającego może słusznie dać podstawy do obaw, w tym wypadku jednakże niema się czego lękać.

Dworzanin spojrzął na swego pana pytająco, lecz nie śmiał spytać o wyjaśnienie.

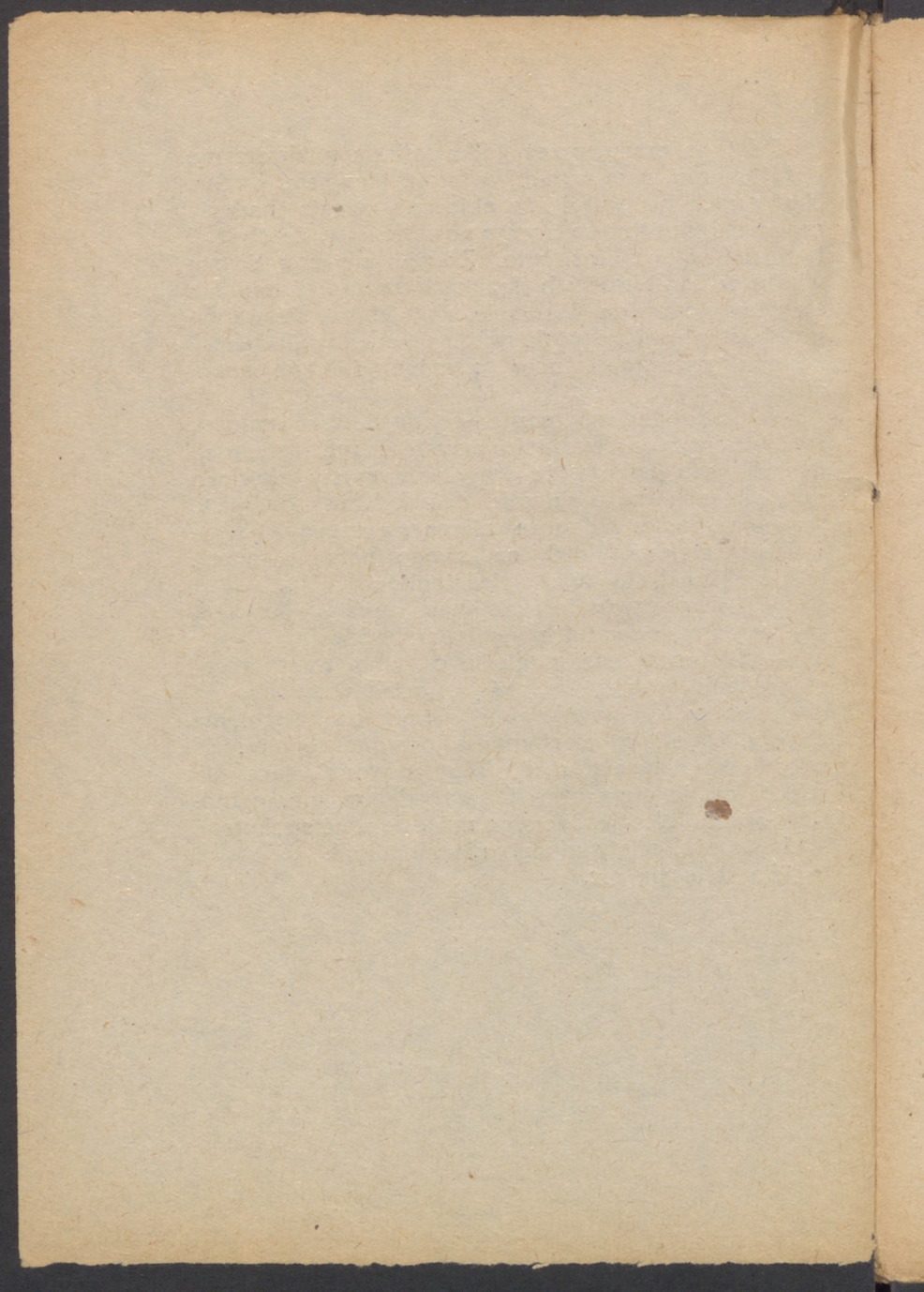
— O, przyczyna jest zupełnie prosta! — oświadczył samuraj, odgadując jego wątpliwości.

— Niebezpieczne mogło być tylko ostatnie postanowienie tego draba, zaś ja, zażądawszy aby mi dał jakiś znak, odwiodłem jego myśl od pragnienia zemsty. Umarł z niezłomnem postanowieniem, że ugryzie kamienny stopień. Tego dokonał, lecz nic więcej zrobić nie może. ☉ wszystkim innem musiał zapomnieć... wobec tego możecie spać spokojnie.

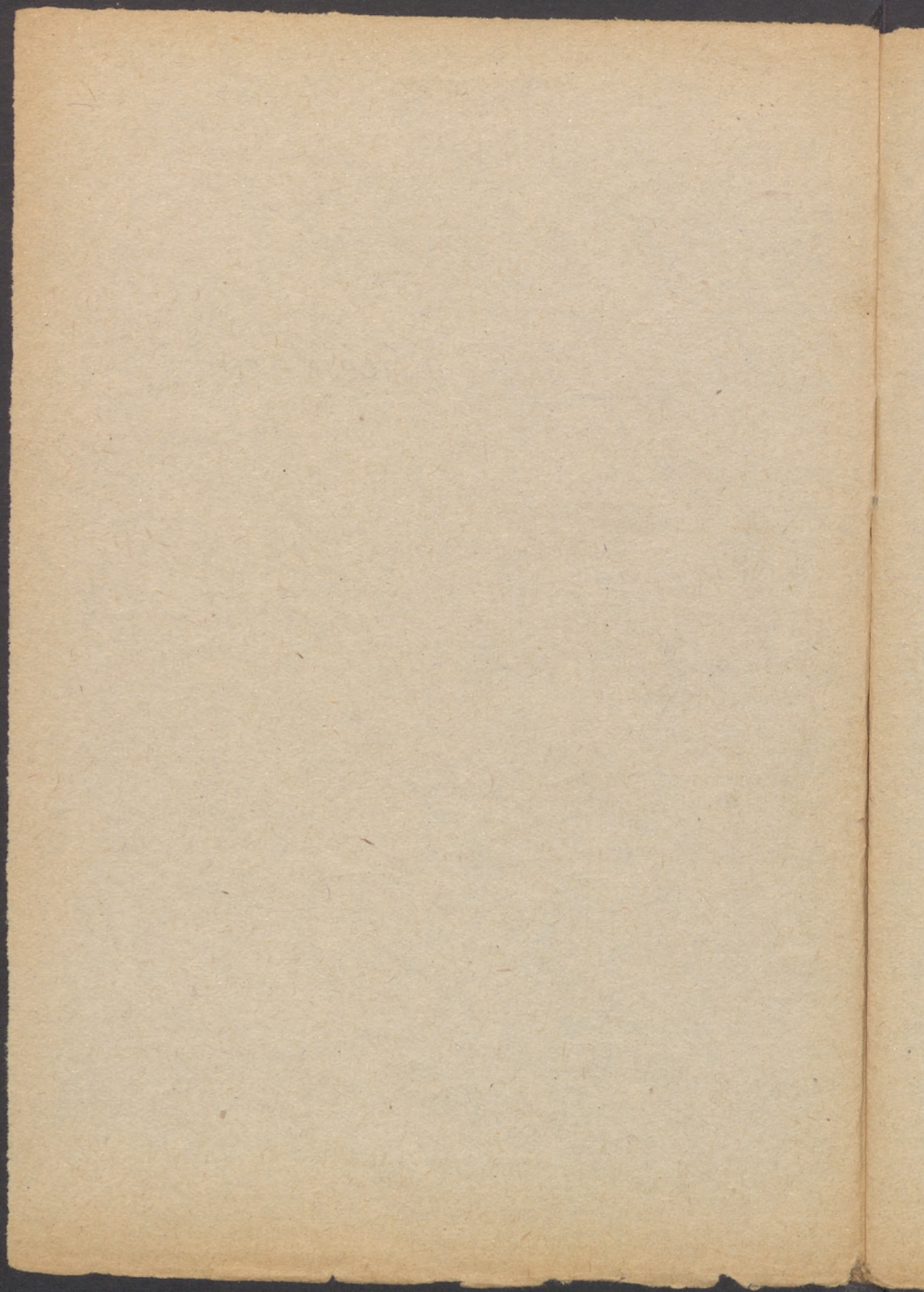
I istotnie, zcięty nikogo nie niepokoił.

Nie stało się nic.

(Kwaidan)



HISTORJA O-TEI



Dawno już temu, w mieście Nügata, w prowincji Iczidzen żył człowiek, nazwiskiem Nagao Czozei.

Nagao był synem lekarza i również został na lekarza wykształcony. W młodym wieku został zaręczony z panią, imieniem O-Tei, córką jednego z przyjaciół ojca. Obie rodziny postanowiły, że ślub ma się odbyć jak tylko Nagao ukończy studia. Okazało się jednak, że zdrowie O-Tei jest słabe. Galopujące suchoty skosiły ją w piętnastym roku życia. Kiedy zrozumiła, że musi umrzeć, zaważała Nagao, aby się z nim pożegnać.

— Nagao-Sama, oblubieńcze mój, od dzieciństwa byliśmy zaręczeni, a z końcem tego roku byliśmy zaślubieni. Ale, jak widzisz, muszę umrzeć; bogowie wiedzą, co jest dla nas najlepsze. Gdybym mogła żyć jeszcze kilka lat, byłabym wciąż powodem zgrzyot i trosk dla drugich. Z tem słabem ciałem nie mogłabym być dobrą żoną, dlatego nawet pragnienie życia dla ciebie byłoby pragnieniem bardzo samolubnem. Jestem gotowa umrzeć i chcę abyś mi przyrzekł, że nie będziesz rozpaczał.. Prócz tego chcę ci powiedzieć, iż zdaje mi się, że się znów spotkamy.

— Istotnie spotkamy się—odpowiedział Nagao poważnie—i w tym Czystym Kraju nie będzie już cierpienia rozłąki.

— Nie, nie! — mówiła łagodnie, — nie miałam na myśli Czystego Kraju. Jestem pewna, że przeznaczeniem naszym jest spotkać się znowu na tym świecie—mimo, iż jutro będę pogrzebana.

Nagao spojrział na nią zdumiony i spostrzegł, że ona śmieje się z jego zdziwienia. Mówiła dalej swym miłym, marzącym głosem.

— Tak jest, mam na myśli ten świat — to twoje życie, Nagao-Sama. Oczywiście, o ile sobie tego życzysz. Tylko, aby to mogło się stać, muszę się znowu urodzić jako dziewczyna i wyrosnąć na kobietę. Będziesz musiał poczekać. Piętnaście, szesnaście lat—to bardzo długo... Ale, mój niedoszły mąż, masz dziś dopiero osiemnaście lat...

Chcąc osłodzić jej chwile konania odpowiedział tkliwie:

— Czekać na ciebie, oblubienico moja, jest nie tylko radością, ale i obowiązkiem. Związani jesteśmy ze sobą na przeciąg siedmiu istnień.

— Ale ty wątpisz? — zapytała, wpatrując mu się w twarz.

— Moja droga! — odpowiedział — wątpię czy będę mógł poznać cię w obcym ciele i pod obcym imieniem—o ile nie dasz mi jakiegoś znaku lub sposobu rozpoznania.

— Tego uczynić nie mogę—odpowiedziała—tylko bogowie lub Buddowie wiedzą w jaki sposób i gdzie się spotkamy. Ale ja jestem pewna— że, o ile nie zechcesz mnie odtrącić, potrafię do ciebie powrócić... Zapamiętaj moje słowa.

Urwała i zamknęła oczy. Nie żyła.

* * *

Nagao był szczerze przywiązany do O-Tei, skutkiem czego żal jego był głęboki. Sporządził tabliczkę

żałobną, zapisaną jej *dzokumjo**), umieścił ją w swoim *bucudanie***)) i codzień składał przed nią ofiary. Dużo myślał o dziwnych rzeczach, jakie mówiła O-Tei tuż przed śmiercią, i, w nadziei zrobienia przyjemności jej duchowi, napisał uroczystą obietnicę, że ją zaślubi o ile kiedykolwiek wróci do niego w drugim ciele. Tę napisaną obietnicę zapieczętował swoją pieczęcią i umieścił w *bucudanie* obok żałobnej tabliczki O-Tei.

Jednakże, ponieważ Nagao był jedynakiem, musiał się ożenić. W krótkim czasie ujrzał się zmuszonym do uczynienia zadość życzeniom swej rodziny i do przyjęcia żony z wyboru ojca. Po ślubie w dalszym ciągu stawiał ofiary przed tabliczką O-Tei i zawsze wspominał o niej ze szczerem uczuciem. Stopniowo jednak obraz jej zacierał się mu w pamięci jak sen, który trudno sobie przypomnieć.

Lata mijały.

Podczas tych lat spadło na niego niemało nieszczęść. Śmierć zabrała mu rodziców, potem żonę i jedyne dziecko, tak, że pozostał sam na świecie. Porzucił swój opuszczony dom i wybrał się w długą podróż w nadziei, że zapomni o swych zmarłych.

Podczas tej podróży stanął pewnego dnia w Ikao —wiosce górskiej, do dziś słynnej ze swych ciepłych źródeł i przepięknego położenia. W zajeździe, w którym stanął, przyszła do niego młoda dziewczyna, która go miała obsługiwać. Nagao, rzuciwszy tylko wzrokiem na jej twarz, uczuł, że serce bije w nim tak,

*) Buddystyczny wyraz „dzokumjo“ oznacza imię, noszone przez człowieka za życia; po śmierci nadaje mu się imię inne.

**)) Buddyjska kapliczka domowa.

jak nigdy jeszcze. Dziewczyna była tak nadzwyczajnie podobna do O-Tei, że Nagao szczyptał się, aby się przekonać, że nie śpi. Kiedy wchodziła i wychodziła, to przynosząc ogień i jedzenie, to znów przygotowując pokój dla gościa—każdy jej ruch przywołał mu na myśl jakieś miłe wspomnienie dziewczęcia, z którym był w młodości zaręczony. Przemówił do niej, a ona odpowiedziała łagodnym, czystym głosem, którego słodycz zasmuciła go smutkiem minionych dni.

A wówczas, niezmiernie zdumiony, zapytał ją, mówiąc:

— Starsza siostrzyczko, jesteś tak podobna do kogoś, kogo znałem przed laty, że byłem zdumiony kiedy pierwszy raz weszłaś do tego domu. Wybacz mi przeto i pozwól zapytać się gdzie się urodziłaś i jakie jest twoje imię?

Natychmiast — niezapomnianym głosem umarłej — odpowiedziała jak następuje:

— Nazywam się O-Tei, a ty jesteś Nagao Czozei z Iczigo—mój niedoszły mąż. Przed siedemnastu laty umarłam w Niigata; wówczas napisałeś obietnicę, iż ożenisz się ze mną, jak tylko powrócę na ten świat w ciele kobiety. Zapieczętowałeś tę obietnicę swoją pieczęcią i schowałeś ją w *bucudanie* wraz z tabliczką z mojem imieniem. Oto dlaczego wróciłam.

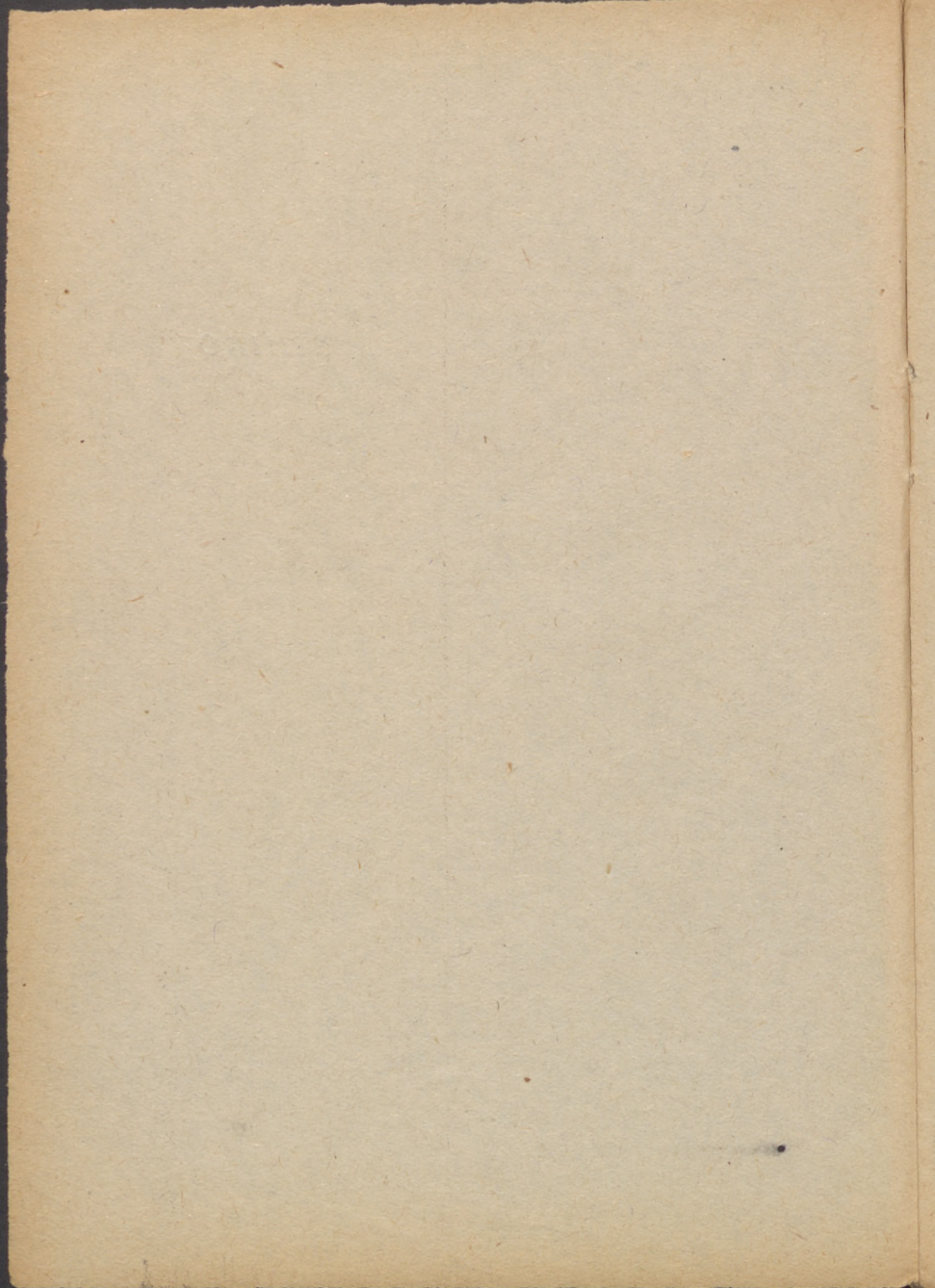
Wypowiedziawszy te słowa, zemdląca.

Nagao ożenił się z nią i małżeństwo to było szczęśliwe. Ale żona jego nigdy nie mogła sobie przypomnieć co odpowiedziała mu na jego zapytanie w Ikao; nie pamiętała też nic ze swego poprzedniego życia. Wspomnienie pierwszego istnienia—tajemniczo ożywione w chwili tego spotkania — zaciemniło się znów.

I tak już pozostało.

(Kwaidan).

KIMIKO



*Wasuraruru
Mi naran to omō
Kokoro koso
Wasurē nu jori mo
Omoi nari-kerē*

Pragnąć być zapomniana
przez ukochanego jest dla
duszy zadaniem znacznie
cięższym, niż starać się nie
zapomnieć.

Poemat Kimiko

I

Imię to widnieje na papierowej latarni u wchodu do jednego domu w Ulicy Gejsz.

Widziana w nocy uliczka ta jest jedną z najdziwniejszych na świecie. Ciasna jest, jak kurytarz, a ciemne, połyskujące ozdoby z drzewa na frontach domów, stojących tuż przy sobie — każdy z odsuwaniem nabok dzwiczkami o papierowych okienkach, wyglądających jak zamrożone szyby — przypominają w pierwszej chwili kabiny okrętowe pierwszej klasy. W rzeczywistości budynki te mają nieraz po kilka pięter, nie od razu jednak się to spostrzega, zwłaszcza jeśli niema księżyc, ponieważ oświetlony jest tylko dół domów aż po wysoki, ponad którym wszystko już jest czarne, jak noc. Iluminacja odbywa się zapomocą lamp, umieszczonych za małemi, wyklejonemi papierem drzwiczkami, i latarni papierowych, zawieszonych nad wszystkiemi drzwiami. Kiedy się patrzy wdół tych ulic, między dwoma rzędami latarni — rzędy te zmieniają się w nieruchome

pasy złotego światła. Jedne latarnie mają owalne kształt jaja, inne są stożkowate, czworoboczne lub sześcioboczne; na wszystkich wypisane są pięknie japońskie charaktery. Ulica jest bardzo spokojna, milcząca, jak warsztat na jakiejś wielkiej wystawie po godzinach pracy. Pochodzi to stąd, że prawie wszystkie mieszkanki ulicy wyszły — aby wziąć udział w bankietach i różnych innych przyjęciach. Żyły życiem nocnem.

Napis na pierwszej latarni po lewej stronie, idąc ku południowi, brzmi: — *Kinoja: uczi O-Kata*, co znaczy — Złoty Dom, w którym mieszka O-Kata. Latarnia po prawej stronie mówi o Domu Niszimura i dziewczęciu Mijocuru, które to imię oznacza Bocią Wspaniałe Istniejącego. Dalej po lewej stronie jest Dom Kadzity; w domu tym mieszkają: Kohana — Pączek Kwiatowy i Hinako — której twarz jest miłuka, jak twarzyczka lalki. Naprzeciw znajduje się Dom Nagaje, w którym mieszkają Kimika i Kimiko. I ta podwójna, świetlna litanja imion ciągnie się na pół mili.

Napis na latarni ostatnio wymienionego domu świadczy o pokrewieństwie Kimiki z Kimiko — ale także i o czemś więcej; albowiem Kimiko wystylizowane jest *Ni-dai-me*, niemożliwy do przetłumaczenia honorowy tytuł, że ona jest tylko Kimiko Nr. 2. Kimika jest panią i mistrzynią; wychowała dwie gejsze, obie zwane, lub raczej przezwane przez nią, Kimiko; powtórne użycie tego imienia dowodzi niezbicie, iż pierwsza Kimiko — *Iczi-dai-me* — musiała być sławną. Imienia zawodowego osoby nieszczęśliwej, lub która nie cieszyła się powodzeniem, nigdy się jej następczyni nie daje.

O ile mielibyście kiedykolwiek dobry i wystarczający powód, aby wejść do tego domu — co łatwo zrobić, odsuwając drzwi, wprawiające w ruch dzwo-

nek, zapowiadający odwiedziny — możecie zobaczyć się z Kimiką, oczywiście, o ile mała jej trupa nie jest zaproszona na jaki wieczór. Poznacie osobkę bardzo inteligentną i zasługującą na to, aby z nią porozmawiać. Jeśli zechce, może wam opowiedzieć nadzwyczajne historie — historie z prawdziwego życia i o prawdziwych ludziach. Albowem Ulica Gejsz jest pełna wspomnień — tragicznych, komicznych, melodramatycznych. Każdy dom ma tu swoje wspomnienia, a Kimika zna je wszystkie. Niektóre są naprawdę straszne; inne pobudzą was do śmiechu; a jeszcze inne dadzą wam wiele do myślenia. Do tej kategorii należy historia pierwszej Kimiko. Nie jest wcale taka nadzwyczajna, ale może najprzystępniejsza dla ludzi Zachodu.

II

Niema już Ichi-dai-me Kimiko; jest tylko wspomnienia. Kimika była bardzo młoda, kiedy tę Kimiko nazywała swą siostrą po fachu.

— Była to nadzwyczajna, podziwu godna dziewczyna — mówi Kimika o Kimiko.

Aby uzyskać uznanie w swym zawodzie, gejsza musi być albo bardzo ładna, albo bardzo sprytna. Sławne gejsze są przeważnie i ładne i sprytnie — w młodym wieku wybrane przez swe mistrzynie, umiejące się poznać na ich zaletach. Nawet niższej kasty śpiewaczki muszą mieć pewien urok w swych najlepszych latach — choćby tylko tę „*beauté du diable*,” z której powstało japońskie przysłowie, iż nawet djabeł jest ładny w osiemnastym roku życia.

Lecz Kimiko była więcej niż ładna. Stosownie do japońskiego ideału była pięknoscia — a jest to ideał, którego nie osiąga nawet jedna kobieta na sto tysięcy. Prócz tego była nietylko sprytna, lecz

wprost niezrównana. Układała bardzo ładne poematki, umiała cudownie układać kwiaty, bez najmniejszego zarzutu pełniła wszystkie obrzędy, połączone z piciem herbaty, umiała haftować, robić jedwabne mozaiki — jednym słowem była zachwycająca. Jej pierwszy publiczny występ wywołał wielkie wrażenie w wykwintnych sferach Kioto. Widać było, że może sobie zdobyć kogo zechce i że ma przed sobą wielką przyszłość.

Wkrótce jednak okazało się też, że w zawodzie swoim jest wykształcona znakomicie. Wiedziała, jak się zachować we wszystkich możliwych okolicznościach, a czego sama nie wiedziała, tego uczyła ją Kimika. Więc rozumiała doskonale co znaczy potęga piękności i słabość namiętności, jaka jest wartość obietnic a siła obojętności, ile szaleństwa i niegodziwości mieści się w sercach mężczyzn. Dzięki temu Kimiko błądziła rzadko i niewiele wylała łez. Powoli stała się, jak sobie tego Kimika życzyła, małą niebezpieczną, jak lampa dla cieni—inaczej mogłoby się zdarzyć, że niektóre ćmy przewróciłyby ją. Obowiązkiem lampy jest oświetlać miłe przedmioty, w czym niema żadnej złośliwości. Kimiko nie była ani złośliwa, ani zanadto niebezpieczna. Bojaźliwi rodzice zauważyli, że ona się wcale nie wdziera do przyzwoitych rodzin i bynajmniej nie robi poważnych intryg miłosnych. Z drugiej strony nie była też zbyt łaskawa dla młodzieńców, którzy podpisują listy własną krwią lub też, na dowód wiecznej miłości, proszą tancerkę, aby im ucięła koniuszek małego palca lewej ręki. Nie brakowało jej złośliwości, aby ich z tego szaleństwa wyleczyć. Niezbyt chętną znalazło ją też kilku bogatych panów, którzy, chcąc ją pojąć z ciałem i duszą, ofiarowali jej majątki i domy. Jeden poruszał swą szlachetność do tego stopnia, że wykupił ją za sumę, która Kimikę zrobiła bogatą. Kimiko

była mu bardzo wdzięczna, ale — pozostała gejszą. Zbyt wiele miała taktu, aby dawać kosze w sposób, który wywoływałby nienawiść i sama przeważnie potrafiła wyleczyć nieszczęśliwego kochanka z rozpacz. Zdarzały się oczywiście wypadki wyjątkowe. Pewien starzec, przyszedłszy do przekonania, że, wobec niemożliwości zdobycia Kimiko, życie nie ma dla niego wartości, zaprosił ją pewnego wieczoru na ucztę i poczęstował winem*). Ale Kimika, umiejąca czytać w twarzach ludzkich, ukradkiem podstawiała Kimice herbatę, która ma ten sam kolor, i w ten sposób instynktownie ocaliła dziewczęciu cenne życie — bo, w dziesięć minut później, dusza oszalałego z miłości gospodarza samotnie powędrowała do Meido, z pewnością srodze rozczarowana. Od tego dnia Kimika czuwała nad Kimiko, jak ryś czuwa nad swemi kociętami.

A to kocię stało się manją wykwintnych sfer, obłędem, szaleństwem — niedoścignionym ideałem i największą sensacją swego czasu. Pewien cudzoziemski książę czule wspomina jej imię, przysłał jej w darze brylanty, których nigdy nie nosiła. Od wszystkich, którzy mogli sobie pozwolić na zbytek przypodobania się jej, otrzymywała mnóstwo prezentów, a cieszyć się jej względami, choćby tylko przez jeden dzień, było szczytem marzeń „złotej młodzieży”. Nikomu jednak nie pozwalała ani nawet pomyśleć, że go wyróżnia i stała odrzucała wszystkie propozycje trwalszego związku. Na protestujące pytania odpowiadała, że sama najlepiej zna swoje miejsce. Nawet przyzwoite kobiety nie wyrażały się o niej źle — ponieważ nazwisko jej nigdy nie było połączone

*) Autor ma na myśli *sake*, grzane wino ryżowe, które ma barwę blado-żółtą, zbliżoną do koloru, pijanej w Japonii, tak zwanej „herbaty zielonej”. — Przyp. tłum.

z żadną tragedją rodzinną. Była naprawdę zawsze na swoim miejscu. Czas robił ją tylko coraz bardziej uroczą. I inne gejsze zyskiwały sławę, ale nikt ich z nią nawet nie równał. Kilku fabrykantów zdobyło wyłączne prawo używania jej fotografii na swych etykietach i te etykiety przyniosły firmom majątek.

Ale pewnego dnia obiegła miasto zdumiewająca wiadomość, iż znalazł się ktoś, kto wreszcie potrafił zmiękczyć serce Kimiko. Piękna gejsza rozstała się z Kimiką i poszła za kimś, kto mógł jej sprawić wszystkie piękne suknie — za kimś, kto pragnął zapewnić jej również stanowisko społeczne i rzucić zasłone na jej przykrą przeszłość — za kimś, kto gotów był umrzeć dla niej dziesięć razy, a już teraz był napół żywy z miłości. Kimika opowiadała, że jakiś warjat próbował zabić się dla Kimiko i że Kimiko zlitowała się nad nim i, pielęgnując go, przywróciła mu znowu szaleństwo. Taiko Hidejoni powiedział, że boi się na świecie tylko dwóch rzeczy — warjata i ciemnej nocy. Kimika zawsze bała się warjatów — i otóż teraz warjat uprowadził jej Kimiko. Tu dodawała, przelewając łzy, zresztą samolubne, że Kimiko już nigdy do niej nie wróci, bo miłość obojga kochanków miała trwałość kilku istnień.

Co do tego jednak, to Kimika miała tylko po części słuszność. Była niewątpliwie bardzo sprytna, ale nigdy nie udało się jej zaglądnąć do kilku prywatnych pokoików w duszy Kimiko. Piszczalaby ze zdumienia, gdyby do nich zajrzała.

III

Między Kimiko a starszą gejszą była różnica szlacheckiej krwi. Przed przyjęciem imienia zawodowego nazywała się Ai, które to imię, napisane właściwym

charakterem, znaczy miłość. Ten sam dźwięk, napisany innym charakterem, oznacza cierpienie. A historia Ai była istotnie historią bólu i miłości.

Była dobrze wychowana. Jako mała dziewczynka uczęszczała do prywatnej szkoły pewnego starego samuraja — gdzie dziewczęta siedziały w kuczki na poduszkach przed małemi, dwanaście cali wysokimi stolikami do pisania i gdzie nauczyciele nie pobierali za naukę zapłaty. W dzisiejszych czasach, gdy nauczyciele są płatni lepiej od oficjalistów prywatnych, nauczanie nie jest już wcale zajęciem tak szanowanym i miłym, jak bywało. Do szkoły i ze szkoły zawsze odprowadzała dziewczynkę służąca, która niosła jej piórniki, poduszkę i mały stół.

Potem chodziła do normalnej szkoły publicznej. Właśnie wprowadzono pierwsze „nowoczesne” podręczniki, zawierające japońskie przekłady z angielskiego, niemieckiego i francuskiego, opowiadania o honorze, obowiązku i bohaterstwie, znakomicie wybrane i ilustrowane małemi, naiwnymi rysunkami, przedstawiającymi ludzi z Zachodu w sukniach nie z tego świata. Te małe, patetyczne książeczki należą już do rzadkości; zastąpiono je oddawna pretenjonalnymi kompilacjami, suchymi i znacznie gorzej wydanymi.

Ai uczyła się dobrze. Raz na rok, w czasie egzaminów, pojawiał się w szkole wysoki dostojnik, który przemawiał do dzieci, jakgdyby był ich ojcem a, rozdając nagrody, musiał pogłaskać każdą jedwabistą główkę. Teraz jest już na emeryturze i z pewnością nie pamięta Ai — a w dzisiejszych szkołach nikt już nie głaszcze małych dziewczynek i nie daje im nagród.

A naraz przysłała reforma, która rodziny szlacheckie wtrącała w nędzę i niedolę. Ai musiała przestać chodzić do szkoły. Przyszło dużo nieszczęść niema-

łych, aż wreszcie została tylko Ai, jej matka i młodsza siostrzyczka. Matka i Ai nie umiały nic, prócz odrobiny haftu, — a tylko haftowaniem nie dało się zrobić nawet na życie. Naprzód dom i grunt, potem, jeden po drugim, wszystkie, niekoniecznie do życia potrzebne, przedmioty — sprzęty, klejnoty, kosztowne suknie, wysadzone masą perłową i złotem, przedmioty z laki — wszystko przechodziło za tanie pieniądze do rąk tych, których nędza wzbogaca, a których majątek lud nazywa *Namida no kane*, co znaczy — „Pieniądz Łez“. Żywi niewiele mogli pomóc — bo większość pokrewnych rodzin szlacheckich walczyła z temi samemi trudnościami. To też, kiedy nie pozostało już nic do sprzedania, kiedy sprzedano nawet małe książeczki Ai, postanowiono zwrócić się o pomoc do umarłych.

Przypomniano sobie, że ojciec ojca Ai został pochowany wraz z mieczem — darem pewnego dajmja — osadzonym w złocie. Wobec tego otwarto grób, zastąpiono wielką gardę kunsztownej roboty prostą, zaś z pochwy wyjęto wszystkie ozdoby. Ale klingi zacnej nie wzięto, ponleważ rycerz mógł jej potrzebować. Ai widziała jego twarz, jak siedział wyprostowany w wielkiej urnie z czerwonej gliny, w której chowano samurajów większych rodów według dawnego rytuału. Po tylu latach rysy jego twarzy można było jeszcze rozpoznać; kiedy mu zwrócono miecz, zdawało się, jakby przykiwywał szorstko na znak zgody.

Nareszcie matka Ai tak się rozchorowała i osłabła, że nie mogła u krosien pracować a złoto zmarłego już się rozeszło. Wówczas Ai odezwała się:

— Matko! Wiem, że teraz pozostało nam już tylko jedyne wyjście. Pozwól mi sprzedać się i zostać tancerką.

Matka Ai rozpląkała się i nic nie odpowiedziała. Ai nie płakała, lecz wyszła.

Przypomniała sobie, że kiedyś, kiedy w domu jej ojca wydawano bankiety i poiono winem tańczących, często pieściła ją wolna gejsza, imieniem Kimika. Udała się prosto do niej.

— Chcę, żebyś mnie kupiła—wprost oświadczyła jej Ai — ale potrzebuję dużo pieniędzy.

Kimika roześmiała się, zaczęła ją pieścić, nakarmiła ją i wysłuchiwała jej historii, którą Ai opowiedziała dzielnie, nie uroniwszy ani jednej lzy.

— Moje dziecko!—rzekła Kimika — nie mogę dać ci dużo pieniędzy, bo sama mam ich bardzo mało. Ale jedno mogę zrobić: mogę przyrzec, że będę utrzymywała twą matkę. Będzie to nawet lepiej, niż gdybym jej dała za ciebie większą sumę—bo twoja matka, moje dziecko, była wielką panią i dlatego nie może umieć rozsądnie wydawać pieniądze. Poproś matkę, aby podpisała umowę, w której zobowiązesz się mieszkać ze mną aż do dwudziestego czwartego roku życia, albo też do chwili, w której będziesz mogła mnie spłacić. A teraz idź do domu i weź w podarunku wszystkie pieniądze, jakie mogę ci dać.

W ten sposób Ai została gejszą.

Kimika nadała jej imię Kimiko i utrzymywała jej matkę i siostrę. Matka umarła zamin jeszcze Kimiko została sławną, a siostrzyczkę oddano do szkoły.

Potem przyszło to, cośmy już opowiedzieli.

Młody człowiek, który pragnął umrzeć z miłości dla tancerki, wart był lepszemu losu. Był jedyńkiem, skutkiem czego rodzice, ludzie bogaci, utytułowani, gotowi byli ponieść dla niego wielką ofiarę—a nawet pozwolić mu się ożenić z gejszą. Co więcej, nie byli dla Kimiko niezyczliwie usposobieni, ponieważ kochała ich syna.

Przed swym odjazdem Kimiko była na ślubie swej młodszej siostry Umć, która właśnie wyszła ze

szkoły. Była dobra i ładna. Kimiko sama wyszukała jej męża, do czego użyła całej swej znajomości mężczyzn. Wybrała bardzo dobrodusznego, poczciwego kupca starej daty — człowieka, który nie potrafiłby być złym, nawet gdyby chciał. Umć nie wątpiła o trafności wyboru doświadczonej siostry, który okazał się istotnie szczęśliwym.

IV

Czwartego miesiąca wywieziono Kimiko do przygotowanej dla niej siedziby — do domu, w którym miała zapomnieć o wszystkich przykrych rzeczywistościach życia. Było to coś w rodzaju pałacu z bajki, pogrążonego w uroczej ciszy wielkich, cienistych, milczących ogrodów, otoczonych wysokimi murami. Mogła się tu czuć, jak odkupiona dobremi uczynkami pokutująca dusza w królestwie Horai.*) Ale minęła wiosna, nadeszło lato — a Kimiko była wciąż tą samą, zwykłą Kimiko. Dla niewiadomych powodów już trzy razy odroczyła ślub.

Ósmego miesiąca Kimiko spoważniała i łagodnie, lecz bardzo stanowczo, wyłuszczyła mu swe racje:

— Przyszedł czas, że muszę ci powiedzieć coś, co tak długo odkładałam. Dla matki, która dała mi życie, i dla młodszej siostry żyłam w piekle. To przeszło — ale piętno ognia jest na mnie i żadna siła go nie zetrze. Nie taka, jak ja, powinna wejść do twojej rodziny — urodzić ci syna — stworzyć ci dom... Pozwól mi mówić — bo co, się tyczy znajomości złego, jestem o wiele mądrzejsza od ciebie... Nie chcę też poniżyć się w oczach ludzkich, stając się twoją żoną... Jestem tylko twoją przyjaciółką, towarzyszką, chwilowym gościem — i to bez żadnej zapłaty. Kiedy mnie tu już nie będzie — a ten dzień stanowczo przyjść musi —

*) Czyściec japoński.

znacznie lepiej to wszystko zrozumiesz. Będę ci w dalszym ciągu drogą, ale nie tak, jak teraz, w sposób szalony. Wspomnij te moje słowa. Wybiorą ci dobrą, miłą żonę, która będzie matką twych dzieci. Ja je zobaczę, ale nie wolno mi ani zostać czyjąś żoną, ani zaznać radości macierzyństwa. Jestem tylko twojem szaleństwem, o, ukochany! — złudzeniem, snem, cieniem, przelatującym nad twym życiem. Mogę stać się kiedyś czemś więcej, ale nigdy twą żoną — ani w tem życiu, ani w przyszłym. Jeśli mi jeszcze raz o tem wspomnisz — odejdę.

Dziesiątego miesiąca Kimiko, bez żadnej zrozumiałej przyczyny, zniknęła — przepadła — przestała istnieć.

V

Nikt nie wiedział w jaki sposób i dokąd się udała. Nawet w sąsiedztwie domu, który opuściła, nie widziano żeby ona przeszła. W pierwszej chwili myślano, że chyba wkrótce powróci. Pozostawiła swe wszystkie piękne i kosztowne rzeczy — suknie, klejnoty, liczne podarunki, niczego nie wzięła. Ale tygodnie mijały, a ona najmnijsem słówkiem nie dawała znaku życia. Wobec tego zaczęto się obawiać, że może przytrafiło się jej coś złego. Gruntowano rzeki, szukano w studniach, wprawiono w ruch telegraf, listy. Rozesłano zaufanych służących, którzy mieli jej szukać. Za każdą wiadomość obiecano nagrodę — szczególnie wysoką dla Kimiki, która zresztą sama tak szczerze była przywiązana do swej przyjaciółki, że byłaby szczęśliwa, gdyby ją mogła znaleźć bez żadnej nagrody. Ale tajemnica pozostała tajemnicą. Zwracanie się do władz byłoby bezcelowem. Nic złego nie uczyniła, nie popełniła żadnej zbrodni. Nie można było wprawiać w ruch całego olbrzymiego systemu policji cesarskiej dla kaprysu zakochanego młodego czło-

wieka. Miesiące zmieniły się w lata, a ani Kimika, ani młodsza siostra w Kijoto, ani nikt z tych tysięcy, którzy znali i uwielbiali piękną tancerkę, nigdzie jej nie spotkali.

Spełniło się jednakże to, co przepowiadała — bo-wiem czas ociera wszystkie łzy i gasi wszelką tęskno-tę. Nawet w Japonji nie próbuje się dwa razy umrzeć z powodu jednego i tego samego nieszczęścia. Kochanek Kimiko uspokoił się; po pewnym czasie wy-szukano mu na żonę miłą osobkę, która dała mu syna. I znowu minęły lata — i szczęście zakwitło w pięknym pałacu z bajki, w którym kiedyś mieszkała Kimiko.

Pewnego poranku mniszka, chodząca po prośbie, pojawiła się niedaleko pałacu, a chłopczyk, usłyszawszy buddyjskie hasło „*Ha-il! Ha-il!*” pędem pobiegł ku bra-mie. Służąca, która, według zwyczaju, wyniosła pro-szącą zwykłą porcję ryżu, zdziwiła się, ujrawszy, że mniszka pieści chłopca i coś do niego szepcze.

— Czekaj! ja chcę jej to podać! — zawołał chłop-czyk do służącej.

A mniszka, spójrawszy z pod ocieniającego jej twarz szerokiego skrzydła słomianego kapelusza, ode-zwała się:

— Pokornie proszę, pozwól, aby dziecię podało mi jałmużnę.

Chłopak wysypał mniszce ryż do garnuszka, a ona podziękowała mu i zapytała:

— Chcesz jeszcze raz powtórzyć, co masz ode mnie powiedzieć ojcu?

Chłopczyk wyszeptał:

— Ojcie, ktoś, kogo nigdy na tym świecie nie zobaczysz, oświadcza ci, iż jest szczęśliwy, bo widział twego syna.

Mniszka uśmiechnęła się łagodnie, pogłaskała go znowu, poczem oddaliła się szybko.

Służąca zdziwiła się jeszcze bardziej, zaś chłopczyk pobiegnął czem prędzej powtórzyć słowa mniszki.

Ale, kiedy ojciec usłyszał te słowa, oczy zaszyły mu mgłą i, pochyliwszy się nad synem, zapłakał. Bo on i tylko on jeden wiedział, kto to był u bramy — i on jeden znał wielkość ofiary, jaka się w tem zdarzeniu kryła.

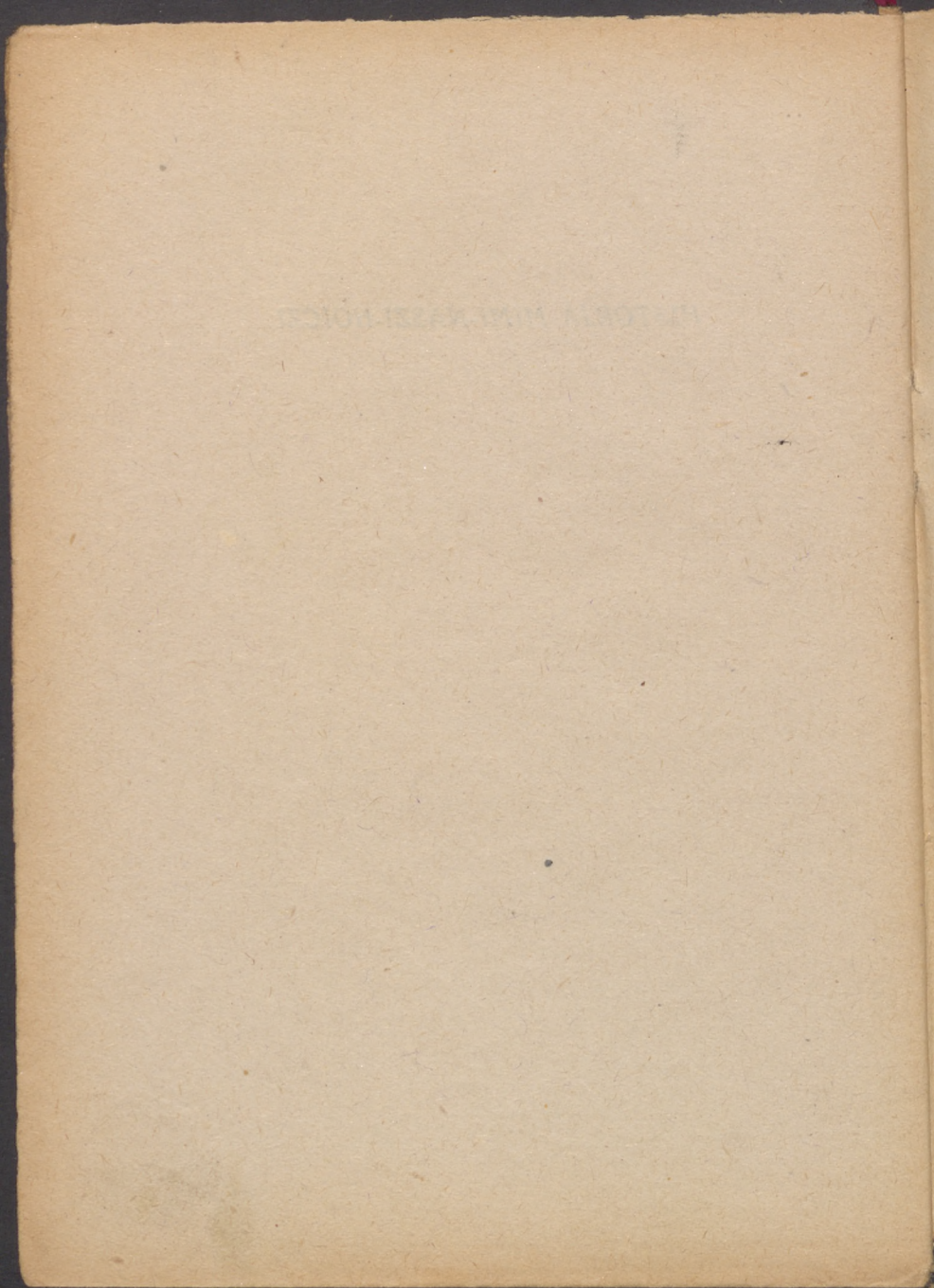
● Teraz rozmyśla dużo, ale nikomu nie mówi o czem.

Wie, że bliżej jest z jednego słońca na drugie, niż od niego do kobiety, która go pokochała.

Wie, że naprózno byłoby pytać w jakim dalekim mieście, w jakim fantastycznym zaułku ciasnych, bezimiennych uliczek, w jakiej zapomnianej małej świątynicy, znanej tylko najbiedniejszym z biednych, ona czeka ciemności przed Zmierzchem Niezmierzonego Światła — kiedy Twarz Nauczyciela uśmiechnie się do niej — i kiedy Głos Nauczyciela, słodszy i dźwięczniejszy od najdźwięczniejszego głosu ludzkiego, powie jej:

— O, córko moja w Zakonie, obrałaś drogę najlepszą — wierzyłaś i rozumiałaś prawdę najwyższą — a przeto wyszedłem naprzeciw ciębie, aby cię powitać.

(Kokoro).



Przeszło siedemset lat temu, pod Dan-noura, w cieśninie Shimonosiki odbyła się ostatnia bitwa, która zakończyła długie wojny między Heiké, czyli klanem Taira, a Gendzi, czyli klanem Minamoto. Klan Heiké został doszczętnie wyćiępiony wraz z kobietami, dziećmi i dziecięciem cesarzem — zwanem dziś Antoku Tenno. Morze i wybrzeża są w tem miejscu od siedmiuset lat nawiedzane przez duchy... Gdzie indziej opowiadałem już o dziwnych krabach, jakie się tu znajduje, a które, zwane krabami Heiké, noszą na grzbietach wyobrażenie twarzy ludzkiej i są uważane przez duchy wojowników Heiké.

Wogóle na tem wybrzeżu można zobaczyć i usłyszeć mnóstwo dziwnych rzeczy. W ciemne noce na wybrzeżu, lub też na falach, migocą upiorne ognie — blade płomyki, które rybacy nazywają Oni-bi, czyli ognie duchów, a kiedy zrywa się wicher, z morza dolatuje wielki krzyk, niby odgłos zgiełku wojennego.

W dawnych latach Heiké byli znacznie więcej przedsiębiorczymi niż dziś. Rzucali się na płynące nocą statki, starając się zatopić je i zawsze czyhali na pływaków, których ściągali pod wodę. Dla uspokojenia tych duchów, wzniesiono w Akamagaşeki bud-

dyjską świątynię Amidadzi. Niedaleko wybrzeża założono też cmentarz z nagrobkami, na których wyryto imię utopionego cesarza i największych jego wasalów. Nie dość na tem, za duchy tych zmarłych odprawiano regularnie buddyjskie nabożeństwa żałobne. Po zbudowaniu świątyni i założeniu cmentarza, Heiké nie dokazywali już tak bardzo, ale od czasu do czasu płatali różne przykre figle na dowód, że bynajmniej nie osiągnęli jeszcze zupełnego spokoju.

Przed paruset laty mieszkał w Akamagaseki niewidomy, nazwiskiem Hoiczi, słynny z recytowania wierszy i gry na lutni. Deklamacji i gry uczono go od dzieciństwa, tak, że jeszcze pacholęciem prześcigał swych mistrzów. Jako zawodowy *biwa-boszi**) wstąpił się głównie recytowaniem historii Heiké i Gen-dzi. Mówiono nawet, że gdy opiewał bitwę pod Dan-no-ura „nawet duchy nie mogły się powstrzymać od łez“.

Na początku swej kariery był Hoiczi bardzo biedny. Znalazł jednakże dobrego przyjaciela, który mu dopomógł. Oto kapłan Amidadzi bardzo kochał poezję i muzykę, skutkiem czego często zapraszał Hoiczi do świątyni, aby posłuchać jego gry i deklamacji. Później, zachwycony podziwu godną sztuką chłopca, kapłan zaproponował mu aby zamieszkał w świątyni, co Hoiczi oczywiście z wdzięcznością przyjął. Dano mu izdebkę, zaś on, wzamian za mieszkanie i pożywienie, miał w niektóre wieczory odpłacać się kapłanowi muzyką i deklamacją o ileby nie był gdzie indziej zaproszony.

Pewnej nocy letniej zawezwano kapłana do domu

*) *biwa* — lutnia, *biwa-boszi* — kapłan lutni.

jednego z umarłych parafjan w celu odprawienia buddyjskiego nabożeństwa żałobnego. Wziąwszy z sobą swego pomocnika, kapłan odszedł, pozostawiając Hoiczi samotnego w świątyni. Ponieważ noc była gorąca, niewidomy chciał ochłodzić się trochę na werandzie przed swą sypialnią. Weranda wychodziła na mały ogródek, znajdujący się na tyłach Amidadzi. W tym ogródku oczekiwał Hoiczi powrotu kapłana i, aby osłodzić sobie samotność, przygrywał od czasu do czasu na lutni. Północ minęła, a kapłan nie wracał. Ale wciąż jeszcze było za gorąco, aby móc szukać odpoczynku pod dachem, wobec czego Hoiczi siedział na werandzie. Nagle usłyszał kroki, zbliżające się od tylnej bramy. Ktoś przeszedł przez ogród, podszedł do werandy i zatrzymał się tuż przed nim — ale to nie był kapłan. Głęboki bas wymienił imię niewidomego — szorstko i bezceremonjalnie, sposobem samuraja, wołającego osobę niższego stanu:

— Hoiczil

Hoiczi tak się zląkł, że w pierwszej chwili nie mógł odpowiedzieć. Wówczas głos zawołał go znów tonem szorstkiej komendy:

— Hoiczil

— *Hail* — odpowiedział niewidomy, przerażony groźbą, brzmiącą w tym głosie — jestem niewidomy! — Nie wiem kto mnie woła.

— Niema powodu do strachu — odpowiedział nieznajomy trochę łagodniej — zatrzymałem się w pobliżu tej świątyni, ponieważ wysłano mnie do was z poselstwem. Mój pan, bardzo wysoki dostojnik, bawi obecnie w Akamagaseki wraz z wielu szlachetnie urodzonymi dworzanami. Pragnął ujrzeć miejsce bitwy pod Dan-no-ura i dziś właśnie zwiedził tę miejscowość. Dowiedziawszy się, jak wspaniale recytujecie historję tej bitwy, pragnie was usłyszeć, wobec czego bierzcie natychmiast *biwę* i śpieszcie, wraz ze mną, do

domu, w którym na was oczekuje dostojne zgromadzenie.

Nie usłuchać rozkazu samuraja było w owych czasach rzeczą niełatwą. Hoiczi obuł sandały, wziął *biwę* i wyszedł wraz z nieznajomym, który prowadził go bardzo zręcznie, ale zmuszał go do bardzo szybkiego chodu. Ręka, która go prowadziła, była żelazna, a rozlegający się za każdym krokiem chrzęst, świadczył o tem, iż rycerz był w pełnej zbroi—prawdopodobnie ktoś ze straży pałacowej, pełniący służbę. Pierwszy lęk Hoiczi minął. Pieśniarz myślał, że spotkało go wielkie szczęście, bo, przypomniawszy sobie wyrażenie dworzanina o „wysokim dostojniku“, przyszedł do przekonania, że wielki pan, przed którym ma wystąpić, musi być conajmniej dajmjem pierwszej klasy. Nagle samuraj zatrzymał się i Hoiczi zmiarkował, że stanęli pod szeroką bramą—dziwne mu tylko było, że, za wyjątkiem głównej bramy Amidadzi, nie mógł sobie przypomnieć ani jednej wielkiej bramy w tem mieście. — *Kaimon**)—wykrzyknął samuraj — poczem dał się słyszeć odgłos podnoszonych ryglów i niewidomy, wraz ze swym przewodnikiem, minął wrota. Przeszli przez ogród i znowu zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, gdzie dworzanin zawołał donośnym głosem.

— Słuchajcie! przyprowadziłem Hoiczi!

Dał się słyszeć tupot śpieszących nóg, zgrzyt odsuwanych okien, otwieranych drzwi i okrzyki kobiet. Po mowie kobiet Hoiczi poznał, że są to dworki w jakiejś pańskiej siedzibie, nie mógł jednak absolutnie zrozumieć gdzie się znajduje. Niewiele czasu jednak zostawiono mu na domysły. Wprowadziwszy

*) Pełne szacunku wyrażenie, domagające się otwarcia bramy, a używane przez samurajów wobec straży pałacowej na znak, że chcą mówić ze swym panem.

go na kilka kamiennych stopni, gdzie kazano mu zzuć sandały, kobieca ręka ujęła go za dłoń i poprowadziła go przez nieskończone przestrzenie gładkiej drewnianej posadzki, dokoła zdobnych w filarki rogów, zbyt licznych, aby je można spamiętać, wreszcie—przez zdumiewająco długie sale, wyścielone matami, aż na sam środek wielkiego apartamentu. Miał wrażenie, że zebrało się tu bardzo dużo ludzi, i bo szum jedwabiu podobny był do szumu liści w lesie. Słyszał też gwar licznych głosów, mówiących zcicha, zaś mowa ich była mową dworską.

Polecono mu usadowić się wygodnie i istotnie znalazł przygotowaną dla siebie poduszkę do klęczenia. Kiedy zajął na niej miejsce i nastroił lutnię, głos kobiety, w której domyślił się *Rodz*, czyli ochmistrzyni, przemówił do niego w następujący sposób:

— Żąda się, aby przy akompanjamencie *biwy*, została wyśpiewana historia klanu Heiké.

Ponieważ wyrecytowanie całej historii zajęłoby kilka nocy, Hoiczi ośmielił się zapytać:

— Ze względu na to, iż nieprędko da się opowiedzieć całą historję, którą część raczcie mi łaskawie rozkazać wygłosić?

Głos kobiety odpowiedział:

— Wygłoś historję bitwy pod Dan-no-ura—ponieważ żalność, jaką ona wzbudza, jest najgłębsza.

A wówczas Hoiczi podniósł swój głos i zanucił pieśń, opiewającą bój na gorzkich falach morza. Przedziwnie każąc swej lutni naśladować uderzenie wioseł o morze, szum sunących statków, buczenie bolców, świst strzał, okrzyki wojowników. A po lewicy i prawicy słyszał szmer głosów:— jakież to przedziwne artysta!— w naszej prowincji nigdy nie słyszeliśmy podobnej gry— w całym cesarstwie niema takiego pieśniarza, jak Hoiczi. — Wówczas w niego wstępowała nowa odwaga, tak, że grał i śpiewał jeszcze

lepiej niż przedtem i znowu odzywał się szmer podziwu dokoła niego. Kiedy jednak wreszcie zaczął śpiewać dzieje istot pięknych a bezbronnych — żalostną zgubę kobiet i dzieci — i śmiertelny skok Nü-No-Ama z cesarskiem dziecięciem w ramionach, wszyscy słuchacze wydali długi, długi, wstrząsający okrzyk zgrozy; a potem zaczęli płakać i biadać tak głośno i żalostnie, że niewidomy aż się zląkł bólu, jaki słuchaczom swym sprawił. To biadanie i powszechne łkanie trwało dłuższy czas. Stopniowo jednak odgłosy żalu umilkły i znowu w wielkiej ciszy, która po nich nastąpiła, Hoiczi usłyszał głos kobiety, którą uważał za Rodźo.

Mówiła:

— Aczkolwiek zapewniano nas, że po mistrzowsku gracie na lutni, a nie macie równego sobie w deklamacji, nie znamy nikogo, kto by mógł wykazać się taką sztuką, jak wy dzisiejszego wieczoru. Panu naszemu spodobał się do tego stopnia, iż oświadczył, że zamierza was odpowiednio wynagrodzić. Żąda jednak, abyście zabawiali go przez następnych sześć nocy — poczem, prawdopodobnie, raczy udać się w powrotną podróż. Zatem jutro wieczór macie przyjść o tej samej porze. Pośle się po was dworzannina, który was dziś tu przyprowadził. Ale muszę wam powiedzieć jeszcze jedno: wymagane jest, abyście, przez cały czas pobytu Jego Dostojności w Akamagaseki, nikomu o swych wizytach nie wspominali. Ponieważ jego dostojność podróżuje pod przybranem nazwiskiem, rozkazuje aby o nim nie wspomiano. A teraz możecie wrócić do swej świątyni.

Kiedy Hoiczi wyraził w należyty sposób swe podziękowanie, ręka kobieca zawiadła go do wrót domu, gdzie ten sam dworzannin, który go tu przywiódł, czekał, aby go odprowadzić zpowrotem. Odprowa-

dziwszy go aż do samej werandy na tyłach świątyni, pożegnał się z nim.

Brzask już był, gdy Hoiczi wrócił do domu, ale nieobecności jego w świątyni nie zauważono, ponieważ kapłan, wróciwszy do domu bardzo późno, był przekonany, że on już śpi. W dzień Hoiczi miał sposobność odpocząć trochę; o swej dziwnej przygodzie wogóle nikomu nie wspominał. Następnego wieczoru o północy ten sam samuraj znowu przybył po niego i zaprowadził go przed dostojne zgromadzenie, przed którym Hoiczi popisywał się w dalszym ciągu z niemniejszym powodzeniem, jak podczas swego pierwszego występu. Tym razem jednak przypadkowo zauważono jego nieobecność w świątyni, a kiedy rano wrócił, zawezwano go do kapłana, który oświadczył mu tonem delikatnego wyrzutu:

— Przyjacielu Hoiczi, byliśmy o was bardzo niepokojni. Wychodzić o tej porze — to dla człowieka samotnego i niewidomego rzecz bardzo niebezpieczna. Czemużeście nam nie powiedzieli, że chcecie wyjść? Byłbym posłał z wami służącego. Gdzieżeście byli?

Hoiczi odpowiedział wymijająco:

— Wybaczcie, drogi przyjacielu, miałem pewną sprawę osobistą i nie mogłem załatwić jej o innej godzinie.

Odpowiedź ta nie obraziła kapłana, ale raczej zaskoczyła. A ponieważ wydała mu się też nienaturalną, zaczął coś podejrzewać. Obawiał się, czy przypadkiem złe jakieś duchy nie opętały pieśniarza i nie sprowadziły go na bezdroża. Więcej pytań już nie zadawał, jednakowoż nakazał służbie w świątyni uważać ściśle na to, co Hoiczi robi i iść za nim w razie, gdyby znowu w nocy opuścił świątynię.

Następnej nocy, która była przypadkowo bardzo

ciemna, ujrzano Hoiczi wychodzącego z świątyni, wobec czego służba natychmiast zapaliła swe latarnie i udała się za nim. Noc była dżdżysta i bardzo ciemna, tak, że, zanim służba ze świątyni mogła stanąć na gościńcu, Hoiczi zniknął. Widocznie szedł bardzo szybko — rzecz dziwna, o ile się wzięło pod uwagę jego ślepotę, zwłaszcza, że droga była w bardzo złym stanie. Służący biegali po ulicach, zatrzymując się w każdym domu, który Hoiczi zwykł był odwiedzać, lecz nikt nie mógł im o nim niczego powiedzieć. Wreszcie, wracając do świątyni drogą, idącą brzegiem morskim, zdumieli się nagle, usłyszawszy dźwięki lutni, na której ktoś grał na cmentarzu Amidadzi. Wyjawszy kilka błędnych ogników, jakie zwykle pokazywały się tu ciemnymi nocami, wszystko w kierunku cmentarza spowite było w ciemności. Służba, mimo wszystko, pośpieszyła w tę stronę i tu odkryła przy świetle latarni Hoiczi — siedzącego samotnie na deszczu, przed pomnikiem Antoku Tenno, grzmiącego na lutni i opiewającego głośno dzieje bitwy pod Dan-no-ura. Przed nim, za nim i dookoła niego, niby świece, płonęły ogniki umarłych. Nigdy dotychczas oczom śmiertelnych nie pojawiło się takie mnóstwo Oni-bi.

— Hoiczi San! Hoiczi San! — wołali służący — zczarowano was... Hoiczi San!

Zdawało się jednak, że niewidomy nie słyszy. Z wysiłkiem wydobywał dźwięki ze swej lutni, zmuszając ją do grzmienia i coraz to gwałtowniej śpiewał pieśń bitwy pod Dan-no-ura. Służący złapali go i krzyknęli mu do ucha.

— Hoiczi San! Hoiczi San! wracajcie z nami natychmiast do domu.

Na co on z nagana odpowiedział:

— Przerywać mi w ten sposób, wobec tak dostojnego zebrania, to rzecz, która będzie ukarana,

A wówczas służący, mimo dziwnego położenia, nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Pewni, że on został oczarowany, chwycili go, dźwignęli na nogi i gwałtem zaprowadzili do świątyni — gdzie mu, na rozkaz kapłana, zdjęto mokre suknie, przebrano w suche i dano jeść i pić. A wówczas kapłan zmusił swego przyjaciela do zupełnego wytłumaczenia się ze swojego dziwnego postępowania.

Hoiczi długi czas nie chciał mówić, wkońcu jednak, wiedząc, iż jego postępowanie naprawdę zaniepokoiło i rozgniewało dobrego kapłana, postanowił zdradzić swą tajemnicę. Wobec tego opowiedział o wszystkim, co się stało od pierwszych odwiedzin samuraja.

Kapłan rzekł:

— Hoiczi, mój biedny przyjacielu, grozi ci w tej chwili wielkie niebezpieczeństwo. Jakże to źle, że przedtem już nie opowiedziałeś mi o tem wszystkim. Twoja, podziwu godna, sztuka sprowadziła na ciebie niebezpieczeństwo. Dowiedźże się, że nie odwiedzałeś żadnego domu, ale spędzałeś noce wśród grobów Heiké — zaś ludzie moi znaleźli cię ostatniej nocy, siedzącego na deszczu, przed pomnikiem Antoku Tenno. Wszystko, coś sobie wyobrażał, to tylko złudzenie, wyjawszy jedno tylko, a mianowicie — wezwanie zmarłych. Uczyniwszy mu zadość, sam oddałeś się pod ich władzę. Jeśli po tem, co już się stało, będziesz ich słuchać w dalszym ciągu, podraż cię na sztuki. Podarliby cię w każdym razie wcześniej czy później. Niestety, nie mogę dziś w nocy pozostać z tobą, zaproszono mnie na nocne nabożeństwo, za nim jednak odejdę, muszę zabezpieczyć twoje ciało zapomocą wypisania na niem świętych egzorcyzmów.

Przed zachodem słońca, kapłan i jego pomocnik rozebrali Hoiczi, poczem namalowali, służącemi do pisania pędzelkami, na jego piersiach i plecach, gło-

wie, twarzy, karku, rękach, nogach i wszystkich członkach, nawet na stopach, podszwach i wszystkich częściach ciała teksty ze świętej sutry, zwanej Hamija-Szin-Kijo. Kiedy to skończono, kapłan w następujący sposób pouczył niewidomego.

— Wieczorem, jak tylko wyjdę, musisz usiąść na werandzie i czekać. Będziesz znowu nawiedzony. Jednakże, coby się nie działo, nie odpowiadaj i nie ruszaj się. Nie mów nic, lecz siedź spokojnie, jakgdyby pogrążony w rozmyślaniach. Jeśli się tylko ruszysz, lub w jakikolwiek sposób narobisz hałasu, zostaniesz podarty na strzępy. Tylko się nie lękaj i nie wzywaj przypadkiem pomocy — bo nikt ci nie jest w stanie pomóc. Jeśli dokładnie zrobisz tak, jak ci polecam, niebezpieczeństwo minie i nie będziesz się miał czego obawiać.

Kapłan, po zapadnięciu ciemności, odszedł, wraz ze swoim pomocnikiem, a Hoiczi, stosownie do otrzymanych wskazówek, usiadł na werandzie. Położywszy tuż przy sobie na podłodze lutnię, przybrał pozę medytacji i tak siedział cicho, starając się nie kaszlnąć i wstrzymując oddech. Tak przetrwał kilka godzin.

Aż wreszcie usłyszał kroki, zbliżające się od strony gościńca. Kroki te minęły wrota, przemierzyły ogród, zbliżyły się do werandy i umilkły tuż przed nim.

— Hoiczil — zawołał głęboki bas.

Ale niewidomy siedział bez ruchu, zatrzymawszy oddech.

— Hoiczil — z gniewem zawołał głos po raz wtóry. A wreszcie po raz trzeci, groźnie:

— Hoiczil

Hoiczi siedział nieruchomo, milcząc, jak głaz; głos zamruczał:

— Niema odpowiedzi... o tak to nie pójdzie. Muszę zobaczyć, gdzie ten drab się schował.

Dało się słyszeć stąpanie ciężkich stóp na stopniach werandy. Kroki, jakby z namysłem, zbliżały się i ucichły tuż przy niewidomym, poczem przez długą chwilę, podczas której Hoiczi czuł, jak całe jego ciało drga w takt bicia jego serca, panowała martwa cisza.

Wreszcie posepny głos mruknął tuż nad jego uchem:

— Oto lutnia; z lutnisty widzę jednak tylko dwoje uszu... Tem się tłumaczy brak odpowiedzi z jego strony: nie mając ust — nie może odpowiedzieć. Bo, prócz uszu, nic z niego nie pozostało... Zaniose tedy te uszy swemu panu na dowód, że jego łaskawe rozkazy zostały wykonane w granicach możliwości.

W tej chwili Hoiczi uczuł, że żelazne szpony chwyciły go za uszy i wydarły mu je. Mimo wielkiego bólu, nie krzyknął. Ciężkie stąpanie zagrzmiało na werandzie, zeszło do ogrodu — zaczęło się oddalać ku gościńcowi — ucichło. A niewidomy czuł, jak po obu stronach jego głowy spływają ciepłe strumyczki, ale nie śmiał podnieść rąk.

Kapłan wrócił przed świtem. Natychmiast pośpieszył ku werandzie, wbiegł na schodki, pośliznął się na czemś lepkiem i wydał okrzyk zgrozy, ponieważ ujrzał przy świetle swej latarni, że to coś lepkiego — to krew. Zobaczył też siedzącego na werandzie, w pozie człowieka zamyślnego; Hoiczi z broczącymi wciąż jeszcze ranami.

— Biedny Hoiczi! — zawołał przerażony kapłan. — Cóż to takiego? Jesteś raniony?

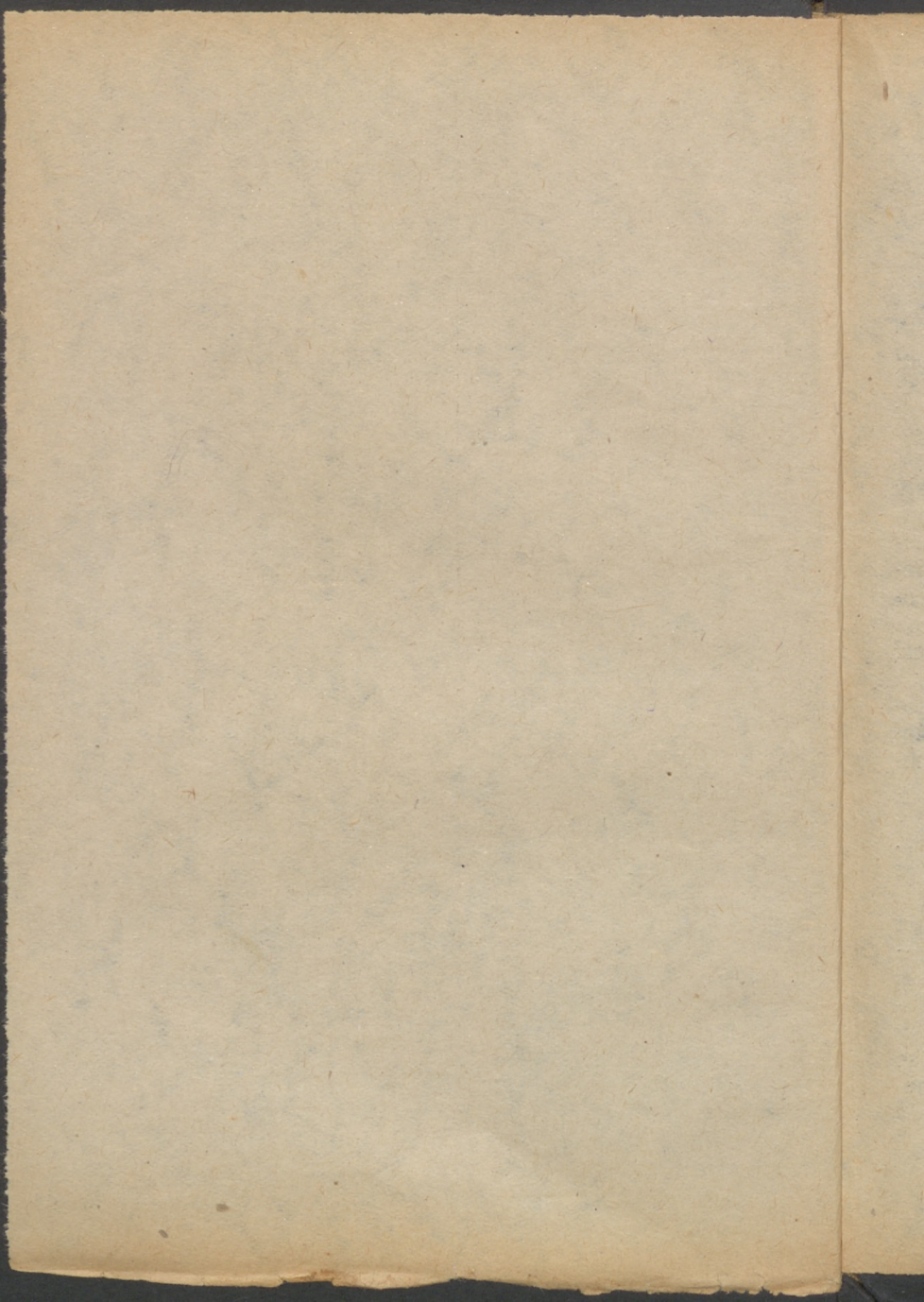
Na dźwięk głosu przyjaciela, niewidomy uczuł się ocalony. Wybuchnął łkaniem i, płacząc, opowiedział mu swą nocną przygodę.

— Biedny, biedny Hoiczi! — wykrzyknął kapłan — a wszystko to moja wielka wina. Na całym ciebie napisałem ci święte zaklęcia, wyjąwszy tylko uszy! Poleciałem zrobić to swemu pomocnikowi i bardzo źle zrobiłem, że nie sprawdziłem, czy on me polecenie wypełnił. Trudno, teraz nic już nie poradzimy; możemy się tylko starać wyleczyć wasze rany jak najprędzej... Głowa do góry, przyjacielu! — nic ci już teraz nie grozi. Nigdy więcej nie będą cię nawiedzali tacy goście.

Z pomocą dobrego doktora, Hoiczi wkrótce wyleczył się ze swych ran. Historia jego dziwnej przygody rozeszła się szeroko i daleko i wkrótce zrobiła go sławnym. Wiele dostojnych osób przybywało do Akamagaseki, aby usłyszeć jego deklamację, za co dawano mu znaczne sumy, — tak, iż stał się bogatym człowiekiem... Ale od czasu tej przygody, znany był tylko pod nazwą Mimi-naszi Hoiczi, co znaczy: Hoiczi — bez — Uszu.

(Kwaidan).

ROKURO-KUBI



Mniej więcej pięćset lat temu żył samuraj, nazwiskiem Izogai Heidadzoemon Takecura, w służbie pana Kikudzi z Kijuszu. Ten Izogai odziedziczył, po wielu bardzo bitnych przodkach, wrodzone zdolności do rycerskiego rzemiosła, oraz nadzwyczajną siłę. Jeszcze jako pacholę przewyższał swych mistrzów w sztuce szermowania się, strzelania z łuku i używania oszczepu i wykształcił w sobie wszystkie zalety śmiałego i zręcznego żołnierza. Później, za czasów wojny Ei Kijo, odznaczył się tak, że obsypano go wysokimi dostojenstwami. Ale kiedy rodzina panów Kikudzi została doprowadzona do upadku, Izogai pozostał bez pana. Prawda łatwo mógł wstąpić do służby drugiego *daimja*. Ponieważ jednak nie szukał nigdy zaszczytów dla siebie i ponieważ serce jego na zawsze pozostało wierne dawnemu panu, postanowił wyrzec się świata. Ostrzygł się i stał się kapłanem wędrownym—przyjąwszy buddyjskie imię Kwairijo.

Mimo to, zawsze pod *koromą**) biło w nim serce samuraja. Jak kiedyś śmiał się z niebezpieczeństwa w boju, tak gardził niem dziś i o każdej porze roku,

*) *Koromo* — wierzchnia suknia buddyjskiego kapłana.

bez względu na pogodę, podróżował, aby głosić słowo boże w miejscach, gdzie żaden inny kapłan nie śmiałyby się pokazać. Albowiem wiek ten był wiekiem gwałtu i zamieszek i samotnemu podróżnemu, choćby nawet był kapłanem, zawsze groziło na gościńcu niebezpieczeństwo.

Podczas swej pierwszej dłuższej podróży Kwairijo miał sposobność zwiedzić prowincję Kai. Pewnego wieczoru, po długim marszu przez góry, panujące w tej prowincji ciemności zaskoczyły go w miejscu bardzo samotnym, odległym o całe mile od jakiegokolwiek wioski. Wobec tego postanowił spędzić noc pod gołym niebem, a znalazłszy odpowiedni, porosły trawą wzgórek przy drodze, wyciągnął się na nim i przygotowywał się do snu. Nigdy nie unikał niewygód i nawet nagi głaz, jeśli nie można było znaleźć nic innego, był dla niego dobrym łóżem, a korzeń sosny doskonałą poduszką. Członki jego ciała były z żelaza, tak, że nigdy nie dbał o rosę, deszcz, mroź lub śnieg.

Ledwo się położył, pojawił się na drodze człowiek z siekierą i wielką wiązką drewna. Ujrawszy leżącego Kwairijo, drwał zatrzymał się i, po chwili milczącej obserwacji, rzekł tonem wielkiego zdziwienia:

— Kimże właściwie jesteście, dobry panie, że nie boicie się leżeć samotnie w takim miejscu, jak to?... Są tu straszdyła — wiele straszdeł... Czy nie boicie się Kudłatych Istot?

— Mój przyjacielu! — odpowiedział mu pogodnie Kwairijo — jestem tylko wędrownym kapłanem — „Gościem Chmury i Wody“, jak to lud nazywa: *Un-sui-no rjokaku*. Nic a nic nie obawiam się Kudłatych Istot — o ile rozumie się przez nie bisy- duchy i inne stworzenia tego rodzaju. Co się tyczy miejsc samotnych, to lubię je: nadają się doskonale na me-

dytację. Przyzwyczajony jestem do spania pod gołem niebem, a nauczyłem się nie bać się nigdy o swoje życie.

— Musicie być naprawdę dzielnym człowiekiem — rzekł wieśniak — aby się odwarzyć w takim miejscu ułożyć na nocny spoczynek. Oslawione to miejsce — bardzo źle sławy. Ale, jak przysłowie głosi: *Kunshi ajajukini czikajorazu* — człowiek wyższej inteligencji nie powinien się bez potrzeby narażać na niebezpieczeństwa, a zapewniam was, panie, że spać tu byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną, dlatego, mimo iż mój dom jest tylko nędzną, słomą krytą, chatą, pozwólcie mi zaprowadzić was do niej. Żywności ofiarować wam nie mogę, bo sam nic nie mam, ale jest przynajmniej dach, pod którym możecie spać bez obawy.

Mówił poważnie i Kwairijo, któremu się spodobał uprzejmy ton tego wieśniaka, przyjął jego skromną propozycję. Drwal poprowadził go wąską ścieżką, wiodącą z gościńca przez gęsty górski las. Była to stroma i niebezpieczna droga, biegnąca czasem skrajem przepaści, czasem nie dająca nodze żadnego oparcia, prócz sieci śliskich korzeni — to znów wijąca się wśród mas spiętrzonych skał. Ale wreszcie Kwairijo znalazł się na wykarczowanej przestrzeni na szczycie wzgórza, z księżycem w pełni nad głową, przed sobą zaś ujrzał małą, słomą pokrytą, strzechę, z wesoło płonącym wewnątrz światłem. Drwal zaprowadził go do znajdującego się za domem koryta, przez które przepływała woda, sprowadzona z jakiegoś niedalekiego strumienia zapomocą bambusowych rur; tu obaj umyli nogi. Za korytem znajdował się ogród warzywny oraz grupa cedrów i bambusów, a za drzewami widać było blask siklawy, spadającej z wielkiej wysokości i kołyszącej się w świetle księżyca, jak długa, biała suknia na wietrze.

Kiedy Kwairijo wszedł za swym przewodnikiem

do chaty, zauważył cztery osoby — mężczyzn i kobiety, grzejące ręce przy małym ogniu, umieszczonym w ro*) w głównej izbie. Niski ukłon złożyli kapłanowi i powitali go z całym, należnym mu, szacunkiem. Kwairijo zdziwił się, że ludzie tak biedni i mieszkający w takim pustkowiu, znają tak wytworne formy uprzejmego pozdrowienia.

— Dobrzy to ludziska — pomyślał w duchu — i prawdopodobnie nabyli wykształcenia od kogoś, kto się na tem rozumiał.

Wobec tego, zwróciwszy się do swego gospodarza — do *arudzi*, czyli pana domu, jak go inni nazywali — Kwairijo rzekł:

— Z grzeczności waszej mowy i uprzejmości, okazanej mi przez członków waszej rodziny, wnioskuję, że niezawsze byliście drwalem. Czy przypadkiem nie należeliście przedtem do wyższej kasty społeczeństwa?

Drwal, uśmiechając się, odpowiedział:

— Tak jest, panie, nie mylicie się. Żyjąc tu, jak sami widzicie, kiedyś byłem osobistością nie pozbawioną pewnego znaczenia. Historia moja jest historją zniszczonego życia — zniszczonego z mej własnej winy. Byłem kiedyś w służbie pewnego *daimja* i miałem dość znaczną nawet rangę. Ale -- lubiałem zanadto kobiety i wino i pod wpływem namiętności dopuszczałem się rzeczy karygodnych. Moje samolubstwo spowodowało ruinę mego domu i śmierć wielu ludzi. Zaczęto mnie ścigać i przez długi czas byłem w kraju zbiegiem. Teraz niejednokrotnie modłę się o to, abym mógł, bodaj w części, wynagrodzić zło, które uczyniłem, i znowu wskrzesić dom swych przodków. Obawiam się jednak, że nigdy już nie potrafię tego

*) *Ro* — jest to coś w rodzaju kominka, umieszczonego w podłodze izby. Mianowicie *ro* jest kwadratowym, płytkim dołkiem, obrębionym metalową obręczą i napół wypełnionym popiołem, na którym żarzą się węgle.

uczynić. Mimo wszystko, staram się przezwyciężyć *karmę**) swych błędów zapomocą szczerzej skruchy i niesienia pomocy—w granicach mej możliwości—tym, których los ściga.

To dobre postanowienie uradowało Kwairijo, wobec czego rzekł do *arudzi*:

— Mój przyjacielu, niejednokrotnie miałem sposobność zauważyć, że ludzie, skłonni do szaleństw w swej młodości, w późniejszym wieku bardzo poważnie myślą o życiu prawdziwym. W świętych *sutrach* napisano, że największy zbrodniarz może, skutkiem skruchy i dobrych postanowień, stać się człowiekiem świętym. Nie wątpię, że macie dobre serce i spodziewam się, że zaznacie jeszcze lepszych czasów. Dziś w nocy odmówię *sutry* za was i będę się modlił abyście zyskali siłę do przezwyciężenia *karmy* wszystkich dawnych błędów.

Po tych zapewnieniach Kwairijo powiedział *arudzi*, czyli dobranoc, gospodarz zaprowadził go do małej bokówki, gdzie już było pościelono łóżko. Wtedy wszyscy udali się na spoczynek, wyjawszy kapłana, który zaczął czytać *sutry* przy świetle papierowej latarni. Czytał i modlił się do późnej godziny, poczem otworzył okno swej małej sypialni, aby, po raz ostatni przed spaniem, spojrzeć na rozciągający się przed nim nadole widok.

Noc była piękna, niebo bez chmur. Nie było wiatru, a mocne światło księżycowe rzucało na ziemię ostre, czarne cienie liści i ślizgało się po rosie w ogrodzie. Świdrujący głos świerszczów i innych owadów powodował muzykalny zgłęb, a wraz z nocą pogłębiał się grzmot niedalekiej siklawy. Słuchając szumu spadającej wody, Kwairijo doznał uczucia pragnienia i, przypomniawszy sobie bambusowy wodo-

*) Przeznaczenie.

ciąg za domem, pomyślał, że, nie budząc nikogo, może tam pójść i napić się. Pocichutko odsunął drzwi w ścianie, która oddzielała jego bokówkę od głównej izby, i przy świetle latarni ujrzał pięć leżących ciał — bez głów!..

Przez chwilę stał osłupiały, przypuszczając, że popełniono zbrodnię. Przyjrząwszy się jednak bliżej, zauważył, że niema wcale krwi i że bezgłowe karki wcale nie noszą śladu cięć. A wówczas pomyślał w duchu:

— Albo to jest złudzenie, spowodowane przez duchy, albo też zwabiono mnie do mieszkania Rokuro-Kubi. W księdze *Soszinki* napisano, że jeśli kto znajdzie ciało Rokuro-Kubi bez głowy i położy je na innym miejscu, głowa nigdy nie potrafi napowrót połączyć się z karkiem. A dalej mówi ta księga, że jeśli głowa powróci i zobaczy, iż ciało jej usunięto, trzy razy uderzy o podłogę, podskakując jak pitka, zastuka, jak w wielkiej trwodze, i natychmiast skona. Otóż, jeśli to są Rokuro-Kubi, nie mogę się po nich niczego dobrego spodziewać, wobec czego mam prawo postąpić według wskazówek księgi.

Chwycił za nogi ciało *arudzi*, pociągnął ku oknu i wyrzucił. Następnie zbadał drzwi, które znalazł zamkniętymi od wewnątrz, wobec czego doszedł do przekonania, że głowy wyleciały przez znajdujący się w dachu dymnik, który zostawiono otwartym. Pocichu, odsunawszy zasuwę od drzwi, wyszedł do ogrodu, skąd posuwał się z największą ostrożnością ku znajdującym się za nim zaroślom. Usłyszał w gąszczu głosy, wobec czego ruszył w ich kierunku, przebiegając ukradkiem z cienia w cień, póki nie znalazł odpowiedniej kryjówki. Wówczas, stojąc za pnem drzewa, ujrzał głowy — wszystkie pięć głów — latające wokół i przytem rozmawiające. Jadły robaki i owady, które znajdowały na ziemi lub wśród drzew. Nagle głowa *arudzi* przestała jeść i rzekła:

— Ach — ten wędrowny kapłan, który dziś przyszedł — jakież on jest tłusty. Kiedy go zjemy, będziemy mieli pełne brzuchy. Niepotrzebnie tyle mu nagadałem — doprowadziło to tylko do tego, że odmawia *sutry* za moją duszę! Trudno byłoby zbliżyć się do niego, jak długo je odmawia; dopóki się modli nie możemy go dotknąć. Ponieważ jednak jest już nad ranem, może położył się spać. Niechno ktoś uda się do domu i zobaczy co on tam robi.

Natychmiast druga głowa — młodej kobiety — zerwała się i poleciała w kierunku domu, lekko, jak nietoperz. Po chwili wróciła i zawołała ochryplym z przerażenia głosem:

— Wędrownego kapłana niema w domu — poszedł! Ale to jeszcze nie wszystko. Wziął ciało naszego *arudzi* i nie wiem co z niem zrobił.

Usłyszawszy to, głowa *arudzi* — widna wyraźnie w świetle księżycy — przybrała straszny wygląd: oczy wytrzeszczyły się, włosy się zjeżyły, zęby zgrzytnęły, usta zadrgały od płaczu i, podczas kiedy po policzkach ściekały łzy wściekłości, wykrzyknęły:

— Skoro ciało moje usunięto nabok, niepodobniestwem jest dla mnie trafić do niego, to znaczy, że muszę umrzeć. A wszystko przez tego kapłana. Lecz, zanim umrę, zemszczę się na nim — podrę go w sztuki, pożrę go!... A on jest tu — za tem drzewem! — schowany za tem drzewem! widzicie go, tłustego tchórzal!

W tej samej chwili głowa *arudzi*, a za nim pozostałe cztery głowy, skoczyły ku Kwairijo. Ale dzielny kapłan zdołał się już uzbroić w młode drzewko, które po drodze wyrwał z ziemi, i w miarę, jak głowy nadlatywały, odtrącał je, wymierzając im potężne ciosy.

Cztery głowy uciekły. Ale głowa *arudzi*, choć wciąż odtrącana, niezmordowanie skakała ku kapłanowi i wreszcie złapała go za lewy rękaw sukni. Mimo to

Kwairijo chwycił głowę z niemniejszą szybkością za czub i kilkakrotnie uderzył. Głowa nie rozwarła zębów, ale, wydawszy przeciągły jęk, zaprzestała walki. Była martwa. Ale zęby jej wciąż trzymały rękaw i Kwairijo, mimo całej swojej niepospolitej siły, nie mógł jej szczęk rozedrzeć.

Wtedy, z głową wiszącą u rękawa, powrócił do domu, gdzie zastał czworo pozostałych Rokuro-Kubi, kucających razem z pokaleczonemi i pokrwawionemi głowami, połączonemi już napowrót z ciałami. Ujrawszy go w tylnych drzwiach, wrzasnęły:

— Kapłan! Kapłan! — i, wybiegłszy przez drugie drzwi, uciekły do lasu.

Niebo zaczęło na wschodzie szarzeć. Zbliżał się świt, a Kwairijo wiedział, że siła złych duchów kończy się o brzasku. Spojrzał na głowę, przyczepioną do rękawa, z twarzą okrytą krwią, pianą i gliną, i roześmiał się na cały głos, myśląc:

— Co za *mijage**) głowa upiora! To rzekłszy, spakował swe manatki i spokojnie zeszedł z góry, aby się udać w dalszą drogę.

Wędrował tak, poki wreszcie nie przyszedł do miasta Süwa w Szinano i uroczyście paradował przez główną ulicę Süwy z głową, dyndającą u rękawa. Na ten widok kobiety mdlały, dzieci piszczały i uciekały; zebrało się wielkie zbiegowisko, które hałasowało póki *torite*, jak wówczas zwano policję, nie aresztowała kapłana i nie zamknęła go w więzieniu. Albowiem wszyscy byli przekonani, że ta głowa, to głowa zamordowanego, która w chwili morderstwa wpiła się zębami w jego rękaw. Co się tyczy Kwairijo, to badany uśmiechał się tylko i nic nie odpowiadał. Wobec tego, po nocy, spędzonej w więzieniu, zaprowadzono

*) Pamiątka, a właściwie to, co dziś nazywa się „souvenir“.

go przed urzędników destryktu. Ci kazali mu wytłumaczyć w jaki sposób on, kapłan, może posiadać tę głowę, umocowaną do rękawa i jak śmie tak bezwstydnie popisywać się swą zbrodnią przed tłumem.

Kwairijo długi czas śmiał się głośno z tych pytań, a potem odpowiedział:

— Panowie, ja tej głowy do mego rękawa nie przypiąłem. Ona przypięła się sama—i to najzupełniej wbrew mej woli. Nie popełniłem żadnej zbrodni, ponieważ to nie jest głowa człowieka, lecz głowa upiora i, jeśli nawet spowodowałem śmierć upiora, to nie dopuściłem się rozlewu krwi, lecz uczyniłem to tylko w obronie własnego życia.

Tak w dalszym ciągu opowiadał całą historję, wybuchając od czasu do czasu serdecznym śmiechem, kiedy opisywał swą walkę z pięciu głowami.

Ale urzędnicy tymnajmniej się nie śmieli. Uważali go za zatwardziałego zbrodniarza, a jego historję za obrazę swej inteligencji. Skutkiem tego, nawet nie badając go dalej, postanowili zarządzić natychmiastową jego egzekucję—wszyscy, jak jeden mąż, wyjąwszy jednego staruszka. Ten stary urzędnik ani razu się podczas śledztwa nie odezwał, kiedy jednak usłyszał wyrok, wydany przez swych kolegów, powstał i rzekł:

— Pozwólcie, byśmy naprzód starannie obejrzeni głowę, bo, jak mi się zdaje, dotychczas tego nie zrobiono. Jeśli kapłan mówi prawdę, głowa sama wyda za nim świadectwo... Dajcie tu głowę!

Wobec tego przedłożono sędziom głowę, trzymającą wciąż w zębach *koronę*, którą zdjęto z ramion Kwairija. Staruszek zaczął ją obracać i, zbadawszy uważnie, odkrył na karku kilka dziwnych, czerwonych charakterów. Zwróciwszy na to uwagę swych kolegów, zaznaczył również, że w żaden sposób nie widać, aby

kark był przecięty jakąś bronią. Przeciwnie, linja przecięcia była gładka, jak miejsce, w którem zwiędły liść odrywa się od łodygi... A wówczas staruszek rzekł:

— Jestem niezbitcie przekonany, że kapłan nie powiedział nam nic więcej, prócz prawdy. To rzeczywiście głowa Rokuro-Kubi. W księdze *Nan-ho-i-b cusi* napisano, że na karku prawdziwego Rokuro-Kubi zawsze można znaleźć pewne charaktery. Oto są te charaktery i sami widzicie, że nie są namalowane. Prócz tego, wiadomo doskonale, że upiory te oddawna mieszkały w górach prowincji Kai. Ale wy, panie, wykrzyknął, zwracając się do Kwairijo, jakimże to zuchwałym jesteście kapłanem? Dalszcie dowód odwagi, jaką mało kapłanów może się popisać, a wygładacie raczej na żołnierza, niż na osobę duchowną. Czy nie należeliście przypadkiem kiedyś do kasty rycerskiej?

— Zgadliście, panie, — odpowiedział Kwairijo — zanim zostałem kapłanem uprawiałem rzemiosło rycerskie i w owym czasie nie bałem się ani człowieka, ani diabła. Nazywałem się wówczas Izoga Heidadzomon Takecura z Kijuszu; być może znajdują się między wami tacy, którym imię to obcem nie jest.

Jak tylko wypowiedział te słowa, w sali sądowej zerwał się pomruk uwielbienia, albowiem wielu z obecnych imię jego dobrze znali. Teraz, zamiast być wśród sędziów, znalazł się Kwairijo wśród przyjaciół, pragnących wszelkimi sposobami dowieść mu o swej braterskiej miłości. Z wszelkimi honorami odprawdzili go do rezydencji *daimja*, który przywitał go serdecznie, nakarmił, a przed odejściem zaszczycił go pięknym podarunkiem. Opuszczając Süwę, Kwairijo był tak szczęśliwy, jak szczęśliwy może być kapłan w tym świecie wiecznego przemijania. Co się tyczy głowy, to dźwigał ją u rękawa, jak i przedtem, żartobliwie twierdząc, że uważa ją za swoją pamiętkę.

A teraz pozostaje nam tylko powłedzieć, co stało się z głową.

Jakoś w dwa dni po opuszczeniu Süwy, Kwairija napadł rabuś, który go zatrzymał w samotnem miejscu i kazał mu się rozebrać. Kwairijo natychmiast zdjął swoją *koromę* i ofiarował ją bandycie, który dopiero wówczas zobaczył co wisiało u rękawa. Zbójca, mimo swej odwagi, wzdrygnął się, rzucił szaty na ziemię i odskoczył wtył. A potem wykrzyknął:

— E, słuchajcie no, a cóż to z was znowu za kapłan? Do diabła, wyście znacznie gorszy człowiek niż ja! Nie przeczę, że zdarzyło mi się tu i owdzie kogoś zamordować, ale nigdy nie spacerowałem z czyjąś głową, przyczepioną do rękawa... Słuchajcie, jegomość, zdaje mi się, że jesteśmy obaj tego samego fachu i muszę wam powiedzieć, że was podziwiam... Ale wiecie co? Ta głowa mi się przyda: będę mógł nią straszyć ludzi. Sprzedacie mi ją? Za swoją *koromę* możecie wziąć mój kaftan, a ja dam wam pięć złotych dukatów za głowę.

Kwairijo odpowiedział:

— Możecie mieć głowę i suknię, jeżeli wam na tem zależy. Ale muszę wam powiedzieć, że to nie jest głowa ludzka, lecz głowa upiora. Wobec tego, jeśli, kupiwszy ją, będziecie mieli z tego powodu nieprzyjemności, bądźcie łaskawi zapamiętać, że was nie oszukiwałem.

— Co za byczy kapłan!—zawołał bandyta — morduje ludzi, a potem jeszcze dowcipkuje. Ale ja mówię poważnie: tu mój kaftan, tu pieniądze—dawajcie łeb! Poco tu żarty!

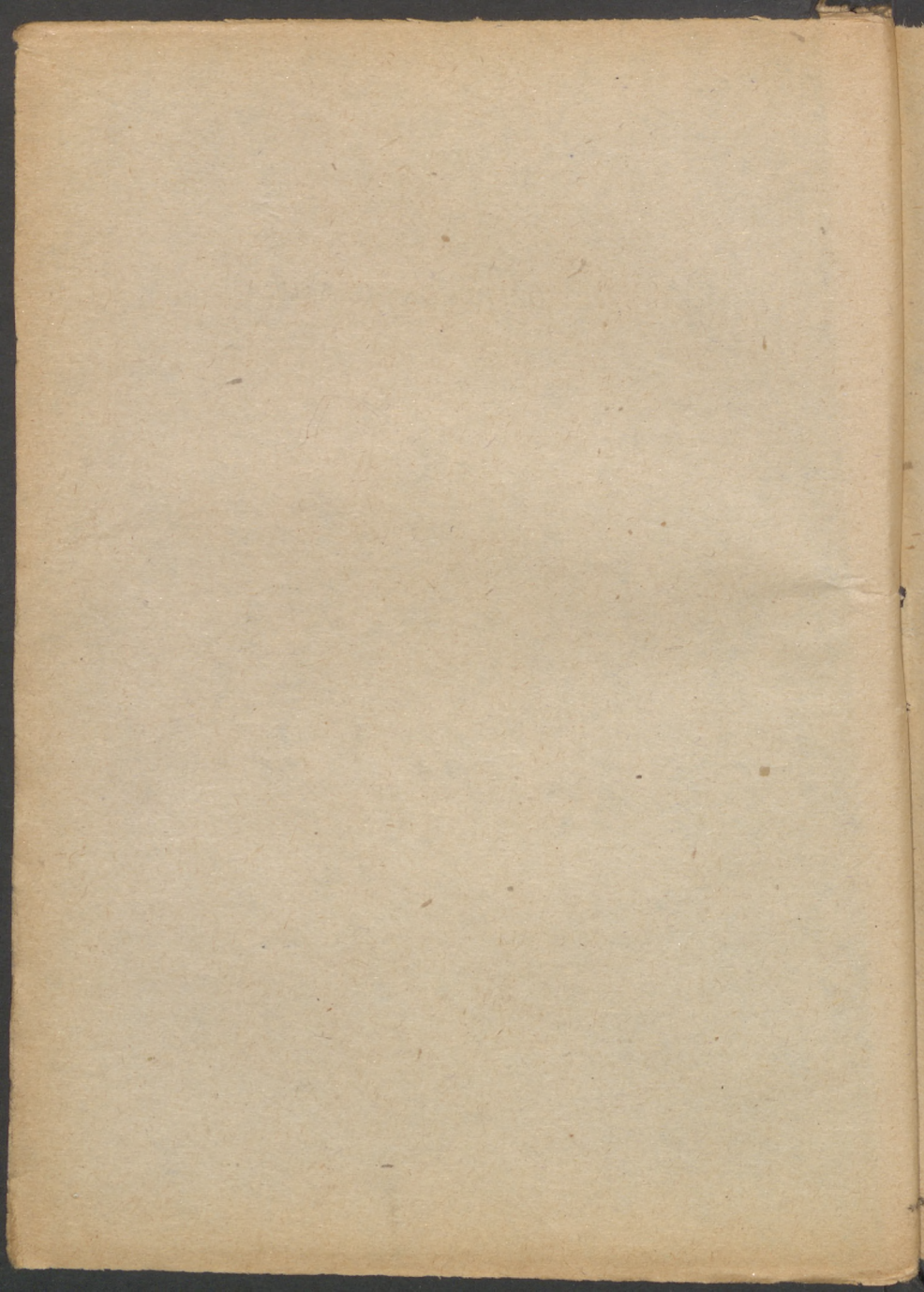
— A więc weźcie tę rzecz! — odpowiedział Kwairijo — ja nie żartowałem. Jedyne dowcip, jeżeli tu może być mowa o dowcipie, jest, że wy zgłupieli-

ście do tego stopnia, iż płacicie dobrą monetą za głowę upiora.

To rzekłszy, śmiejąc się głośnie, poszedł dalej swą drogą. W taki sposób bandyta stał się posiadaczem głowy i *koromo*, tak, że przez pewien czas straszył na gościńcach, jako kapłan—upiór. Jednakże, znalazłszy się w okolicach Süwy, poznał prawdziwą historję głowy i zląkł się, że duch Rokuro-Kubi może mu sprawić kłopoty. Wobec tego postanowił odnieść głowę do miejsca z którego pochodziła i pochować ją wraz z ciałem. Odnalazł opuszczoną chatę w górach Kai, ale nie zastał tam nikogo i nie mógł odnaleźć ciała, wobec czego pochował w gąszczu za chatą tylko głowę, na grobie zbudował nagróbek i kazał odprawić żałobne nabożeństwo za duszę Rokuro-Kubi. Ten nagrobek, znany jako nagrobek Rokuro-Kubi, można, jak twierdzi japoński opowiadacz historji, oglądać po dziś dzień.

(*Kwaidan*).

DŽIJU-ROKU-DZAKURA.



W Wakegori, powiecie okręgu Ijo, rośnie bardzo stara i słynna wiśnia, zwana Dżiju-Roku-Dzakura, czyli „wiśnia szesnastego dnia” — ponieważ zakwita co roku szesnastego dnia pierwszego miesiąca (według dawnego kalendarza księżycowego) — i tylko tego dnia. Otóż, czas jej rozkwitu wypada na Okres Wielkiego Zimna — mimo, że stosownie do naturalnego porządku rzeczy, wiśnia nie ryzykuje swego kwiecia przed wiosną. Ale Dżiju-Roku-Dzakura kwitnie życiem, które nie jest, a przynajmniej pierwotnie nie było, jej własnym życiem. W drzewie tem żyje duch mężczyzny.

Był to samuraj z Ijo, zaś wiśnia rosła w jego ogrodzie i kwitła we właściwym czasie, to znaczy z końcem marca lub początkiem kwietnia. Bawił się w jej cieniu; kiedy był dzieckiem, a jego rodzice, dziadkowie i pradziadkowie przeszło przez sto lat co wiosny przyczepiali do jej kwitnących gałęzi jaszkrawe strzępki kolorowego papieru, zapisane wierszami na jej chwałę. On sam postarzał się już bardzo — ze zaś przeżył wszystkie swoje dzieci, nie pozostało mu na świecie nic, prócz tego drzewa. I raptem, w lecie pewnego roku, drzewo zwiędło i umarło. Bardzo starzec bolał nad swem drzewem:

Poczcivi sąsiedzi wyszukali dla niego młodą, piękną wisienkę, którą zasadzili w jego ogrodzie, spodziewając się pocieszyć go w ten sposób. On im podziękował i udawał, że jest wesół. W rzeczywistości jednak serce jego było pełne bólu, bo kochał swe stare drzewo tak mocno, że nie było nic, coby go mogło po jego stracie pocieszyć.

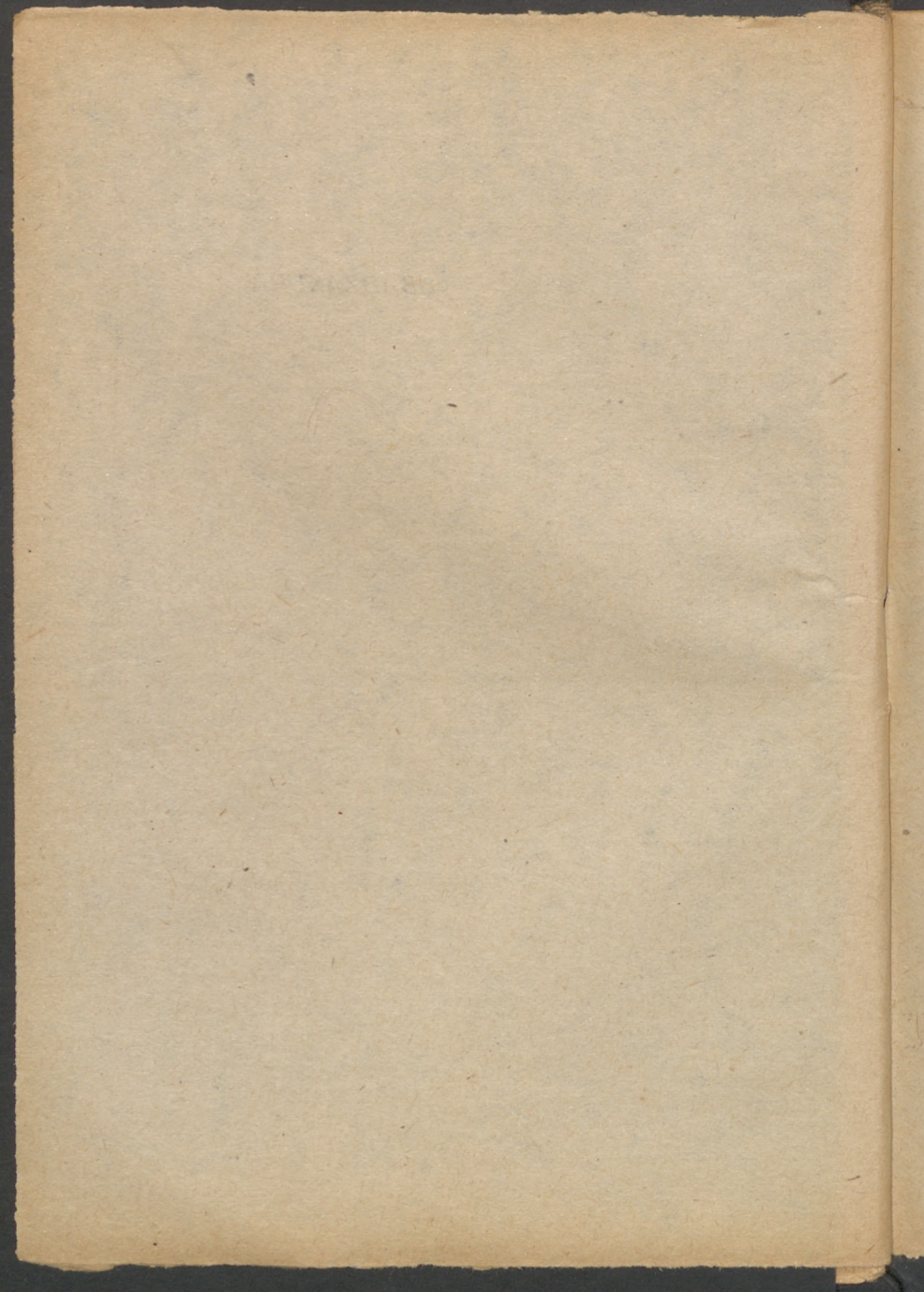
Aż wreszcie wpadł na szczęśliwą myśl: przypomniał sobie sposób, w jaki mógłby ginące drzewo ocalić. Było to szesnastego dnia pierwszego miesiąca. Samotny wyszedł do ogrodu, pokłonił się wędnącemu drzewu i przemówił następującymi słowy:

— Racz, błagam cię, jeszcze raz zakwitnąć, ponieważ ja oddam życie za ciebie (albowiem istnieje wierzenie, że człowiek, za łaską bogów, może oddać swe życie za drugiego człowieka, zwierzę, a choćby nawet i za drzewo, które to przelanie życia w drugą istotę nazywa się *migawari ni tacu*, co znaczy — działać w zastępstwie). A wówczas rozesłał pod tem drzewem białe sukno i rozmaite kocce, usiadł na tych kocach i wykonał *hara-kiri* sposobem samurajów, zaś duch jego wstąpił w drzewo, które zakwitło w tej samej godzinie.

I od tego czasu wiśnia zakwita wciąż szesnastego dnia pierwszego miesiąca w porze śniegów.

(*Kwaidan*).

UBADZAKURA



Trzysta lat temu, we wsi, zwanej Asamimura, w okręgu Onsenori, w prowincji Ijo, żył sobie poczciwy człowiek, nazwiskiem Tokubei. Ten Tokubei był najbogatszym człowiekiem w powiecie, a zarazem *muraosa*, czyli wójtem w swojej wsi. W większości przedsięwzięć sprzyjało mu powodzenie, w jednym tylko nie miał szczęścia, a mianowicie, mimo iż skończył czterdzieści lat, nie zaznał rozkoszy ojcowstwa. Z tego powodu, tak on, jak i jego żona, przygnębieni swą bezdzietnością, zwracali się z modłami do bóstwa Fudo-Mijo-O, posiadającego w Asamimurze słynną świątynię, zwaną Sajhodzi.

Nareszcie modlitwy ich zostały wysłuchane: żona Tokubei powiła córeczkę. Dziecięciu, które było bardzo ładne, nadano imię Cuju, a ponieważ matka nie miała dość pokarmu, najęto dla małej mamkę, imieniem O-Sodéj.

O-Cuju wyrosła na bardzo piękne dziewczę. Ale w piętnastym roku życia ciężko się rozchorowała i doktorzy orzekli, iż musi umrzeć. Wówczas mamka jej, O-Sodéj, która kochała O-Cuju prawdziwie matczyńską miłością, zwróciła się do świątyni Sajhodzi, gorąco modląc się do Fudo-Sama na intencję dziewczęcia. Dzień w dzień, przez dwadzieścia jeden dni, przychodziła do świątyni i modliła się, aż pod koniec O-Cuju zupełnie nagle przyszła do zdrowia.

W domu Tokubei wywołało to oczywiście wielką radość, tak, że Tokubei wydał, dla uczczenia tego szczęśliwego zdarzenia, dla wszystkich swych przyjaciół wielką ucztę. Aliści tegoż samego wieczoru, w którym ucztą się odbywała, O-Sodėj rozchorowała się nagle, a doktor, zawezwany rano, oświadczył, iż ona jest konająca.

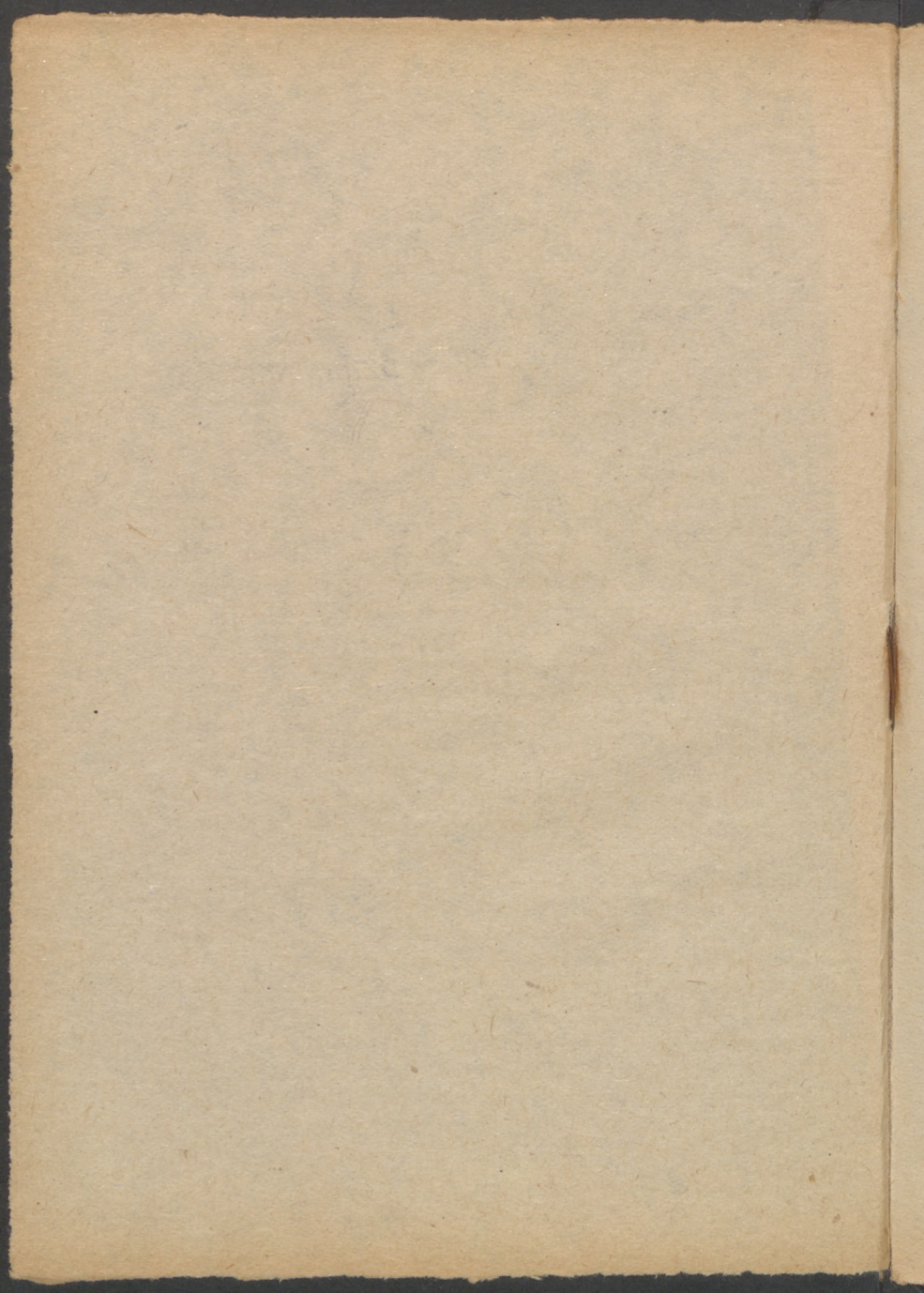
Wówczas cała rodzina, pogrążona w wielkim smutku, zebrała się dokoła jej łoża, aby ją pożegnać. A ona w ten sposób prz mówiła do otaczających ją:

— Czas, abym wam powiedziała coś, o czym nie wiecie. Modlitwa moja została wysłuchana. To ja uprosiłam Fudo-Sama, aby mi wolno było umrzeć zamiast O-Cuju. I zaprawdę użyczono mi tej wielkiej łaski. Dlatego nie oplakujcie mej śmierci... muszę jednak zwrócić się do was z prośbą. Ślubowałam Fudo-Sama, że z wdzięczności i na pamiątkę zasadzę mu wiśnię w ogrodzie Sajhodzi. Teraz widzę już, że sama drzewka zasadzić nie potrafię, wobec tego muszę was prosić, abyście sami za mnie ślub mój wykonali... Bądźcie szczęśliwi, drodzy przyjaciele, i pamiętajcie, że błogo mi było umrzeć za O-Cuju.

Po pogrzebie O-Sodėj, rodzice O-Cuju zasadzili w Sajhodzi młodą wisienkę — najpiękniejsze drzewko, jakie można było znaleźć. Drzewko rośło, rozwijało się, a szesnastego dnia drugiego miesiąca — w rocznicę śmierci O-Sodėj — wspaniale zakwitło. I tak kwitło w dalszym ciągu przez dwieście pięćdziesiąt cztery lata — zawsze szesnastego dnia drugiego miesiąca. — A jego kwiaty, purpurowe i białe, były podobne do koniuszków piersi kobiecych, zroszonych mlekiem. Lud przezwał to drzewko *Ubadzakura*, to jest wiśnią mamki.

(Kwajdan).

DŽIKININKI



Pewnego razu, kiedy Muzo Kokuszi, kapłan sekty Dzen, podróżował samotnie po prowincji Mino, zabłąkał się w górzystej okolicy, gdzie nie było nikogo, ktoby mógł wskazać mu drogę. Przez długi czas wahał się bezradnie i już zaczął wątpić o znalezieniu schronienia na noc, gdy naraz ujrzał na szczycie wzgórza, oświetlonego ostatnimi promieniami słońca, jeden z tych małych domków, zwanych *andżicu*, a budowanych dla pustelników. Pustelnia zdawała się być już w bardzo złym stanie, on jednak pośpieszył ku niej co żywo, a, znalazłszy w niej samotnego sędziwego kapłana, poprosił go o nocleg. Starzec odmówił mu szorstko, skierował go jednak do pewnego folwarku w sąsiedniej dolinie, gdzie można było dostać nocleg i pożywienie.

Muzo odszukał drogę do folwarku, który składał się mniej więcej z tuzina chałup wieśniaczych; uprzejmy sołtys chętnie zaprosił go do swego domu. Kiedy Muzo wszedł, w głównej izbie było zgromadzonych czterdzieści do pięćdziesięciu osób, jemu jednak wskazano małą bokówkę, gdzie natychmiast przyniesiono wieczerzę i pościel. Bardzo zmęczony, wczesnie udał się na spoczynek, ale tuż przed północą zbudził go głośny płacz w sąsiednim pokoju. Ktoś

łagodnie odsunął drzwi i do pokoju wszedł z zapaloną latarnią młody człowiek, który, pokłoniwszy się mu z szacunkiem, tak się odezwał:

— Czcigodny panie, bolesnym mym obowiązkiem jest powiedzieć wam, że obecnie ja jestem odpowiedzialną głową tego domu. Jeszcze wczoraj byłem tu tylko pierworodnym. Gdyście weszli do nas, znużeni, nie chcieliśmy, abyście się mogli czuć zakłopotani, dlatego nic nie mówiliśmy o tem, że ojciec nasz umarł zaledwie przed kilku godzinami. Ludzie, których widzieliście w sąsiedniej izbie, są mieszkańcami tej osady. Zeszli się tu wszyscy, aby oddać ostatnią cześć umarłemu, a teraz odchodzą do sąsiedniej wsi, odległej trzy mile — albowiem, stosownie do naszych zwyczajów, żadnemu z nas nie wolno pozostać w tej wsi, w noc po czyimś zgonie. Składamy należne ofiary i odmawiamy modlitwy, a potem odchodzimy, porzucając ciało. Dziwne rzeczy dzieją się zwykle w domu, w którym ciało pozostaje: dlatego myślimy, że najlepiej dla was będzie odejść wraz z nami. W sąsiedniej wsi możemy wam wyszukać bardzo dobre mieszkanie, ale może, jako kapłan, nie boicie się ani duchów, ani upiorów! Gdyby tak było, gdybyście się nie obawiali pozostać sam na sam ze zwłokami, moglibyście wielkie dobrodziejstwo wyświadczyć temu domowi. Cokolwiekby było, muszę wam oświadczyć, iż dzisiejszej nocy nie może tu pozostać nikt, prócz kapłana.

Muzo odpowiedział:

— Jestem wam głęboko wdzięczny za waszą uprzejmość i szlachetną gościnność. Przykro mi jednak, że nie powiedzieliście mi o śmierci ojca, kiedy tu przyszedłem — bo, choć nieco zmęczony, nie byłem bynajmniej tak zmęczony, aby nie móc wykonać swych kapłańskich obowiązków. Gdybyście mi powiedzieli odrazu, odprawiłbym nabożeństwo przed

waszem odejściem. Jak obecnie rzeczy się składają, zmuszony jestem odprawić je bez was; będę czuwał przy ciele do rana. Nie wiem, co rozumiecie, mówiąc o niebezpieczeństwie pozostania tu; nie obawiam się ani duchów, ani upiorów, wobec tego raczcie nie troszczyć się o mnie.

Widać było, że młodego człowieka bardzo ucieszyło to zapewnienie, wobec czego, odpowiedniemi słowy, dał wyraz swemu uczuciu. Pozostali członkowie rodziny, a wreszcie czeladź, zgromadzona w przyległej izbie, powiadomiona o łaskawej obietnicy kapłana, przybiegła mu podziękować — poczem pan domu rzekł:

— A teraz, czcigodny panie, choć niechętnie, musimy rozstać się z wami. Stosownie do zwyczajów naszej wsi, żadnemu z nas nie wolno tu pozostać po północy. Złoty panie, prosimy, uważajcie na swe czcigodne ciało, gdy my nie będziemy mogli czuwać nad wami. A jeśli się wam zdarzy usłyszeć lub zobaczyć coś ciekawego podczas naszej nieobecności, raczcie łaskawie opowiedzieć nam, jak wrócimy rano.

Wszyscy opuścili dom, wyjąwszy kapłana, który pozostał w izbie, gdzie ułożono zwłoki. Ciało obstawiono zwykłemi ofiarami, a prócz tego zapalono *tomjo*—małą buddyjską lampkę. Kapłan odmówił modlitwy i odprawił nabożeństwo żałobne, poczem pogrążył się w medytacji. Tak rozmyślając, siedział przez kilka godzin, podczas których najmniejszy szelest nie rozległ się w opuszczonej wsi. Wtem, kiedy cisza nocna była najgłębsza, do izby bez szelestu wszedł Kształt — nieuchwytny i ogromny — a w tej samej chwili Muzo spostrzegł, że nie może się ani poruszyć, ani przemówić. Wiedział tylko, jak Kształt podniósł ciało jakgdyby rękoma i pożarł je szybciej, niż kot pożera szczura, poczynając od

głowy i jedząc wszystko: włosy, kości a nawet całun. Potworny Kształt, pożarłszy ciało, zwrócił się do ofiar, które również pochłonał, poczem odszedł tak samo tajemniczo, jak przyszedł.

Kiedy wieśniacy powrócili następnego poranku, zastali kapłana, oczekującego ich przed drzwiami mieszkania sołtysa. Wszyscy pokolei powitali go, ale kiedy weszli i rozglądnęli się po izbie, ani jeden nie zdziwił się, ujrawszy, że ciało z ofiarami zniknęło, zaś pan domu w ten sposób odezwał się do Muza:

— Czcigodny panie, nie wątpimy, że byliście tej nocy świadkiem bardzo nieprzyjemnych rzeczy; wszyscy też wielceśmy się o was lękali. Cieszymy się też teraz bardzo, że oglądamy was zdrowym i nietkniętym. Jednakże, prawo naszej wsi, jak wam to już wczoraj powiedziałem, zmusza nas, po każdorazowym wypadku śmierci, do opuszczenia domu i porzucenia zwłok. Ile razy przekroczyliśmy to prawo, spadały na nas wielkie nieszczęścia. A kiedyśmy go usłuchali, zwłoki i ofiary, podczas naszej nieobecności, znikaly. Może widzieliście, jak się to dzieje.

Muzo opowiedział im o niepewnym i groźnym wzbudzającym Kształcie, który pożarł zwłoki, wraz z ofiarami. Nikt się jego opowiadaniom nie dziwił, zaś pan domu zauważył:

— Wielebny panie, to coście nam opowiedzieli, zgadza się zupełnie z tem, co nam od dawnych czasów o tem mówiono.

A wtedy Muzo zapytał:

— Czy kapłan z gór nie odprawia czasami jakich nabożeństw za waszych umarłych?

— Co za kapłan? — zapytał ze zdumieniem młody człowiek.

— Kapłan, który wczoraj wieczorem wskazał mi

drogę do waszej wsi — odpowiedział Muzo — odwiedziłem go w jego *andżicu*, tam na tem wzgórzu. Odmówił mi noclegu, ale pokazał drogę do was.

Śluchacze spojrzeli po sobie, jakby zdumieni, a po chwili milczenia, pan domu rzekł:

— Wielebny panie, tu niema żadnego kapłana i żadnego *andżicu* w górach. Od kilku pokoleń, w całej okolicy nie było tu na stałe osiadłego kapłana.

Muzo nie mówił więcej o tym przedmiocie, ponieważ widział jasno, iż gospodarzom jego zdaje się, że bałamuci go zły duch. Pożegnawszy się jednak z nimi i zaciągnawszy wszystkich potrzebnych informacji co do dalszej drogi, postanowił udać się do pustelni, aby się przekonać, czy istotnie został w błąd wprowadzony. Odnalazł *andżicu* bez trudu, a tym razem sędziwy jej właściciel poprosił go uprzejmie aby wszedł. Kiedy uczynił zadość jego zaproszeniu, pustelnik pokłonił mu się pokornie, wykrzykując:

— Ach, wstyd mnie, bardzo mnie wstyd, wstyd niezmiernie!

— Nie potrzebujecie się wstydzić tego, żeście mi odmówili noclegu — odpowiedział Muzo — skierowaliście mnie do wsi po tamtej stronie, gdzie mnie bardzo gościnnie przyjęto. Winienem wam wdzięczność za waszą łaskawość.

— Nikomu nie mogę dać schronienia — odpowiedział pustelnik — i nie tej odmowy ja się wstydzę. Wstydzę się tego tylko, że ujrzeliście mnie w mojej prawdziwej postaci — albowiem ja to byłem, który wczoraj w waszych oczach pożarł zwłoki i ofiary... Trzeba wam wiedzieć, wielebny panie, że jestem *Dżikininki* — to jest strzygą. Miejcie nade mną zmiłowanie i pozwólcie mi wypowiedzieć się z zatajonego grzechu, który doprowadził mnie do tego stanu.

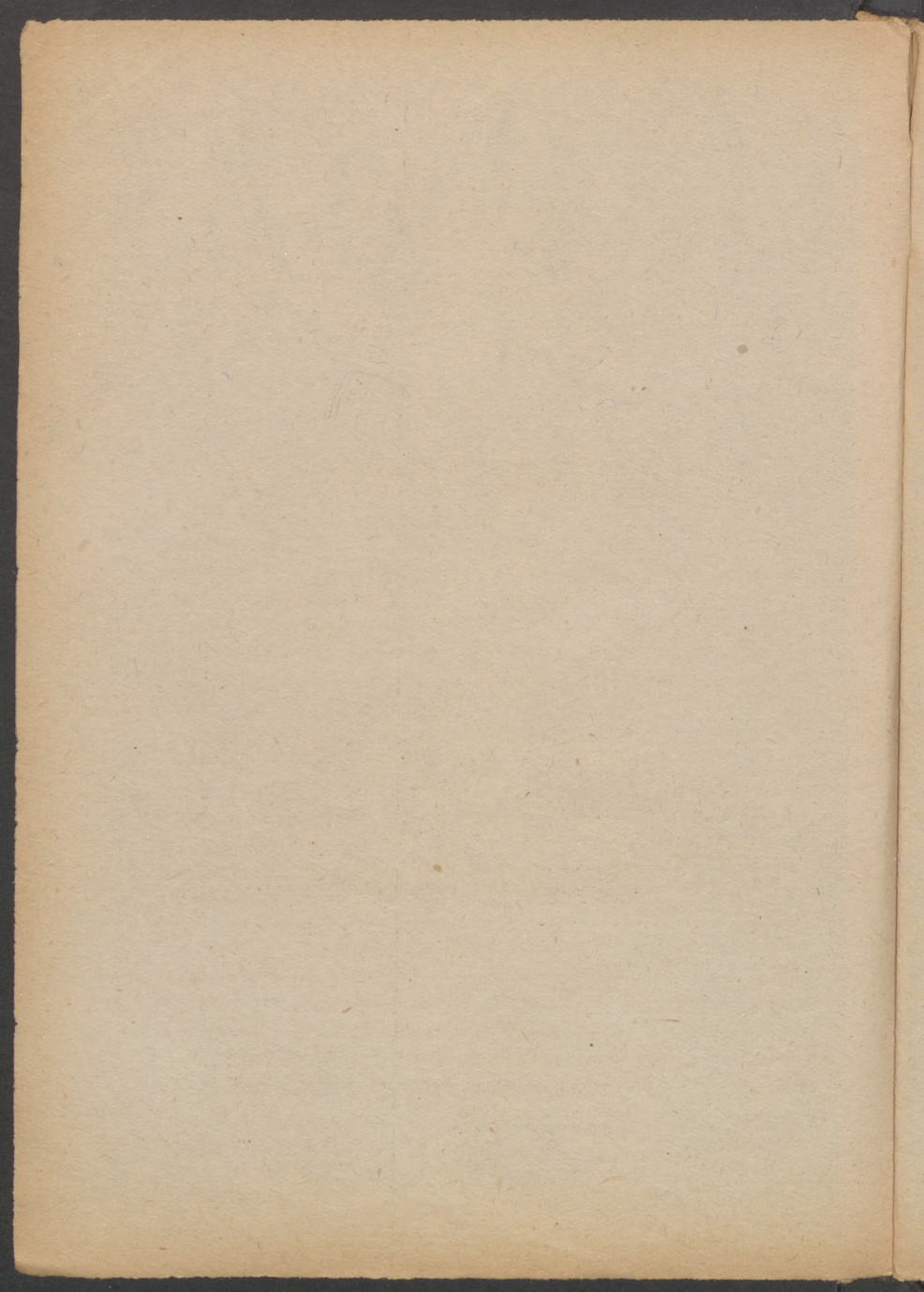
Dawno, dawno temu, byłem kapłanem w tem

opuszczonem pustkowiu. W promieniu wielu mil, nie było tu żadnego innego kapłana. Otóż, przynoszono tu zwykle ciała umarłych górali — z bardzo daleka nieraz — abym odprawił nad nimi żałobne nabożeństwa. Ja jednak odprawiałem nabożeństwa tylko dla interesu, myśląc wyłącznie o żywności i sukniach, do jakich dawało mi prawo moje kapłańskie powołanie. Wskutek tej samolubnej bezbożności, wróciłem na świat natychmiast po śmierci, jako *Dżikininki*. Muszę żywić się zwłokami ludzi, którzy mieszkają w tych stronach. Muszę każdego pożreć tak, jak to widzieliście wczoraj. A teraz, wielbny panie, pozwólcie poprosić was o odprawienie żałobnego nabożeństwa na moją intencję, abym, dzięki modłom waszym, mógł wyjść z tego straszego stanu istnienia...

Jak tylko pustelnik wypowiedział te słowa, zniknął, a wraz z nim zniknęła pustelnia, tak, że Muzo Kokuszi ocknął się nagle, klęcząc samotnie wśród wysokiej trawy u starego, mchem porośłego grobu, kształtu *go-rin iszi*, co oznacza grób kapłana.

(*Kwaidan*).

RIKI-BAKA



Na imię było mu Riki, co oznacza siłę — ale ludzie nazywali go przeważnie Riki-Durcu, albo Riki-Póglówek — ponieważ skarany był na wieczne dzieciństwo. Z tego też powodu zawsze się z nim dobrze obchodzili — nawet kiedy mu się zdarzyło podpalić dom, skutkiem przytknięcia zapałki do siatki przeciw moskitom, co napawało go taką radością, iż, na widok płomieni, klaskał w ręce z uciechy. W szesnastym roku życia był dużym, mocnym chłopcem, co się tyczy jednak umysłu, to wciąż jeszcze przebywał w szczęśliwym okresie lat dwu, skutkiem czego bawił się wciąż z bardzo małutkimi dziećmi. Większe dzieci sąsiedztwa, od czterech do siedmiu lat, niechętnie się z nim bawili, ponieważ nie mógł się nauczyć ani ich piosenek, ani gier. Ulubioną jego zabawką była miotła, na której jeździł, jak na koniu, i nieraz całemi godzinami hasał na tym rumaku na zboczu, przed mym domem, wybuchając dzikiem rżeniem. Ponieważ hałasował zanadto, zaczął mi po pewnym czasie przeszkadzać, wobec czego musiałem mu powiedzieć, aby sobie poszedł gdzie indziej poszukać innego miejsca do zabaw. Ukłonił mu się pokornie i odszedł, z bólem serca ciągnąc za sobą swą miotłę. Zawsze uprzejmy i nigdy niebezpieczny, o ile nie miał

sposobności bawienia się zapalkami, nigdy nie dawał powodu do skarg. Jego stosunek do życia naszej uliczki nie był bynajmniej większy od stosunku psa lub kurczęcia. Dlatego, kiedy ostatecznie zniknął, nie odczułem wcale jego braku. Miesiące minęły, zanim przypadkiem Riki przyszedł mi znowu na myśl.

— Co się stało z Riki? — zapytałem starego drwała, który zaopatrywał nas w drwa. Przypomniałem sobie, że Riki często pomagał mi w noszeniu wiązek.

— Riki-Baka? — odpowiedział starzec. Aa, Riki-Baka umarł — biedaczysko... Będzie temu już rok, jak umarł i to nagle. Lekarze mówili, że mu się coś w mózgu zepsuło. Ale teraz to z nim cała historia.

Kiedy Riki umarł, matka wypisała na jego lewej dłoni imię Riki-Baka, „Riki” — charakterem chińskim, zaś „Baka” w kana. Wiele modlitw na jego intencję odmówiła — modlitw, aby mógł powrócić znowu na świat w znacznie szczęśliwszych warunkach.

Otoż, trzy miesiące temu, w czcigodnym dworze Nanigaszi-Sama, w Kodżimaczi, przyszedł na świat chłopak, który ma na swej lewej ręce charaktery, a te, łatwe do odczytania charaktery, znaczą: RIKI—BAKA. Cały dom zrozumiał, że narodziny te mogły się zdarzyć tylko skutkiem czyichś modlitw, wobec czego zarządzono poszukiwania. Wreszcie pewien kupień jarzynami przyniósł wiadomość, iż w swoim czasie istniał półgłówek, zwany Riki-Baka, mieszkający w dzielnicy Uszigome, a który umarł zeszłej jesieni. Wobec tego wysłano ze dworu dwóch służących z obowiązkiem odszukania matki Riki.

Służący ci odnaleźli matkę głuptasa i opowiedzieli jej o wszystkim, co się zdarzyło — zaś ona była tem niezmiernie uszczęśliwiona, ponieważ ród Nanigaszi był bardzo bogaty i sławny. Ale służący oświadczyli, że rodzina Nanigaszi czuje się głęboko

dotknięta wypisanem na dłoni dziecięcia słowem „Baka“.

— A gdzie to pochowano waszego Riki?—zapytali służący.

— Pochowano go na cmentarzu Dzendodzi — odpowiedziała im.

— Bądźcie tak dobry i dajcie nam garść gliny z jego grobu — rzekli.

— Stara poszła z nimi do świątyni Dzendodzi i pokazała im grób, w którym leżał Riki. Oni zaś wzięli trochę gliny z grobu, zawinawszy ją w „furosziki“*).

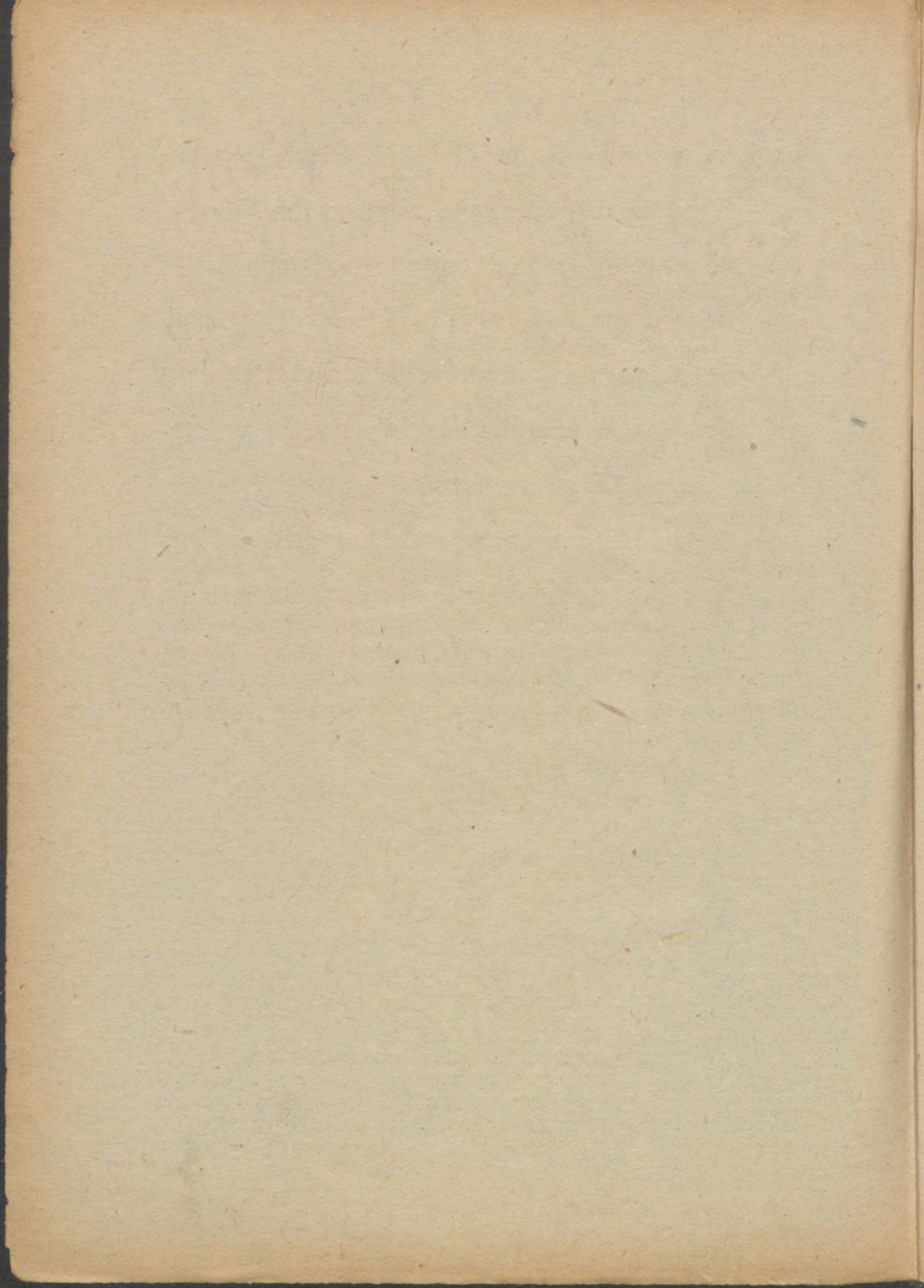
Dali matce Riki trochę pieniędzy—dziesięć jenów.

— Ale na co potrzebna im była ta glina?—zapytałem.

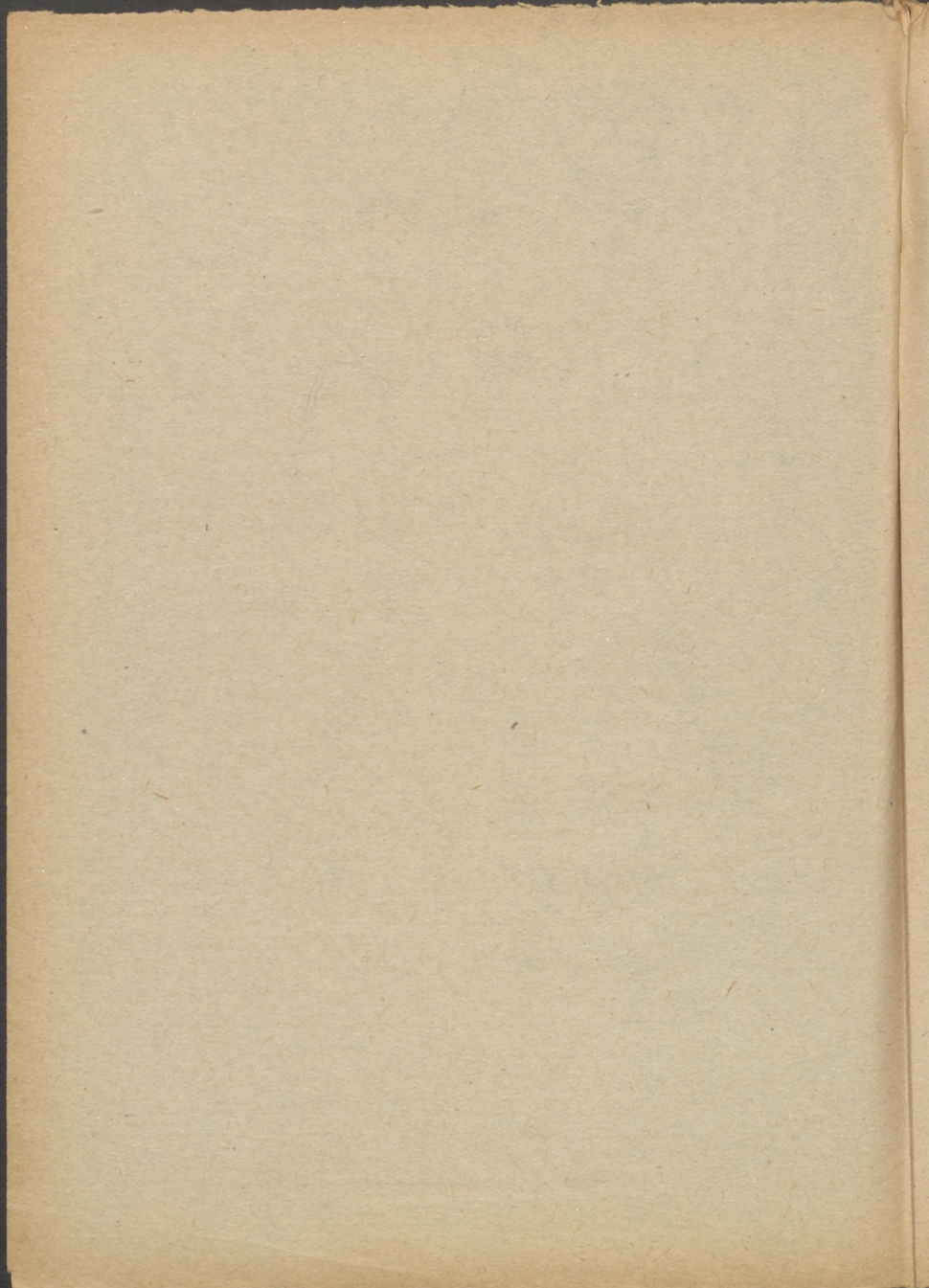
— Jakże — odpowiedział staruszek — domyśli się pan chyba, że nie chcieli, aby dziecko wyrosło z tem imieniem na ręce. Na usunięcie z ciała dziecka takich charakterów niema innego sposobu, jak tylko *natrzeć skórę gliną, wziętą z grobu ciała jego poprzedniego istnienia...*

(Kwajdan).

*) „Furosziki“ — jest to kawałek materji, coś w rodzaju chustki, w której japończycy noszą, jak w wężeiku, najniezbędniejsze przedmioty. Przy większych zakupach dostaje się taką chustkę w każdym japońskim sklepie. — (Przyp. tłum.)



POŚMIERTNA TAJEMNICA



Dawno już temu, w prowincji Tamba, żył sobie bogaty kupiec, nazwiskiem Inamura Gensuke. Miał córkę, imieniem O-Sono. Ponieważ była bardzo zdolna i ładna, myślał, że szkoda byłoby ją dać na naukę do tych prowincjonalnych nauczycieli, jacy byli w okolicy. Wobec tego wysłał ją, pod opieką kilku zaufanych służebnic, do Kijoto, aby mogła nabrać wykształcenia i ogłady wśród dam stołecznych. Kiedy wreszcie młoda panna ukończyła tam swą edukację, wydano ją za mąż za przyjaciela rodziny jej ojca — kupca, nazwiskiem Nagaraja — z którym przeżyła szczęśliwie prawie cztery lata. Mieli jedno tylko dziecko — chłopczyka. Ale w cztery lata po ślubie O-Sono zachorowała i umarła.

W dzień po pogrzebie O-Sono, mały jej synek oświadczył, że mama wróciła i jest w swoim pokoju na górze. Wprawdzie uśmiechała się do niego, ale nie chciała się odezwać, wobec czego on się przestraszył i uciekł. Niektórzy członkowie rodziny udali się na górę, do pokoju O-Sono i, ku swemu zdumieniu, ujrzeli przy świetle lampki, płonącej przed ołtarzykiem w tej izdebce, postać zmarłej matki. Zdało się, jakgdyby stała przed *tansu*, czyli komodą, w której wciąż jeszcze znajdowały się jej klejnoty i paradne suknie. Wyraźnie widać było jej głowę

i ramiona, ale od pasa nadół kształt jej rozpląwał się. Był tylko niedoskonałym jej wspomnieniem, przezroczystym, jak cień na wodzie.

Ludzie przeleżeli się i uciekli z pokoju. Znalazłszy się nadole, zaczęli się naradzać, a wówczas matka męża O-Sono rzekła:

— Kobieta, przywiązana jest bardzo do swych drobiazgów, a O-Sono lubowała się w nich. Kto wie, czy nie wróciła, aby ich pilnować. Wiele umarłych tak robi, o ile się tych rzeczy nie odniesie do najbliższej świątyni. Zdaje mi się, że, jeśli suknie i pasy O-Sono darujemy świątyni, duch jej odnajdzie spokój.

Uchwalono, iż należy to zrobić jak można najprędzej. Wobec tego następnego poranku wypróżniono wszystkie szuflady komody i zaniesiono wszystkie suknie i błyskotki O-Sono do świątyni. Ale następnej nocy ona powróciła znowu i przyglądała się *tansu*, jak przedtem. I powracała wciąż każdej nocy, aż wreszcie zaczęła wszystkich w domu straszyć.

Matka męża O-Sono udała się do świątyni i, opowiedziawszy kapłanowi o wszystkim, co się w domu działo, poprosiła o wskazówki przeciwko duchowi. Świątynia ta należała do sekty Dzen, a naczelnym jej kapłanem był uczony staruszek, nazwiskiem Dajgen-Oszo. Ten rzekł:

— Coś w komodzie, albo niedaleko niej, musi ją niepokoić.

— Ależ kiedy my wypróżniliśmy już wszystkie szuflady — odpowiedziała starsza dama — w komodzie nic już niema.

— Dobrze — odpowiedział Dajgen-Oszo — dziś w nocy przyjdę do was, będę czuwał w tym pokoju i zobaczę, co się da zrobić. Pani musi postarać się o to, aby nikt nie wszedł do pokoju, dokąd ja, czuwając tam, sam kogoś nie zawezwę.

Po zachodzie słońca Dajgen-Oszo przybył do tego domu i znalazł pokój przygotowany dla siebie. Siedział w nim sam, czytając *sutry* i nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego aż do Godziny Szczurów*). A wówczas postać O-Sono nagle zarysowała się na tle *tansu*. Jej twarz miała skupiony wyraz, a jej oczy utkwione były w *tansu*.

Kapłan wygłosił święte zaklęcia, przepisane w takich wypadkach, a potem, tytułując postać O-Sono imieniem *Kajmio***), oświadczył:

— Przyszedłem tu, aby ci pomóc. Może być, iż w tej komodzie jest coś, co ci daje słuszny powód do zaniepokojenia. Czy mogę to znaleźć dla ciebie?

Cień zdawał się lekkim skinieniem głowy dawać mu pozwolenie. Wobec tego kapłan, powstawszy, odsunął najwyższą szufladę. Była pusta. Stopniowo otwierał drugą, trzecią, czwartą szufladę, starannie szukał poza nimi i pod nimi, przetrząsał całe wnętrze komody. I nie znalazł nic. A postać wciąż tkwiła nad nim baczna, jak przedtem.

— Czego ona może chcieć? — pomyślał kapłan.

Naraz przyszło mu na myśl, że pod papierem, którym wyścielono szuflady, może być coś ukrytego. Odsunął papier w pierwszej szufladzie—nic, w drugiej, trzeciej szufladzie—to samo, ale pod papierem najniższej szuflady znalazł list.

— Czy to cię niepokoi? — zapytał.

Cień kobiety zwrócił się ku niemu—ze wzrokiem, wciąż utkwionym w list.

— Czy mam go spalić za ciebie? — zapytał.

*) Godzina Szczurów [Ne-no-koku], zgodnie ze starym sposobem japońskiego liczenia czasu, odpowiadała pierwszej godzinie w nocy. Obejmowała właściwie czas pomiędzy naszą północą a godziną drugą w nocy, albowiem dawna jedna godzina japońska, równała się naszym dwóm.

***) Imię pośmierne.

Skłoniła się przed nim.

— Zatem będzie spalony w świątyni dziś rano—
i, oprócz mnie, nikt go nie przeczyta.

Postać uśmiechnęła się i zniknęła.

Był świt, kiedy kapłan zeszedł nadół i znalazł się
wśród oczekującej go trwożnie rodziny.

— Nie obawiajcie się — rzekł im — już się więcej
nie pokaże.

I nie pokazała się więcej.

List został spalony.

Był to list miłosny, napisany do O-Sono w czasie
jej studjów w Kijoto. Jeden, jedyny kapłan wiedział,
co było w tym liście; ale tajemnica ta zginęła wraz
z nim.

(Kwajdan).

POWTÓRNE NARODZINY KACUGORO

I

To, co tu podaję, nie jest zmyśloną historją — a przynajmniej nie ja jestem jej autorem. Jest to tylko przekład starego japońskiego dokumentu — raczej szeregu dokumentów, opatrzonych licznymi podpisami i pieczęciami a pochodzących z początku dziewiętnastego wieku. Korzystał z nich niejeden autor a zwłaszcza kompilator ciekawych opowieści buddyjskich, zatytułowanych *Bukkjo-hijakkwadzenszo*, który ułożył z nich dwudziestą szóstą opowieść swej księgi. Niniejszy przekład jest tłumaczeniem rękopiśmiennej kopji, znalezionej w pewnej prywatnej bibliotece tokijskiej. Nie odpowiadam tu za nic, wyjąwszy kilka komentarzy, dodanych do tekstu.

Mimo, że początek wyda się czytelnikowi prawdopodobnie suchym, radzę przeczytać cały ten przekład od początku do końca, ponieważ, oprócz możliwości powtórnych narodzin, daje on do myślenia także o wielu innych rzeczach. Znajdzie się tu pewne odblaski dawnej feudalnej Japonji i coś ze starych wierzeń — nie wyższy Buddyzm, lecz to właśnie, co człowiekowi z Zachodu najtrudniej zaobserwować: rozpowszechniony między prostym ludem pogląd na poprzednie istnienie i powtórne narodziny. Wobec tych faktów, ścisłość śledztwa urzędowego i wiarygodność dokumentów mają znaczenie drugorzędne.

1.— Kopja Tamona Dempacziro

w sprawie Kacugoro, dziewięcioletniego młodszego syna Gendzo, rolnika w moim majątku, mieszkającego we wsi, imieniem Nakanomura, w powiecie Tamagori, w prowincji Musaszi.

Wymieniony powyżej Kacugoro, syn Gendzo, opowiedział pewnego dnia przeszłej jesieni siostrze swej historję swego poprzedniego życia i powtórných narodziń. Siostra nie przywiązywała do tego wielkiej wagi, uważając to za wymysł dziecka. Później dopiero, gdy Kacugoro wciąż to samo opowiadał, przyszło jej na myśl, że to może być jednak dziwna rzecz, wobec czego powtórzyła wszystko rodzicom.

Dwunastego miesiąca zeszłego roku Gendzo sam zaczął rozpytywać Kacugoro, który oświadczył:

Że w poprzedniem życiu był synem niejakiego Kijubei, rolnika z Hodokubo-mura, wsi, znajdującej się w posiadaniu pana Komija, w powiecie Tamagori, w prowincji Musaszi,

Że on, Kacugoro, syn Kijubei, umarł na ospę w szóstym roku życia i —

Że urodził się powtórnie, jako syn wspomnianego powyżej Gendzo.

Aczkolwiek wydawało się to niewiarygodnem, chłopak powtarzał szczegóły swej historii z taką dokładnością i wyraźną pewnością, iż wójt wsi przeprowadził, wraz ze starszymi, formalne śledztwo w tej sprawie. Szerząca się szybko wieść o wypadku dotarła do rodziny niejakiego Hansziro, mieszkającego we wsi Hodokubo-mura. Ów Hansziro udał się do domu wymienionego powyżej Gendzo, rolnika w moim majątku i stwierdził, że prawdą było wszystko, co chłopak mówił tak o wyglądzie i charakterystycznych rysach twarzy swych poprzednich rodziców, jak i o do-

mu, w którym poprzednio na świat przyszedł. Zaprowadzono Kacugoro do domu Hansziro w Hodokubomura, gdzie wszyscy oświadczyli, iż jest bardzo podobny do ich Todzo, który umarł przed kilku laty w szóstym roku życia. Odtąd rodziny odwiedzają się czasami. Mieszkańcy okolicznych wsi dowiedzieli się o tem wszystkim i codzień przychodzi po kilka osób przyjrzeć się chłopcu.

Jak tylko ludzie, mieszkający w mym majątku, donieśli mi o tym wypadku, zawezwałem do siebie Gendzo i przesłuchałem go. Odpowiedzi jego zgodne były z tem, co inni o sprawie mówili.

Więści o podobnych wypadkach krążą od czasu do czasu między ludem, ale trudno w coś podobnego uwierzyć. Proszę o doniesienie o wypadku niniejszym, o którym donoszę sam, aby — na wypadek, gdyby wieść o nim dotarła do waszych dostojnych uszu — nie padło na mnie posądzenie o niedbalstwo.

(Podpisano:)

Tamon Dempacziro.

Czwartego miesiąca i szóstego roku Bunsei (1823).

2.— Kopja listu, pisanego przez Kadzunawo do Teikina, kapłana Sengakudzi.

Mam zaszczyt załączyć kopję raportu Tamona Dempacziro, sporządzoną przez Sziga Hijoemara Sama, który mi ją wręczył; szczęśliwy jestem, że mogę ją wam posłać. Zdaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyście ją zachowali wraz z pismem od Kwandzan Sama, któryście mi swego czasu uprzejmie raczyli pokazać.

(Podpisano:)

Kadzunawo.

Dwudziestego trzeciego dnia szóstego miesiąca.

3.— Kopja listu Macudairy Kwandzana (wielkorządcy) do kaptana Teikina w świątyni Sengakudzi.

Posyłam wam załączony do listu raport o powtórnych narodzinach Kacugoro. Napisałem go w mowie potocznej*) w przekonaniu, iż może się przydać do zmuszenia do milczenia tych, co nie wierzą w naukę Buddy. Jako utwór literacki jest to oczywiście rzecz bez wartości. Posyłam Wam go, przypuszczając, że, wzięty z tego punktu widzenia, zabawi Was tylko. Jako informacja — ma wartość bezwzględna, bo mam ją bezpośrednio od babki Kacugoro. Po przeczytaniu raczcie mi raport łaskawie zwrócić.

(Podpisano:)

Kwandzan.

Dwunastego. (Bez bliższej daty).

K O P J A.

Sprawozdanie o powtórnem narodzeniu się Kacugoro.

4.— *(Wstępna uwaga kaptana Teikina.)*

Jest to sprawozdanie o prawdziwym zdarzeniu, albowiem zostało napisane przez Macudaira Kwandzan Sama, który osobiście dwudziestego trzeciego, trzeciego miesiąca bieżącego roku udał się do Nakano-mura w celu zbadania sprawy i przeprowadzenia śledztwa na miejscu. Obejrawszy Kacugoro, przesłuchał babkę chłopca, wpytując ją o najdrobniejsze szczegóły, przyczem odpowiedzi jej spisywał tak, jak brzmiały.

Następnie wymieniony powyżej Kwandzan Sama raczył czternastego dnia tego czwartego miesiąca zaszczyścić swą osobą tę świątynię i opowiedzieć mi swemi dostojnymi usty przebieg swych odwiedzin rodziny wymienionego powyżej Ka-

*) Japońskie sfery wykształcone posługiwały się w listach osobnym językiem literackim.

cugoro. Oprócz tego zaszczylił mnie pozwoleniem przeczytania wymienionego powyżej rękopisu dwudziestego tegoż samego miesiąca. Ja zaś, korzystając z pozwolenia, natychmiast sporządziłem kopję manuskryptu.

(Podpisano:)

Teikin So.

Sengaku-dzi.

Faksymila *Kaki-han* kapłana czyli jego osobistego znaku, kreślonego ręcznie pędzelmą.

Dwudziestego pierwszego Czwartego Miesiąca Szóstego Roku Bunsei (1823).

K O P J A.

5.— (Nazwiska i imiona członków obu zainteresowanych rodzin.)

(Rodzina Gendzo)

Kacugoro. — Urodzony dziesiątego, dnia dziesiątego miesiąca, dwunastego roku Bunkwa (1815.) Skończył dziewięć lat w niniejszym szóstym roku Bunsei (1823.)* Drugi syn Gendzy, rolnika, mieszkającego w Tanicuiri w Nakano-mura, powiat Tamagori, prowincja Musaszi — Majątek Tamona Dempacziro, którego *jasziki*** znajdują się w ulicy Szi-cziken-czo, Nedzu, Jedo. — Starostwo Jusuki.

Gendzo. — Ojciec Kacugoro. Nazwisko rodzinne: Kojada. Skończył czterdzieści dziewięć lat niniejszego szóstego roku Bunsei. Jako człowiek ubogi zajmuje się wyplataniem koszyków, które sprzedaje w Sedo. Zajazd, w którym staje podczas pobytu w Sedo, na-

*) Należy wiedzieć, iż rok narodzenia dziecka liczy się w Japonji, jako cały rok jego życia. Choćby się dziecko urodziło w ostatnim dniu roku, liczy mu się to, jako rok.

***) Wille.

zywa się Sagamija, a utrzymywany jest przez niejakiego Kihei, w ulicy Bakuro.

Sei.—Żona Gendzo i matka Kacugoro. Skończyła trzydzieści dziewięć lat w tymże szóstym roku Bunsei. Córka Muraty, Kiczitaro, szlachcica—swego czasu łucznika w służbie pana z Owari. Kiedy Sei miała dwanaście lat była podobno służącą w domu pana Honda Dainonin Dono. Gdy miała lat trzynaście, ojciec jej Kiczitaro stracił dla jakiegoś powodu służbę na dworze pana Owari i stał się *ronin**). Umarł w siedemdziesiątym piątym roku życia, dwudziestego piątego dnia, czwartego miesiąca Bunkwy (1807). Grób jego znajduje się na cmentarzu świątyni, zwanej Eirin-dzi, należącym do sekty Zen we wsi Szimo-Jusuki.

Cuja.—Babka Kacugoro. Skończyła siedemdziesiąt dwa lata tegoż szóstego roku Bunsei. W młodości służyła, jako dworka, na dworze Macudairy Oki-no-Kami Dono. (Wielkorządca).

Fuza.—Starsza siostra Kacugoro. W tym roku skończyła piętnaście lat.

Otodziro.—Starszy brat Kacugoro. W tym roku skończył czternaście lat.

Cune.—Młodsza siostra Kacugoro. Skończyła cztery lata.

(Rodzina Hlansziro)

Todzo.—Umarł w szóstym roku życia w Hodokubo-mura, w powiecie Tamogori, w prowincji Musaszi. Dobra Nakone (Jjemona, którego *jasziki***)) znaj-

*) *Ronin*—znaczy dosłownie „człowiek fali“. Jest to coś w rodzaju „błędneho rycerza“, ale raczej bandyty, żyjącego z rozbojów. *Ronini* byli przeważnie bardzo niebezpieczni „desperado“. Ale oczywiście i wśród nich trafiali się prawdziwi rycerze.

**) Wille.

dują się przy ulicy Ataraszi-baszi-dori, Szitaja, Jedo. Starostwo: Komija.

Todzo przyszedł na świat drugiego roku Bunkwy (1805) i umarł około czwartej godziny dnia (dziesiąta przed południem) czwartego dnia, drugiego miesiąca, siódmego roku Bunkwy (1810). Umarł na ospę. Pochowany został w grobie, znajdującym się na cmentarzu, na wzgórzu ponad wymienioną powyżej wsią — Hodokuba-mura. — Parafja: Iwodzi w Musawa-mura. Wyznanie: sekta Dzen-Szu. Zeszłego roku, piątego roku Bunkwy (1822) odprawiono za Todzo żałobne nabożeństwo.

Hansziro. — Ojczym Todzo. Nazwisko rodzinne: Sudzaki. Szóstego roku Bunsei skończył pięćdziesiąt lat.

Szidzu. — Matka Todzo. Skończyła czterdzieści dziewięć lat w szóstym roku Bunsei.

Kijubei (po śmierci: Togoro). — Właściwy ojciec Todzo. Umarł w czterdziestym ósmym roku życia, w szóstym roku Bunkwy (1809), kiedy Todzo miał pięć lat. Zastąpił mu ojca ojczym Hansziro.

Dzieci. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki, potomstwo Hansziro i matki Todzo.

6. — (Kopja sprawozdania, napisanego w potocznej mowie przez Macudairę Kwandzan Dono, Wielkórządcę).

Pewnego dnia, jedynastego miesiąca, zeszłego roku, Kacugoro, bawiąc się na polu ryżowym ze swą starszą siostrą, Fuza, zapytał ją:

— Słuchaj, starsza siostrzyczko! Gdzieś ty była przedtem, zanim urodziłaś się w naszym domu?

Fuza odpowiedziała:

— Skądże ja mogę wiedzieć, co się ze mną działo, zanim przyszedłam na świat.

Kacugoro spojrział na nią z pewnym zdziwieniem i zapytał:

— Jakto? Ty naprawdę nie pamiętasz nic z tego, co było, zanim się urodziłaś?

— A ty pamiętasz? — zapytała Fuza.

— Pewnie, że pamiętam! — odpowiedział Kacugoro. — Byłem wówczas synem Kijubei San w Hodokubo a na imię było mi Todzo — nie wiedziałaś o tem?

— Ah! — wykrzyknęła Fuza. — Muszę o tem powiedzieć rodzicom.

Ale Kacugoro rozplakał się naraz i zaczął ją prosić:

— Proszę cię, nie mów! Nie chcę, żeby rodzice o tem wiedzieli!

Fuza pomyślała chwilę, a potem odpowiedziała:

— Dobrze, tym razem nie powiem, ale jak tylko będziesz niegrzeczny, opowiem wszystko.

Od tego czasu, ile razy rodzeństwo się pokłóciło, siostra stała groziła bratu, mówiąc: — Dobrze, dobrze — wiem ja, co opowiedzieć rodzicom — a chłopak wówczas zawsze ustępował siostrze. Zdarzało się to często, tak, że rodzice raz tę pogroźkę usłyszeli. Myśląc, że Kacugoro zrobił coś bardzo złego, chcieli się dowiedzieć, coby to mogło być, dlatego zawołali Fuzę i kazali jej wyznać prawdę. Usłyszawszy w czem rzecz, zdziwili się wszyscy — Gendzo, jego żona i babka Cuja. Zawołali natychmiast Kacugoro, starając się pieszczotami i groźbami zmusić go do powiedzenia, co pod owemi słowy rozumiał.

Po pewnem wahaniu, Kacugoro rzekł:

— Powiem wszystko. Byłem synem Kijubei San w Hodokubo a moja ówczesna matka nazywała się O Szidzu-San. Kijubei San umarł a na jego miejsce przyszedł drugi mąż, Hansziro-San, który mnie bardzo kochał. Ale następnego roku, kiedy mi było sześć lat, umarłem na ospę. W trzy lata później wstąpiłem do szanownego łona matki i urodziłem się znowu.

Usłyszawszy to, rodzice wraz z babką bardzo się zdziwili i postanowili zrobić wszystko, co można, aby tego Hansziro w Hodokubie odszukać, ponieważ jednak, jako ludzie ubodzy, musieli z dnia na dzień pracować na swe utrzymanie i nie mieli czasu na nic innego, nie mogli zamiaru swego wykonać.

Sei, matka Kacugoro, karmiła w nocy swą małą córeczkę, czteroletnią*) Cune i z tego powodu Kacugoro sypiał ze swą babką Cują. Czasami rozmawiali szeptem w łóżku a raz, kiedy Kacugoro szczególnie się rozgadał, potrafiła go nakłonić, aby jej opowiedział, co się z nim stało po śmierci.

Opowiadał tak:

— Do czwartego roku życia pamiętałem wszystko, później zacząłem powoli zapominać, tak, że dziś już niewiele pamiętam. Wiem napewno, że umarłem na ospę—potem pamiętam, jak mnie włożono do urny**) i pochowano na wzgórzu. W ziemi wykopany był dół, ludzie spuścili urnę do dołu i pamiętam, jak upadła i zrobiła *bum!* A ja przecie, nie wiem już jak, wróciłem do domu i usiadłem tam na swej własnej poduszce. Wkrótce pojawił się jakiś stary pan — wyglądał na dziadzia — i zabrał mnie z sobą. Nie wiem, skąd się wziął i kto to był. Lecieliśmy przez puste powietrze. Nie pamiętam, czy to była noc, czy dzień, było wciąż, jak o zachodzie słońca. Nie byłem głodny, nie było mi ani ciepło, ani zimno. Byliśmy już bardzo daleko, ale ja wciąż jeszcze słyszałem głosy ludzi

*) W Japonji, zwłaszcza w sferach uboższych, karmi się dzieci znacznie dłużej niż w Europie. Prócz tego japońskie „cztery lata“ dziecka to o wiele mniej niż trzy według naszej rachuby. (Przyp. autora).

**) Od najdawniejszych czasów chowano w Japonji zwłoki w wielkich urnach, przeważnie z czerwonej gliny — zwanych *Kame*. Używa się ich i dziś, przeważnie jednak grzebie się zwłoki w drewnianych trumnach, kształtem odmiennych od europejskich. (Przyp. aut.)

w domu i jak za mnie odmawiano modlitwę. Przypominam sobie także, jak przed ołtarzem domowym postawiono w ofierze kubek z gorącym słodzonym ryżem — wdychałem jego zapach. Potem przypominam już sobie tylko, że ten stary pan różnemi drogami przyprowadził mnie tutaj. Pamiętam jakeśmy szli gościńcem do wsi. Potem przyszedliśmy tu, on pokazał mi dom i powiedział. — Teraz musisz się tu znowu narodzić, bo trzy lata od twojej śmierci już minęły. Osoba, która zostanie twą babką, jest bardzo dobra — nie będzie ci w tym domu źle. A potem stary pan poszedł sobie. Ja stałem przez chwilę pod śliwą przed tym domem, a potem wszedłem i usłyszałem, jak ktoś mówił, że ojciec teraz tak mało zarabia, że matka musi iść do Gedo szukać służby. — Nie zostanę w tym domu! — i trzy dni przesiedziałem za kominem w kuchni. Dopiero potem wszedłem do szanownego łona matki*). O ile sobie przypominam narodziny moje były bezbolesne. Babcia może to wszystko powtórzyć ojcu i matce, ale, proszę, nikomu więcej.

Babka powtórzyła Gendzo i jego żonie, co jej Kacugoro opowiedział, a gdy się chłopak ośmielił zaczął częściej rozmawiać z rodzicami na temat swych powtórnych narodzin, przyczem mawiał często: — Chciałbym pójść do Hodokubo. Proszę, pozwólcie mi odwiedzić grób Kijubei-Sana!

Gendzo myślał, że Kacugoro, to dziwne dziecko, umarł prawdopodobnie już dawno temu i że należa-

*) Tu omijam kilka zdań oryginału, zbyt trywjalnych dla czytelnika europejskiego, ale ciekawych. Treścią ich jest, że nawet znajdując się w łonie matki, zachowywał się z całym szacunkiem i zgodnie z prawami miłości synowskiej.

łoby się przedewszystkiem dowiedzieć, czy wogóle w Hodokubo mieszka jaki Hansziro, nie chciał jednak zrobić tego sam, ponieważ wstydził się trochę. Z tego powodu, zamiast pójść samemu, dwudziestego dnia, pierwszego miesiąca, bieżącego roku, wyprawił do Hodokuby swą matkę Cuję wraz z synem.

Cuja przyszła wraz z Kacugoro do Hodokubo. Kiedy weszli do wsi, pokazała mu kilka najbliższych domów i zapytała go:

— Czy to tu? Któryż to dom?

— Nie!—odpowiedział Kacugoro.—To dalej, znacznie dalej!

I pobiegł naprzód.

A kiedy wreszcie zbliżyli się do pewnego domu, zawołał:

— To tu! — i popędził, nie czekając na babkę.

Cuja weszła za nim i zapytała mieszkańców domu, kto jest jego właścicielem.

— Hanszirol — odpowiedziiano jej.

— Jak na imię żonie Hansziro? — pytała dalej.

— Szidzul — brzmiała odpowiedź.

Wobec tego zapytała znów, czy kiedyś nie było w tym domu małego chłopaczka, imieniem Todzo.

— Był! — oświadczone jej. — Ale chłopaczek ten umarł trzynaście lat temu w szóstym roku życia.

Dopiero teraz Cuja przekonała się, że Kacugoro mówił prawdę. Nie mogła dłużej leż powstrzymać. Zaczęła opowiadać mieszkańcom domu, jak to Kacugoro zwierzył się jej ze wszystkiego, co dotyczyło jego poprzedniego życia. Wywołało to ogromne zdumienie Hansziro i jego żony. Rozpłakali się, pieszcząc Kacugoro, mówili, że jest znacznie ładniejszy niż wówczas, gdy umierał, jako sześciolatek Todzo. A tym-

czasem Kacugoro wszystkiemu się z ciekawością przyglądał — i, zauwarzywszy naprzeciw domu Hansziro dach sklepu z tytoniem, rzekł, wskazując nań:

— Tego tu dawniej nie było!

A potem znowu pokazał:

— Tego drzewa też tu dawniej nie było!

A że wszystko to było prawdą, z duszy Hansziro i jego żony zniknęło wszelkie niedowierzanie.

Tego samego dnia Cuja wróciła z Kacugoro do Tanicuiiri, w Nakano - mura. Później Gendzo niejednokrotnie posyłał swego syna do domu Hansziro, pozwalając mu odwiedzać grób Kijubei, jego prawdziwego ojca w poprzednim życiu.

Czasami Kacugoro mówi:

— Jestem *Nono-Sama* *), dlatego proszę bądźcie dla mnie łaskawi.

To znów powtarza babce:

— Zdaje mi się, że umrę, skończywszy szesnaście lat. Jednakowoż, jak nas tego *Ontake-Sama* **) nauczył, śmierć nie jest niczem strasznym.

Mimo wszystko, kiedy rodzice pytali go, czy nie chciałby zostać kapłanem, odpowiadał, że nie.

Mieszkańcy wsi nie nazywają go już Kacugoro — przewalają go *Hodo Kubo-Kodzo* ***). Jeśli ktoś przyjdzie odwiedzić go, płoszy się i kryje po kątach. Trudno z nim osobiście porozmawiać. Wszystko, co tu napisałem, wiem tylko od jego babki.

Pytałem, czy Gendzo i jego żona Cuja nie przypominają sobie jakiegoś szczególnie dobrego, speł-

*) *Nono-San* albo *Sama* jest dziecinnym wyrażeniem na określenie ducha umarłego.

**) Prorok wyznania „*Szinto*”.

***) Uczeń kapłana (*chela*) z Hodokubo.

nionego przez nich uczynku. Ani Gendzo, ani jego żona do niczego podobnego się nie przyznali; jedyna Cuja, prababka, zawsze wieczór i rano odmawiała modlitwy i zawsze dawała dwa grosiki każdemu pielgrzymowi czy kapłanowi, który się pojawiał u drzwi. Wyjawszy te drobiazgi, nie zrobiła nigdy nic, co można nazwać szczególnie cnotliwym uczynkiem.

(Gleanings in Buddha-Fields).

HISTORJA AOJAGI

W erze Bummei (1469—1486) żył młody szlachcic, nazwiskiem Tomotada, który był w służbie Hatakejama Jozzimune, pana Noto. Tomotada pochodził z Iczidzen, jednakże w młodym wieku został przyjęty, jako paż, na dwór daimja Noto, gdzie się pod okiem tego księcia wychował i wykształcił, szczególnie w rzemiośle wojennem. Wyrósłszy na mężczyznę, okazał się i człowiekiem wykształconym i dobrym żołnierzem, tak, że w dalszym ciągu cieszył się względami swego księcia. Obdarzony miłym charakterem, dworską zręcznością i ujmującą powierchownością, był podziwiany i bardzo lubiany przez swych kolegów. Kiedy Tomodata miał około dwudziestu lat, został wysłany z tajnem zleceniem do Hosokawa Masamoto, wielkiego *daimja* Kijoto, krewnego Hatakejamy Jozzimune. Ponieważ kazano mu jechać przez Iczidzeu, młody człowiek poprosił o pozwolenie odwiedzenia swej owdowiałej matki, które też otrzymał.

Kiedy ruszył w drogę, była właśnie najzimniejsza pora roku. Cały kraj znajdował się pod śniegiem, a rycarz, mimo, iż miał dzielnego wierzchowca, powoził tylko mógł się posuwać naprzód. Droga, którą jechał, wiodła przez okolice górską, gdzie osady

były nieliczne i bardzo rozrzucone, tak, że już drugiego dnia podróży, po dobrych kilku godzinach jazdy, z przykrością zauważył, iż najbliższy nocleg będzie mógł znaleźć dopiero późno w nocy. Nie bez przyczyny się niepokoił, ponieważ naraz rozpełtała się gwałtowna śnieżycą, a koń wyraźnie był bliski wyczerpania. W tej ciężkiej chwili Tomotada spostrzegł niespodziewanie strzechę chaty na pobliskim wzgórzu. Z trudnością skierował swe zmęczone zwierzę ku domostwu, a stanawszy u progu, zapukał do drzwi. Uchyliła ich jakaś staruszka, a ujrawszy pięknego nieznajomego, wykrzyknęła z współczuciem.

— Któżby pomyślał! Młody pan, podróżujący samotnie w taki czas! Racście wejść, paniczul

Tomotada zsiadł i, zaprowadziwszy konia do szopy, znajdującej się za domem, wszedł do chaty, gdzie zastał jakiegoś staruszka z dziewczyną, grzejących się przy ogniu z drzazg bambusowych. Z całym szacunkiem poprosili go, aby się zbliżył do ognia, poczem staruszkowie zaczęli grzać trochę wina ryżowego i przygotowywać posiłek dla podróżnego, którego wypytywali o cel jego podróży. Dziewczyna zniknęła tymczasem za parawanem. Tomotada zauważył z podziwem, że jest bardzo piękna — mimo, że ubranie jej było wprost nędzne, a długie rozpuszczone włosy, nieuczesane. Dziwił się, że tak piękne dziewczę mogło mieszkać w tak nędznej i samo nej chałupie. A tymczasem staruszek mówił:

— Szanowny panie, do sąsiedniej wsi jest daleko, a śnieg gęsty pada, Wiatr przejmuję ziębem do kości, zaś droga jest bardzo zła. Zdaje mi się, że podróżować dalej w taką noc byłoby rzeczą niebezpieczną. Mimo, iż ta nora nie jest godna waszej obecności, a my nie możemy wam służyć żadnymi wygodami, byłoby może bezpieczniej spędzić

te noc pod tą nędzną strzechą. Koniem waszym sami się zajmiemy.

Tomotada przyjął te pokorne zaprosiny — w duchu zadowolony nawet — ponieważ nastęczało mu to sposobność ponownego zobaczenia młodej dziewczyny. Natychmiast zastawiono przed nim niewybredną, lecz obfitą, wieczerzę, a dziewczę wyszło z za parawanu, aby mu nalać wina. Była teraz w skromnej, ale czystej, sukience z samodziału, a jej długie rozpuszczone włosy były starannie uczesane i przygładzone. Kiedy się pochyliła, aby napełnić jego kubek, Tomotada ze zdumieniem spostrzegł, że pięknoscą przewyższała wszystkie kobiety, jakie dotychczas widział; ruchy jej były pełne takiego wdzięku, że nie mógł wyjść ze zdumienia.

Ale starszuskowie wciąż ją usprawiedliwiali.

— Paniel — mówili — córka nasza Aojagi*) wychowała się tu w górach zupełnie sama i nie ma pojęcia jak się trzeba zachować. Prosimy was, abyście wybaczyli jej naiwność i nieznajomość form.

Tomotada oświadczył, że czuje się wprost uszczęśliwiony względami tak wykwiintnej dziewczycy. Oczu oderwać od niej nie mógł — aczkolwiek widział, że pod jego, pełnem podziwu, spojrzeniem, wciąż się rumieni — i nie kosztował ani wina, ani potraw, stojących przed nim.

Tu jednak odezwała się matka:

— Zaczny panie, spodziewamy się, że przecież przelkniecie coś niecoś i wypijecie kubek wina — choć, prawdę mówiąc, nasze chłopskie jedzenie do najlepszych nie należy — ale musieliście dobrze zziębnąć na tym przenikliwym wietrze.

Wobec tego, aby zrobić przyjemność starszuskom,

*) Aojagi — zielona wierzba, imię rzadkie, jednakże znajdujące się w użyciu.

Tomotada zaczął jeść i pić co siły, ale urok rumieniającego się dziewczęcia wciąż w jego oczach zwracał. Rozmawiając z nią, spostrzegł, że mowa jej była nie mniej słodka od jej twarzyczki.

Być może, że wychowała się w górach — w takim razie jednak rodzice jej musieli kiedyś należeć do lepszego świata, ponieważ ona rozmawiała i poruszała się, jak panna z towarzystwa. Naraz zwrócił się do niej z poematem — będącym równocześnie pytaniem, podyktowanym mu przez serdeczny zachwyt.

*Tadzunecuru,
Hanaka tote koso,
Hi wo kurase,
Akenu ni otoru
Akane sasurau?*

(Mając kogoś odwiedzić, znalazłem po drodze coś, co wydało mi się kwiatem. Straciłem przez to dzień, dlaczego jednak przed świtem brzask rozgorzał — tego nie wiem*).

A ona bezzwłocznie odpowiedziała mu następującym wierszem:

*Idzuru hi no
Honomeku iro wo
Waga sode ni
Cucumaba asu mo
Kimija tomaran.*

(Jeśli rękawem swej sukni zastaniam nikłą barwę świecącego słońca — to może dlatego, aby rano pan mój nie odjeżdżał).

*) Poemacik ten można czytać podwójnie, ponieważ niektóre wyrażenia mają podwójne znaczenie. Wobec tego, że budowa jego wymagałaby zbyt wielu komentarzy, a nie zajęłaby czytelniczka z Zachodu, tłumaczymy: — Udawszy się w podróż, aby odwiedzić swą matkę, napotkałem istotę lubą, jak kwiat; dla tej rozkosznej istoty spędzam tu dzień... O piękna, dlaczegoż rumieńce, podobne do glorii zachodzącego słońca, zdobią twą twarz, mimo, iż słońce nie zaszło? Czy to ma znaczyć, że mnie kochasz?

A wtedy Tomotada zrozumiał, że ona przyjmuje jego hołdy i mniej zachwyciła go sztuka, której wierszem ona odwzajemniła mu się w uczuciach, jak świadomość, którą mu te wiersze dały. Był teraz pewny, że w całym świecie nie mógł spotkać, a jeszcze mniej zdobyć, dziewczę piękniejsze i dowcipniejsze od tej wiejskiej dziewczyny, którą miał przy sobie. I głos jakiś w jego sercu zdawał się wołać uparcie: — Bierz szczęście, które ci bogowie podsunęli! — Jednym słowem był oczarowany — oczarowany do tego stopnia, że, nie zwlekając, poprosił starszków o rękę córki, wymieniwszy im równocześnie swe nazwisko i pochodzenie i powiadomiwszy o swem stanowisku na dworze pana Noto.

Pokłonili mu się głęboko, z wielu okrzykami radosnego zdumienia. Jednakże, po kilku chwilach wahania, ojciec dziewczęcia odpowiedział:

— Czcigodny panie, jesteście osobą wielkiego rodu i prawdopodobnie dokonacie wielkich rzeczy. Zbyt wielką jest łaskawość, jakiej godnymi racycie nas uznać — i zaiste, o głębi wdzięczności naszej z tego powodu nie można mówić, albowiem nikt nie zdoła jej zmierzyć. Ta nasza córka, głupia dziewczyna wiejska, niskiego pochodzenia, bez żadnego wykształcenia i wychowania, nie nadaje się w żaden sposób na żonę szlachetnego samuraja. Niewłaściwem byłoby nawet mówić o tem... skoro jednak upodobaliście sobie tę dziewczynę i, zniżywszy się ku niej, raczyliście wybaczyć jej chłopski sposób zachowania się i przeoczyć jej chamstwo, będziemy uważali sobie za szczęście, ofiarując wam ją, jako służkę. Dlatego raccie od tej chwili postępować z nią, jak się wam łaskawie podoba.

Wczesnym rankiem burza przycichła i na wschodzie zaświtał pogodny dzień. Nawet, gdyby rękaw Aojagi, zasłoniwszy oczy kochanka, ukrywał przed

niemi purpurową zorzę brzasku, Tornodata nie mógł zwlekać dłużej. Z drugiej strony jednak nie mógł się rozstać z dziewczyną. Dlatego, kiedy już wszystko było do podróży gotowe, tak przemówił do rodziców:

— Aczkolwiek domaganie się więcej, aniżeli już otrzymałem, może wyglądać na niewdzięczność, zmuszony jestem jeszcze raz poprosić was, abyście mi dali swoją córkę za żonę. Rozstać się z nią teraz byłoby dla mnie rzeczą niemożliwą, a ponieważ ona chce mi towarzyszyć, o ile oczywiście na to pozwolicie, gotów jestem wziąć ją tak, jak stoi. Jeśli mi ją dacie, będę was zawsze czcił jak własnych rodziców... Tymczasem zaś zechciejcie przyjąć tę drobnostkę, jako podziękę za swą gościnność.

To mówiąc, podał swemu pokornemu gospodarzowi sakiewkę, pełną złotych *rijo*.

Ale staruszek, padłszy przed nim kilkakrotnie na twarz, odsunął łagodnie dar, mówiąc:

— Czcigodny panie, złoto nie ma dla nas żadnej wartości, a wam się z pewnością przyda podczas waszej długiej podróży w taki mróz. Nic tu nigdy nie kupujemy, a takiej sumy nie mogliśmy na siebie wydać, nawet gdybyśmy chcieli... Co się tyczy dziewczęcia, to daliśmy wam ją w darze, należy do was, zatem nie potrzebujecie nas pytać o pozwolenie, jeśli chcecie wziąć ją ze sobą. Już przedtem oświadczyła nam, że spodziewa się iż będzie wam towarzyszyła, służąc wam tak długo, jak długo będziecie przy sobie cierpieć jej obecność. Co się nas tyczy, to jesteśmy aż nazbyt szczęśliwi na myśl, iż raczycie ją zabrać — i prosimy was, abyście się nami zupełnie nie krępowali. Mieszkając tutaj, nie mogliśmy zaopatrzyć jej w odpowiednie suknie — a cóż dopiero mówić o wyprawie. Jednakże, jako ludzie starzy, byliśmy oddawna do pewnego stopnia przygotowani na to, że będziemy musieli się z nią rozstać. To też

bardzo szczęśliwie się składa, że chcecie ją wziąć ze sobą.

Napróżno starał się Tomotada nakłonić starszków do przyjęcia pieniędzy. Przekonał się, że o pieniądzu zupełnie nie dbają. Zauważył też, że wszelkimi siłami starają się oddać mu swą córkę, wobec tego postanowił wziąć ją ze sobą. Wsadził ją na koń i rozstał się ze starszkami, kilkakrotnie zapewniając ich o swojej wdzięczności.

— Czcigodny panie — odpowiedział ojciec — nie wy, lecz my winniśmy wam wdzięczność. Wierzymy, że będziecie dobrym dla naszego dziecka i zupełnie się nie obawiamy o jej los.

(Tutaj następuje w japońskim oryginale przerwa w naturalnym toku opowiadania, które, skutkiem tego, traci swą jednolitość. Niema dalej ani słowa o matce Tomotady, o rodzicach Aojagi, ani o daimjo z No to. Prawdopodobnie historia w tem miejscu znudziła pisarza, skutkiem czego, pomijając szczegóły, dążył do końca. Nie mogę uzupełnić tego, co opuścił, ani naprawić błędów konstrukcji. Muszę jednak zaryzykować kilka wyjaśnień, bez których dalszy ciąg opowieści nie miałby sensu... Zdaje się, że Tomotada czem prędzej pojawił się z Aojagi w Kijoto, co ściągnęło na niego burzę; nie wiem jednak, gdzie małżeństwo później zamieszkało).

Trzeba wiedzieć, że samurajowi nie wolno żenić się bez pozwolenia swego pana, a Tomotada nie mógł go otrzymać przed ukończeniem swojej misji. Wiedząc o tem, miał wszelkie dane obawiać się, aby wdzięki Aojagi nie zwróciły na siebie niebezpiecznej uwagi i aby nie starano się porwać mu jej. Z tego powodu, przybywszy do Kijoto, starał się trzymać ją przed wzrokiem ciekawych w ukryciu, ale pewien dworzanin pana Hosokawa ujrzał Aojagę pewnego dnia, odkrył stosunek, jaki ją łączył z Tomotado

i doniósł o wszystkim *daimjowi*. Wówczas daimjo, książe młody i wielki miłośnik ładnych twarzyczek, polecił natychmiast dostawić dziewczę do pałacu; wprowadzono ją tam niezwłocznie, bez najmniejszych ceremonij.

Tomotada bolał nad tem niewypowiedzianem, wiedział jednak, że jest bezsilny. Nie był niczem więcej, jak tylko uniżonym posłańcem w służbie *daimja* do dalekiej prowincji, a na razie zdany był na łaskę i niełaskę daimja znacznie potężniejszego, którego woli nie mógł się sprzeciwić. Prócz tego, Tomotada wiedział, że postąpił lekkomyślnie—że sam sprowadził na swoją głowę nieszczęście, wchodząc w tajemne związki z kobietą, co kodeks kasty rycerskiej potępia. Jedyną jego nadzieją—nadzieją ostateczną—było to, że *Rojagi* zdoła i zechce wymknąć się i uciec wraz z nim. Po długim namyśle, postanowił spróbować posłać jej list. Była to rzecz niebezpieczna, bo list mógł wpaść w ręce daimja, a pisanie listów miłosnych do mieszkanek jego pałacu było obelgą nie do darowania. Mimo wszystko, odważył się na ten krok i ułożył, w kształcie poematu chińskiego, list, który starał się jej posłać. Poemat składał się tylko z dwudziestu ośmiu charakterów, jednakże, tych dwadzieścia osiem charakterów wyrażało całą głębię jego rozpacz i cały ból rozłąki.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy poemat został wysłany, Tomotadę zawezwano przed *daimja*. Młody człowiek zrozumiał natychmiast, że został zdradzony. Wiedział, że, jeśli list jego wpadł w ręce *daimja*, nie uniknie kary i to jak najsroźszej.

— Skaże mnie na śmierć — myślał. — Jeżeli jednak nie zechce oddać mi *Rojagi*, nie dbam o nic. Prócz tego, o ile wyda na mnie wyrok śmierci, będzie mi wolno spróbować go zabić.

To pomyślawszy, wsunął za pas swe miecze i udał się pośpiesznie do pałacu.

Wszedłszy do sali posłuchań, ujrzał pana Hosokawę, siedzącego na tronie i otoczonego szlachtą wysokiego rodu w obrzędowych szatach i nakryciach głów. Wszyscy byli milczący i nieruchomi, jak posągi. A kiedy Tomotada zbliżył się, aby złożyć księciu pokłon, milczenie to zdawało mu się tak posępne i ciężkie, jak cisza przed burzą. Ale Hosokawa zstąpił nagle z tronu i, ujawszy młodzieńca pod ramię, zaczął recytować jego poemat. A Tomotada, podniósłszy głowę, ujrzał w oczach księcia łzy rozrzewnienia.

Wówczas Hosokawa rzekł:

— Dla waszej wielkiej miłości, postanowiłem dać wam zezwolenie na ślub, w zastępstwie mego krewnego, pana z Noto. Ślub wasz odbędzie się w mojej obecności. Goście są zgromadzeni, podarunki czekają.

Na dany znak rozsunięto drzwi, wiodące do dalszych apartamentów, gdzie Tomotada ujrzał zaproszonych na uroczystość wielu dostojników dworu i Aojagi, oczekującą go w stroju panny młodej... W ten sposób oddano mu ją — a wesele było huczne i wspaniałe, przyczem młoda para otrzymała kosztowne podarki od młodego księcia i członków jego dworu.

* * *

Od dnia ślubu Tomotada i Aojagi żyli przez pięć lat szczęśliwie. Ale jednego poranku Aojagi, rozmawiając ze swym mężem o jakiejś sprawie domowej, wydała nagle wielki okrzyk bólu, a potem zbieła, jak płótno, i uciekła. Po chwili przemówiła cichym głosem:

— Wybacz mi ten nagły krzyk — ale ból był tak nieoczekiwany... Mój drogi, związek nasz doszedł

do skutku prawdopodobnie, dzięki jakiemuś pokrewieństwu w poprzednim stanie istnienia, i wierzę, że ten szczęśliwy stosunek połączy nas znowu w życiu przyszłym. W tem życiu jednakże stosunek nasz skończył się — musimy się rozstać. Błagam cię, odmów za mnie modlitwy za konających, ponieważ ja umieram...

— O, cóż ci się znów zdaje! — wykrzyknął przeżony małżonek — zrobiło ci się poprostu słabo, moja droga... Połóż się na chwilę i wypocznij, a ból z pewnością przejdzie.

— Nie, nie! — odpowiedziała — umieram! — To nie majaczenie — ja wiem z pewnością i napróżno, drogi mój mężu, ukrywałabym dłużej prawdę przed tobą: — ja nie jestem człowiekiem. Duszą moją jest dusza drzewa, sercem mojem jest serce drzewa — miąższ wierzby jest mojem życiem — a w tej strasznej chwili ktoś zcina moje drzewo — i oto dla czego muszę umrzeć!.. Nawet płacz jest już ponad moje siły. Odmawiaj czem prędzej modlitwy za konających... Czemu prędzej!.. Aha!..

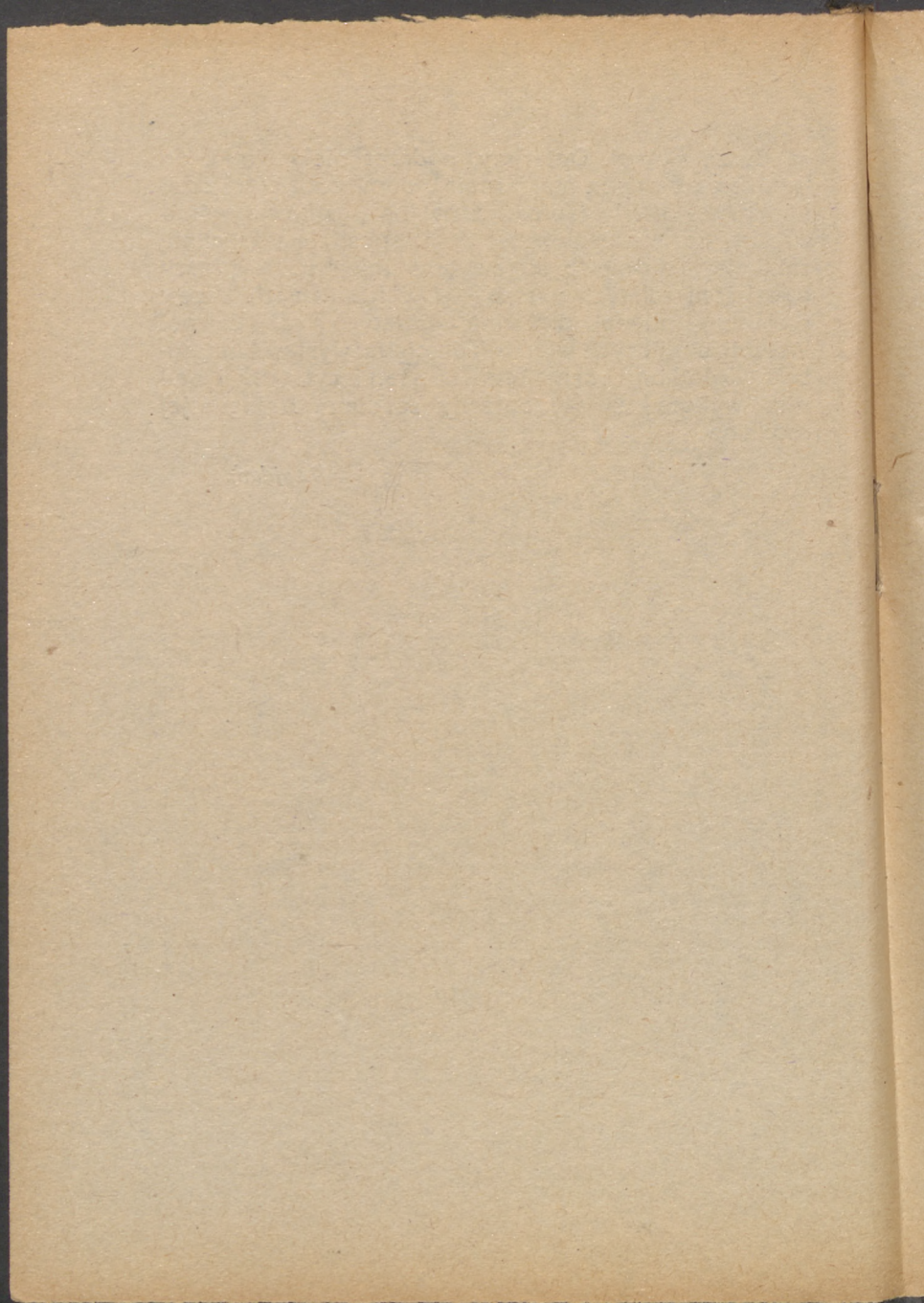
Z ponownym okrzykiem bólu, Mojagi pochyliła swą piękną twarzyczkę, starając się ukryć ją za rękawem. W tej samej chwili jednak cała jej postać zdawała się w przedziwny sposób niknąć i ginąć, wciąż, wciąż i wciąż, — aż ku poziomowi podłogi. Tomotada podskoczył... aby ją dźwignąć — ale tu nie było nic do dźwignięcia...

Na matach leżały tylko puste suknie pięknej istotki i klejnoty, jakie miała we włosach; ciało jej przestało istnieć...

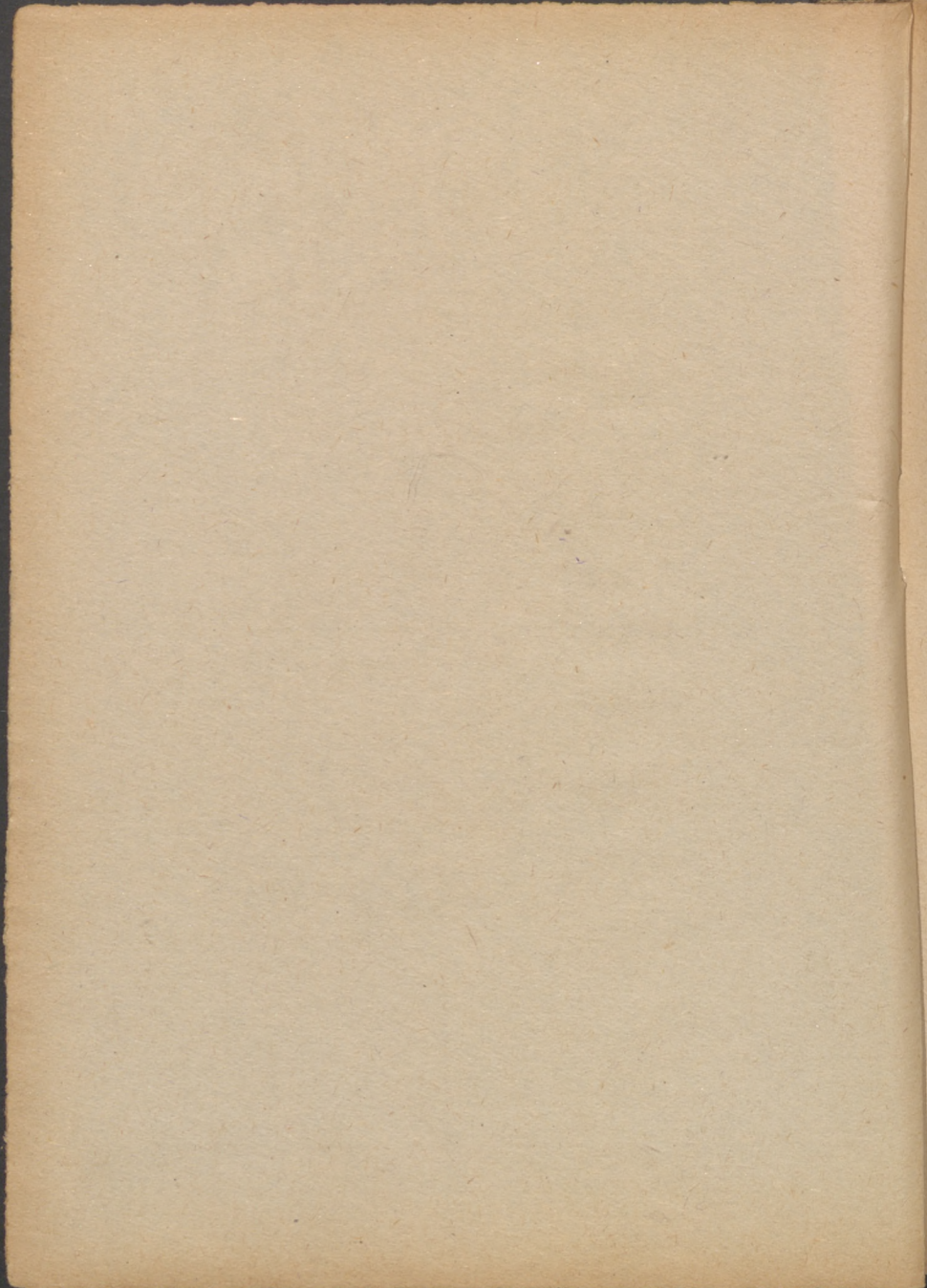
Tomotada zgolił głowę, przyjął śluby buddyjskie i został wędrownym kapłanem. Wędrował po wszystkich prowincjach cesarstwa, a we wszystkich świętych miejscach, które zwiedził, dawał na modlitwę

za duszę Rojagi. Dotarłszy, podczas pielgrzymki, do Iczidzen, przypomniał sobie dom rodziców swej ukochanej. Kiedy jednak stanął na pustkowiu wśród wzgórz, gdzie dawniej stał dom, spostrzegł, że chata zniknęła. Nic nie było na tem miejscu, wyjąwszy trzech pni zciętych wierzb — dwóch starszych drzew i jednej młodej drzewiny — zciętych już dawno. Wpobliżu pni tych wierzb Tomotada wystawił nagrobek, ozdobiony rozmaitemi świętymi cytatami i nad nim wykonał święte obrzędy za duszę Rojagi i jej rodziców.

(Kwajdan).



ŻYWY BÓG



Od niepamiętnych czasów, w nieregularnych, nieraz stuletnich, przerwach, splukują brzegi Japonji ogromne, niespodziewane fale — wywołane trzęsieniem ziemi albo podmorskiem działaniem wulkanicznym. Ten straszny, nagły przyływ morza nazywa się po japońsku *cunami*. Jeden z takich przyływów zanotowano w dniu 17 czerwca roku 1896, kiedy fala, długości dwustu mil, zwała się na północno-wschodnie prowincje Mijagi, Iwate i Aomori, zmywając dziesiątki miast i wsi, rujnując całe dystrykty i pochłaniając przeszło trzydzieści tysięcy istot ludzkich. Historia Hamaguczi Gohei jest historją takiej właśnie katastrofy, która wydarzyła się dawno, przed okresem Meidzi, po drugiej stronie wybrzeża japońskiego.

Hamaguczi Gohei był starym człowiekiem w czasach, które uczyniły go sławnym. Uważano go za najbardziej wpływowego obywatela wsi, w której mieszkał. Przez długie lata był jej *muraosa*, czyli wójtem i na tem stanowisku lubiano go i szanowano. Nazywano go powszechnie *Odziisan*, co znaczy dziadek; jednakowoż, ponieważ był najbogatszym członkiem gminy, nazywano go panem dziedzicem. Ubożsi rolnicy zasiegali niejednokrotnie jego rady,

wzywali go na sędziego w swych sporach w razie potrzeby, pożyczali od niego pieniądze i deponowali u niego ryż, przeznaczony na sprzedaż.

Wielki folwark Hamaguczego, o słomianej strzeże, stał na skraju wyżyny, z której widać było zatokę morską. Wyżyna ta, z trzech stron otoczona gęsto zalesionymi wzgórzami, opuszczała się łagodnym zboczem w wielką, zieloną wklęsłość, idącą aż ku brzegowi morskemu. Całe to zbocze, długie na jakie trzy ćwierci mili (ang.), było tak porżnięte terasami, że, widziane z pełnego morza, wyglądało jak ogromny rząd zielonych stopni, w środku rozdzielonych cienką, białą zygzakowatą linią — stromą górską drogą. Nad zatoką stało około dziewięćdziesięciu, słomą krytych, chat i świątynia *Szinto*, stanowiąca własność wsi; inne chaty pięły się po zboczu górskim, rozrzucone w pewnej odległości od siebie, po obu stronach wąskiej drogi, prowadzącej ku obejściu pana dziedzica.

Pewnego jesiennego wieczoru, przyglądał się Hamaguczi Gohei, z balkonu swego domu, przygotowaniom do zabawy, jakie we wsi robiono. Był bardzo dobry zbiór ryżu, wobec czego wieśniacy chcieli uczynić żniwa zapomocą tańca w podwórzu (*Udzigami**). Staruszek widział chorągwi świąteczne, powiewające nad strzechami samotnych uliczek, sznury latarni papierowych, zwisające z żerdzi bambusowych, udekorowaną kaplicę i zbiegającą się młodzież w różnobarwnych sukniach. Nikogo tego wieczoru przy nim nie było, wyjąwszy małego dziesięcioletniego wnuka, ponieważ wszyscy domowi wcześniej udali się do wsi. Chętnie towarzyszyłby im i on, gdyby nie to, że czuł się słabszy niż zwykle.

Dzień był duszny i, mimo dolatujących z morza pod-

*) Parafjalna świątynia wyznania Szinto.

muchów, wisiał w powietrzu ciężki upał, który, zgodnie z doświadczeniem wieśniaków japońskich, poprzedza w niektórych porach roku trzęsienie ziemi. I istotnie, niebawem dało się odczuć trzęsienie ziemi. Było tak słabe, że nikt się go nie zląkł, ale Hamaguczi, który w swoim życiu obserwował już setki takich wstrząśnień, od razu się domyślił, że ten objaw jest niebezpieczny — długi, powolny, wchłaniający. Prawdopodobnie był to odruch jakiegoś niezmiernego, a bardzo dalekiego, wstrząśnienia. Dom trzasnął kilkakrotnie i kilka razy się gwałtownie zatoczył. Potem znowu nastąpiła cisza.

Kiedy trzęsienie ziemi ustało, Hamaguczi obrócił spojrzenie swych mądrych, starych oczu na wieś. Zdarza się nieraz, że uwagę osoby, wpatrzonej w pewien punkt czy przedmiot, odwraca nagle coś, z czego sobie człowiek nawet sprawy nie zdaje — jakieś niewyraźne drgnienie, zwiastujące coś niezwykłego, w niejasnym zewnętrznym kole naszej podświadomości, leżącej poza polem wyraźnej wizji. I tak Hamaguczi zauważył naraz coś niezwykłego na pełnym morzu. Wstał i wpatrzył się w morze. Poczerniawszy nagle, burzyło się gwałtownie. Zdawało się, jakgdyby poruszało się przeciwko wiatrowi. *Uciekało od lądu.* W krótkim czasie cała wieś zwróciła uwagę na to zjawisko. Widocznie nikt nie zauważył poprzedniego trzęsienia ziemi, ale wszyscy byli zdumieni ruchem wody. Biegli ku brzegowi morza, aby je obserwować. Najstarsi ludzie nigdy nie widzieli na tym wybrzeżu takiego odpływu. Wynurzyły się rzeczy, nigdy dotychczas nie widziane. Obnarzyły się nieznanne przestrzenie piasku i pokryte algami skałki. Ale tylko jeden, jedyny człowiek odgadł, co ten odpływ znaczy.

Hamaguczi Gohei nigdy nic podobnego nie

widział. Pamiętał jednakże, co ojciec jego ojca opowiadał mu w dzieciństwie i znał całą tradycję wybrzeża. Zrozumiał, co ono może uczynić. Myślał, że czas dać znać do wsi, albo też do świątyni buddyjskiej na wzgórzu, aby tam uderzyli w wielki dzwon... Trwałoby to jednakże znacznie dłużej niż to, co w tej chwili zamyślił.

— Tada! — prędko — natychmiast!... zapal mi pochodnie!..

Taimacu, czyli smoliste pochodnie, znajdują się w wielu domach nadbrzeżnych, tak ze względu na burzliwe noce, jako też i dla potrzeb w niektóre świąteczne dni *Szinto*. Dziecko natychmiast pochodnię rozżarzyło, a starzec pobiegł z nią ku swym polom, gdzie, oczekując zwózki, stały setki stogów ryżowych, przedstawiające większość jego kapitału. Stanąwszy przy stogach, znajdujących się najbliżej skraju zbrocza, zaczął je podpalać, biegając od jednego stogu do drugiego tak prędko, jak tylko mu na to jego stare członki pozwalały. Wyszłe na słońcu kłosa paliły się jak chrust, zwłaszcza, że wiatr dął od morza ku lądowi. I tak stogi szeregami stawały w płomieniach, rzucając ku niebu słupy dymu, które spotykały się ze sobą i mieszały w jeden wielki wirujący oblok.

Tada, zdumiony i przerażony, biegał za swym dziadkiem, wołając z płaczem:

— *Odžiisan*, dlaczego? — *Odžiisan!* dlaczego? — dlaczego?...

Ale Hamaguczi nie odpowiedział. Nie miał czasu tłumaczyć się. Myślał tylko o czterystu istnieniach, narażonych na śmierć.

Dziecko przez chwilę przyglądało się ze zdumieniem palącym się snopom ryżu, a potem, wybuchnąwszy płaczem, uciekło do domu w przekonaniu, iż dziadek oszalał. A Hamaguczi podpalał stóg po

stogu, dopuki nie stanął na granicy swych pól. Tam rzucił pochodnię na ziemię i czekał. Tymczasem sługa kościelny, w świątyni na wzgórzu, uderzył w wielki dzwon, a ludzie na wybrzeżu uczynili zadość podwójnemu wezwaniu. Hamaguczi przyglądał się im, jak biegli z piasku wybrzeża i od strony wsi niby mrówki, a w jego strwożonych oczach nie o wiele prędzej, ponieważ każda spóźniona chwila była dla niego wiecznością. Słońce zachodziło; pomarszczone dno zatoki i szeroka, blada, płamista przestrzeń poza nią, leżała naga w ostatnich blaskach ceglatego światła, a morze wciąż uciekało ku horyzontowi.

W rzeczywistości Hamaguczi nie długo czekał na przybycie pierwszej partji, śpieszącej mu z pomocą, — około dwudziestu młodych, zwinnych parobków przybiegło, by natychmiast atakować pożar. Ale stary zatrzymał ich, rozkrzyżowawszy ramiona:

— Niech się pali, chłopcy! — zakomenderował — nie szkodzil.. Chcę, żeby mi się tu zesłała cała *mura* (gmina), grozi wielkie niebezpieczeństwo — *taibenda!*

Cała wieś już się zbiegała — zaś Hamaguczi liczył. W krótkim czasie wbiegli na wzgórze wszyscy młodzi mężczyźni i parobcy, a także niemało zwinniejszych kobiet i dzieci. Za tymi przybywała większa część starszych mężczyzn, a także matki z niemowlętami na plecach i nawet dzieci — bo i dziecko może być pomocne w podawaniu wiadra z ręki do ręki; widziało się także i starców, za słabych, aby dotrzymać kroku młodszemu, wlokących się powoli, zбочem wzgórza. Wciąż rosnący tłum, nic jeszcze nie rozumiejący, patrzył z żalosnym zdumieniem to na płonące pola, to na obojętną twarz swego pana dziedzica.

A słońce zachodziło...

— Dziadek oszalał! — ja się go boję! — łkał Tada, w odpowiedzi na liczne pytania — oszalał naumyślnie ryż podpalił: sam widziałem!

— Co się tyczy ryżu — wykrzyknął Hamaguczi, dziecko mówi prawdę! Ja sam ryż podpaliłem!.. Czy wszyscy tu już są?

Strażnik i ojcowie rodzin policzyli ludzi wzrokiem, a spojrzawszy na zbocze wzgórza, odpowiedzieli:

— Jesteśmy tu prawie wszyscy, a reszta będzie za chwilę. Ale co się dzieje?

— *Kita!* — krzyknął starzec z całej siły, wskazując im morze. Powiedzcie teraz, że jestem szalony!..

Wszyscy spojrzeli przez zmierzch ku wschodowi i ujrzeni na skraju chmurnego horyzontu długą, cienką, niewyraźną linię, niby cień wybrzeża tam, gdzie wybrzeża nigdy nie było, — linię, która w miarę jak patrzyli, stawała się coraz wyraźniejszą i szerszą, podobnie jak w oczach żeglarza, zbliżającego się do lądu, rośnie linja wybrzeża, ale nieporównanie prędzej. Albowiem ten długi cień, to było powracające morze, spiętrzone jak skała, a lecące prędzej od sępa.

— *Cumamil!* — wrzasnęli ludzie, a w tej chwili wszystkie krzyki, dźwięki i wszelka możliwość słyszenia czegokolwiek zostały unicestwione przez niemożliwe do opisanego wstrząśnienie, cięższe, niż jakikolwiek grzmot, a pochodzące od uderzenia olbrzymiej, napęczniałej fali, która runęła na wybrzeże z takim rozpędem, że góry aż zadrżały, a piana rozprysnęła się w powietrzu, niby blask błyskawicy. Przez chwilę nie było widać nic, prócz mgły wodnej, pnącej się po zboczu górskim, jak chmura — i tłum, na sam jej widok, cofnął się przed nią w przerażeniu. Kiedy

odzyskali wzrok, ujrzeli białą zgrozę morza, szalejącego na miejscu, gdzie były ich domy. Cofając się z rykiem, woda wyrwała całe szmaty ziemi; dwa, trzy, pięć razy morze uderzało i wracało, za każdym razem bijąc coraz słabiej, aż wreszcie wróciło do swego dawnego łożyska i zostało w niem—wściekając się wciąż, jak po tajfunie.

Na wzgórzu przez dłuższy czas nikt nie odezwał się ani słowem. Wszyscy milcząco przyglądali się zniszczeniu, które się dokonywało pod nimi—upiornemu wyglądowi wciąż wstrząsanych skał i obdartych do naga raf, chaosowi wzburzonego do dna morza i poszczególnym ciosom, wymierzonym napół już zrujnowanym ścianom domów mieszkalnych i świątyni. Wsi już nie istniało, jak nie istniało większej części pól, zniknęły nawet terasy ziemne, a ze wszystkich domów, zbudowanych nad zatoką, pozostały tylko dwie strzechy, które wciąż jeszcze sterczały wśród szumiących fal. Dopiero teraz wyrwał się z piersi ludzkich okrzyk strachu przed odpartą śmiercią i zdumienie, spowodowane widokiem tej strasznej klęski, szukało sobie wyrazu, gdy naraz usłyszano znów głos Hamagucziego, obwieszczający uprzejmie:

— Oto dlaczego podpaliłem ryż!

On, ich pan dziedzic, stał teraz wśród nich tak biedny, jak najbiedniejszy z nich, bo majątek jego przepadł—zato on uratował, zapomocą tej ofiary, czterysta istot. Mały Tada podbiegł ku niemu, złapał go za rękę i błagał go o przebaczenie, że wygadywał rzeczy niedorzeczne. Zaś wszyscy zgromadzeni zdali sobie naraz sprawę z tego, dzięki czemu znajdują się przy życiu i zaczęli wielbić prosty, niesamolubny sposób, któremu zawdzięczali swe ocalenie.

Przodownicy wsi padli w kurzu na twarze przed Hamaguczi Gohei, a przykład ten reszta naśladowała.

Staruszek zapłakał, raz dlatego, że był uszczęśliwiony, a powtóre, ponieważ, jako człowiek starszy i słaby, był bardzo tem całym zdarzeniem zmęczony.

— Pozostał mój dom — odezwał się, jak tylko zdołał dojść do słowa — głaszcząc mimowoli brązowe policzki Tada — dużo ludzi może się tu pomieścić. A świątynia na wzgórzu stoi też. Tam znów drudzy mogą znaleźć schronienie.

Wskazując drogę, ruszył ku swemu domowi, a tłum płakał i wznosił okrzyki na jego cześć.

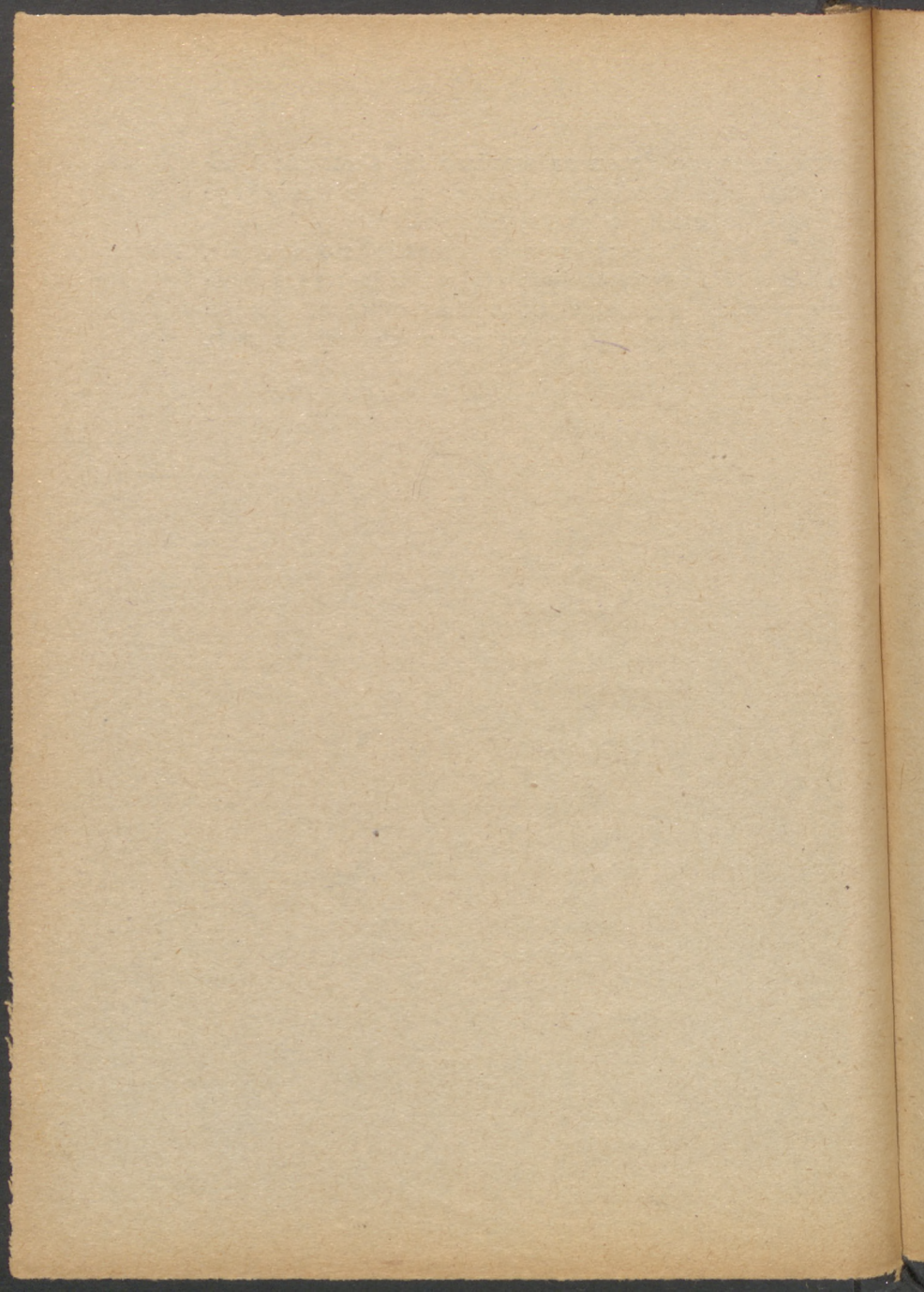
Skutki katastrofy trwały długo, Ponieważ w owych czasach komunikacja między poszczególnymi okręgami była niełatwa, wskutek czego musiało się wzywać pomocy zdaleka. Kiedy jednak wróciły lepsze czasy, ludzie nie zapomnieli o swym długu wdzięczności wobec Hamaguczi Gohei. Bogatym zrobić go nie mogli; on sam nie pozwoliłby na to, nawet gdyby to było możliwe. Prócz tego podarunki, jako wyraz ich wdzięczności dla niego, były stanowczo niewystarczające, ponieważ oni wierzyli, że duch, mieszkający w nim, był boski. Wobec tego obwołali go bogiem i od tego czasu nazywali go Hamaguczi Daimjodzin, przekonani, iż większego zaszczytu wyświadczyć mu nie mogą — i zaprawdę, nigdy żaden śmiertelny, tak wielką godnością, nagrodzony nie został. Odbudowując wieś, wzniesli też świątynię jego duchowi, a na jej froncie umieścili tablicę z jego imieniem, wypisanem złotem, chinskimi charakterami; czcili go też tu ofiarami i modlitwami.

Jak on się z tem czuł, tego powiedzieć nie mogę. Wiem tylko, że w dalszym ciągu mieszkał pod starą

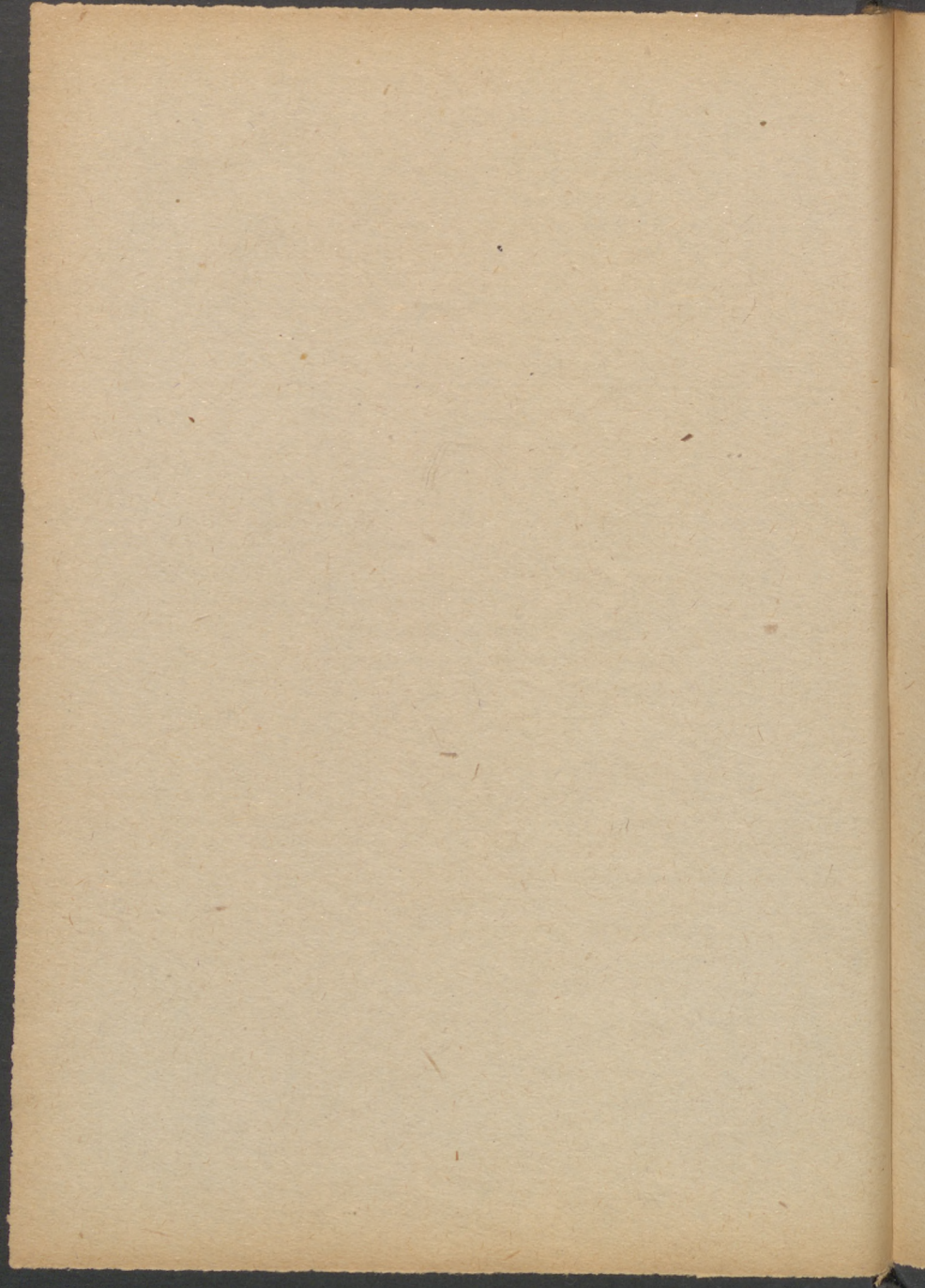
strzechą swego domu na wzgórzu, tak skromnie i prosto, jak przedtem, podczas, gdy do duszy jego zanoszono modły w nowej świątyni.

Od jego śmierci minęło przeszło sto lat, ale, o ile wiem, świątynia jego stoi wciąż jeszcze, a wieśniacy modlą się w niej do ducha dobrego, starego rolnika, błagając go o pomoc w ciężkich czasach,

(Gleanings in Buddha-Fields).



HARU



Haru została wychowana przeważnie w domu, według zasad staroświeckich, które wytworzyły jeden z najbardziej uroczych typów kobiecych, jakie świat kiedykolwiek widział. To wykształcenie domowe kładło główny nacisk na prostotę serca, naturalny wdzięk ułożenia, posłuszeństwo i umiłowanie obowiązków, jak się je tylko w Japonji kultywuje. Jego wynik moralny bywał czasem zbyt szlachetny i piękny i nie powinien był wychodzić poza obręb starojapońskich sfer towarzyskich, bo wychowanie to nie było szczególne, jako przygotowanie do walki życiowej w znacznie cięższych, nowoczesnych warunkach; istnieje jednak wciąż jeszcze i u nich. Wytworne wychowanie zdawało pannę zupełnie na łaskę i niełaskę męża. Żonie nigdy nie wolno było okazać mężowi zazdrości, żalu lub gniewu—nawet gdyby okoliczności budziły w niej i uzasadniały te uczucia—powinnością jej było zwalczać błędy męża wyłącznie tylko czułością i łagodnością. Słowem—zrobiono z niej istotę nadziemską—mającą za zadanie urzeczywistnić—przynajmniej nazewnątrz—ideał doskonałego wyrzeczenia się siebie. A to było możliwe—o ile mąż jej pochodził z tej samej kasty i był człowiekiem delikatnym i subtelnym, zdolnym do odgadnięcia jej uczuć i nie raniącym ich.

Haru pochodziła z rodziny znacznie lepszej, niż jej mąż, i do pewnego stopnia nie była dla niego odpowiedzialną — ponieważ on istotnie nie był w stanie jej zrozumieć. Pobrali się w bardzo młodym wieku i z początku klepali biedę; dostatek przychodził stopniowo, dzięki małżonkowi Haru, który był dzielny i przedsiębiorczym człowiekiem. Czasami przychodziło jej na myśl, że kochał ją najbardziej, jak byli biedni; a kobieta rzadko kiedy myli się w tych sprawach.

Wciąż jeszcze sama szyla mu suknie, a on chwalił jej zręczność władania igłą. Odgadywała jego życzenia, pomagała mu ubierać się i rozbierać, starała się, aby mu w ich ładnym domu było jak najwygodniej, odprowadzała go do drzwi i składała mu w nich pełen wdzięku ukłon, gdy wychodził po interesach, witała go, gdy powracał, przyjaciół jego przyjmowała jak umiała najuprzejmiej, prowadziła mu dom nadzwyczaj zręcznie i rzadko kiedy prosiła o coś, co mogło narazić go na wydatki.

Towarzyszyła mu do miejsc rozrywek, słynnych na wiosnę z piękności wiśniowego kwiecia, z ogników robaczków świętojańskich w lecie lub z karmazynu wędnących liści jaworowych w jesieni. Czasami spędzali razem dzień w Maiko, nad morzem, gdzie sosny kołyszą się jak tancerki, albo też udawali się po południu do Kijomidzu — starego, starego pałacu letniego, gdzie wszystko jest jak sen z przed pięciuset lat — i gdzie wielki cień pada od wysokich drzew, gdzie wciąż słychać skargę niewidzialnych fletów, grających na łagodną, starą nutę pieśczośliwymi dźwiękami pieśni spokoju i smutku zarazem, olśniewającą, jak lekka złota zorza, gęstniejąca w błękit nad umierającym słońcem.

Wyjawszy takie małe przechadzki i wycieczki, Haru rzadko kiedy wydalala się z domu. Jej najbliżsi

pozostali przy życiu krewni, podobnie jak i krewni męża, mieszkali rozproszeni w różnych odległych częściach kraju, skutkiem czego nie wiele też miała wizyt do składania. Chętnie przesiadywała w domu, układając kwiaty, przeznaczone do pokojów lub dla bogów, ozdabiając niemi dom; lub też karmiąc w sadzawce ogrodowej oswojone złote rybki, które wystawiały głowy z wody jak tylko usłyszały jej kroki.

Nie miała dziecka, któreby mogło wniesić w jej życie nową radość lub nowe cierpienie. Ona sama, mimo uczesania mężatki, wyglądała na młodzietką dziewczynkę — właściwie wciąż jeszcze była naiwna, jak dziecko — mimo nie małego sprytu w pewnych drobniejszych sprawach, który mąż jej tak dalece podziwiał, iż nieraz, w trudnych chwilach, zasięgał jej rady odnośnie spraw o wiele ważniejszych. Być może, że oddane mu serce orjentowało się tu znacznie lepiej niż piękna główka, jednakże rada jej, czyto pochodząca z intuicji czy nie, nigdy nie zawiodła. Przez pięć lat była z nim prawie zupełnie szczęśliwa — a przez cały ten czas on zachowywał się tak poprawnie, jak tylko zachowywać się może młody kupiec japoński wobec żony, której kulturalną wyższość nad sobą uznaje.

Ale nagle zachowanie się jego stało się chłodne — tak nagle, iż z całą pewnością od razu odgadła, że jego przyczyną bynajmniej nie jest to, czego zwykle, nie bez racji, mają powód lękać się kobiety bezdzietne. Nie mogąc domyślić się prawdziwego powodu, starała się wmówić w siebie, że zaniedbała się w swych obowiązkach. Zupełnie zbytecznie zrobiła rachunek swego niewinnego i czystego sumienia i bardzo, ale to bardzo starała się przypodobać.

On jednak pozostawał w dalszym ciągu niewzruszony. Nie usłyszała od niego ani jednego złego słowa — ale czuła je nabrzękle na jego ustach za zasłoną.

milczenia. Japończyk z lepszych sfer niechętnie używa wobec żony szorstkich słów. Uważa się to powszechnie za brak wychowania i brutalność. Przeciętnie przyzwoity, mężczyzna zawsze grzecznie odpowiada na zarzuty żony. Japoński kodeks grzeczności wymaga tego od każdego prawdziwego mężczyzny, a, nawiasem mówiąc, jest to też jedyny sposób postępowania. Subtelna i wrażliwa kobieta nie zniesie przez dłuższy czas brutalnego postępowania, egzaltowana — gotowa w uniesieniu popełnić samobójstwo — a to okrywa jej męża hańbą na całe życie. Są jednak okrucieństwa, gorsze od twardych słów, na przykład — wzbudzające zazdrość, zaniedbanie lub obojętność. Japonki wychowuje się tak, aby zazdrości swej nigdy nie okazywały — ale samo uczucie, starsze od wychowania, jest tak stare, jak miłość sama — i nie zginie, póki miłość żyć będzie. Pod swą pogodną maską Japonka kryje te same uczucia, co jej siostra z Zachodu — siostra, która modli się i modli, nawet podczas najwspanialszych przyjęć i w godzinę wyzwolenia, które pozwoliłoby jej wreszcie pozostać sam na sam ze swą męką.

Haru miała powód do zazdrości, była jednak zbyt wielkim dzieckiem, aby się go móc domyślić, służba zaś tak ją kochała, że wolała jej o tem nie wspominać.

Mąż jej zwykle spędzał wieczory razem z nią w domu lub na mieście. Teraz co wieczór wychodził. Z początku wymawiał się interesami, później nie podawał już żadnych powodów i nie mówił nawet kiedy wróci. Wreszcie zaczął się zachowywać wobec niej z milczącą brutalnością.

— Zmienił się, jakgdyby upiora miał w sercu! — mówiła o nim służba.

W rzeczywistości wpadł najzupełniej w zastawioną na niego pułapkę. Opętała go żmija-gejsza, oślepiwszy

go jednym jedynym swym uśmiechem. Co do piękności, daleko jej było do jego żony; umiała jednak doskonale kokietować i działać na zmysły — oplątując słabych mężczyźn niemi złudzeń zmysłowych tak, że pęta zaciskały się coraz bardziej, aż wreszcie nadchodziła ostateczna godzina rozczarowania i ruiny.

Haru nie wiedziała o tem, Nie podejrzewała nic złego, aż dopiero, kiedy ten sposób postępowania wszedł u jej męża w zwyczaj — a nawet wówczas przyszło jej to na myśl tylko przypadkowo, gdy zauważyła, że pieniądze jej męża znikają. Nigdy jej nie mówił gdzie spędza wieczory, ona zaś nie śmiała go o to zapytać, aby nie pomyślał, że jest zazdrosną. Zamiast powiedzieć mu wprost co o tem wszystkim myśli, traktowała go z taką słodyczą i łagodnością, że inny mąż dawnoby się wszystkiego domyślił, on jednak był, poza interesami, mało subtelny i domyślny. W dalszym ciągu spędzał wieczory poza domem a w miarę, jak wyrzuty sumienia słabły, przedłużał swą nieobecność. Naru nauczo, że obowiązkiem dobrej żony jest zawsze czuwać w nocy i czekać na powrót swego nieobecnego pana; nie dosypiając, zaczęła cierpieć na nerwy i ze spowodowaną przez bezsenność gorączką, także ciężko jej było w samotności, gdy, odpawiwszy uprzejmie o zwykłej godzinie służbę, pozostawała sama ze swemi myślami. Raz tylko zdarzyło się, że mąż jej, wróciwszy bardzo późno w nocy, rzekł do niej:

— Przykro mi, że z mego powodu przesiadujesz tak późno w nocy; nie czekaj więcej na mnie!

Na co ona, obawiając się, iż naprawdę mogłoby mu być przykro z jej powodu, uśmiechnęła się pogodnie i odpowiedziała:

— Nie byłam śpiąca i nie jestem wcale znużona; nie troszcz się o mnie...

Wobec tego, rad, że może ją wziąć za słowo, przestał się o nią troszczyć i wkrótce potem wogóle na noc nie wrócił... To samo było drugiej i trzeciej nocy, a tego ostatniego dnia mąż nie wrócił do domu nawet rano na śniadanie i Haru zrozumiała, iż nadszedł czas, w którym jej obowiązkiem, jako żony, będzie — przemówić.

Czekała go cały ranek, niespokojna o niego, strwożona o siebie samą, zrozumiawszy nareszcie wszystko dopiero po otrzymaniu najcięższej rany, jaką kobiecie zadać można. Wierna służba coś niecoś jej doniosła; resztę mogła już sama odgadnąć. Cierpiała bardzo, ale nie chciała o tem myśleć. Wiedziała tylko, że ogarnął ją gniew — samolubny gniew z powodu sprawionego jej cierpienia okrutnego, palącego, straszego.

Południe już było, a ona wciąż jeszcze siedziała, rozmyślając nad tem, jakby mu najmniej samolubnie powiedzieć to, co obowiązek powiedzieć jej nakazywał — a pierwsze słowo wyrzutu nie chciało jej przejść przez usta.

Nagle serce jej drgnęło i zabiło tak mocno, że wszystko zaczęło w jakimś dziwnym wirze tańczyć jej przed oczyma — bo, wraz z szelestem odsuwanych drzwi, dał się słyszeć głos służącego:

— Pan wrócił!

Zerwała się, aby wyjść naprzeciw niego, drżąc na całym ciele z gorączki i bólu i bojąc się, aby tego nie zauważył. A mąż zdumiał się, bo, zamiast powitać go ze zwykłym uśmiechem na twarzy, złapała się małą, drżącą rączką za pierś, okrytą miękkim jedwabiem — spojrzała mu w twarz wzrokiem, sięgającym do głębi duszy, i próbowała odezwać się, ale nie mogła wymówić nic, prócz słowa: *Anata?*^{*)}). Naraz ra-

*) Po japońsku: Czy to ty?

mię jej obwisło, oczy przymknęły się z dziwnym uśmiechem i padła na ziemię zanim ją mógł złapać.

Chciał ją podnieść.

Ale coś pękło w tym delikatnym życiu.

Nie żyła...

Rozpoczęło się biadanie, płacz, nadaremne obsypywanie pięszcziowymi imionami i bieganina za doktorami. Ona zaś leżała biała, cicha, piękna, pozbywszy z twarzy wszelkiego wyrazu bólu i cierpienia, a uśmiechnięta, jak w dzień ślubu.

Z publicznego szpitala przybiegło dwóch doktorów—dwóch japońskich lekarzy wojskowych. Bez ceremonji zadali kilka twardych, bezwzględnych pytań—pytań, które do żywego cięły duszę męża. A potem powiedzieli mu prawdę zimną i ostrą—jak stalowe ostrze—i zostawili go wraz z umarłą.

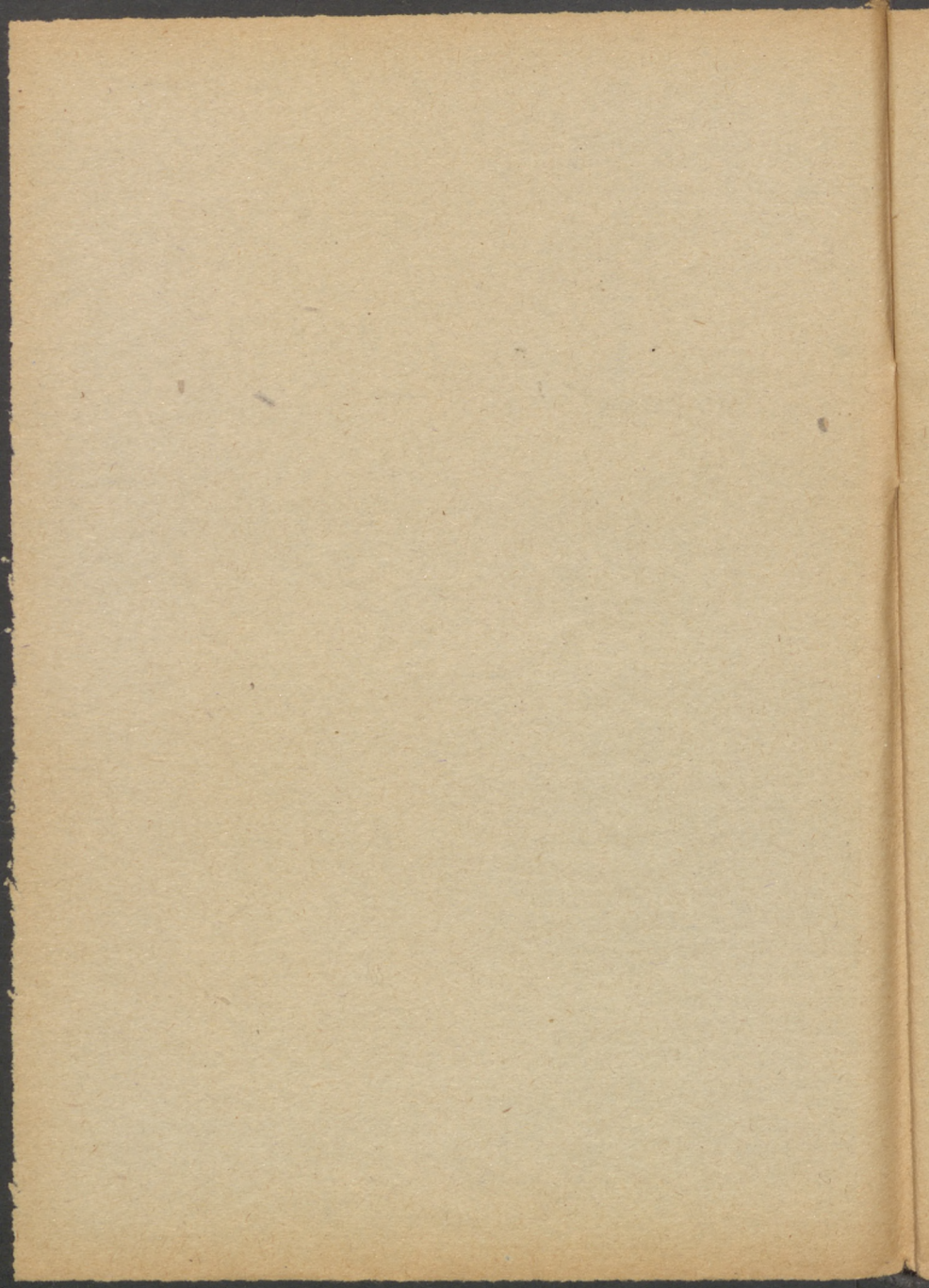
Dziwiono się, że nie został kapłanem—co byłoby najlepszym dowodem, że się w nim sumienie obudziło. Przesiaduje do dziś dnia wśród swych sztuk jedwabiu z Kijoto i posążków bogów z Osaka—poważny i milczący. Pomocnicy handlowi mówią, że jest dobrym pryncypałem—nigdy do nikogo szorstko nie odezwie się. Nieraz pracuje długo w nocy. Mieszkanie zmienił. W ładnym domku, w którym kiedyś mieszkała Haru, mieszkają dziś obcy ludzie—a jego właściciel nigdy się w nim nie pokazuje. Może dlatego, że obawia się zobaczyć nikły cień, układający kwiaty lub, z wdziękiem lilji, pochylający się nad złotymi rybkami w sadzawce. Ale, gdziekolwiek mieszkał, zawsze w cichych godzinach spoczynku czuł przy sobie czyjąś bezszelstną obecność—szyjącą, prasującą, i starającą się jak najpiękniejszemi uczynić szaty, które on kiedyś wkładał poto, aby ją zdradzić. A czasami—i to właśnie w najruchliwszych chwilach jego ruchliwego życia—zgiełk wielkiego magazynu nagle

zcicha, charaktery rozłożonych przed nim ksiąg bledną i znikają—i nagle żalony głosik, którego bogowie nie chcą ucieszyć, wymawia w pustkowiu jego serca, niby pytanie, jedno jedyne słowo:

— *Anata?*

(*Kokoro*).

JUKI-ONNA



W pewnej wsi, w prowincji Musaszi, żyło raz dwóch drwałów: Masaku i Minokiczi. Mosaku był już człowiekiem w podeszłym wieku, zaś uczeń jego Minokiczi miał wszystkiego osiemnaście lat. Codziennie chodzili razem do lasu, oddalonego o pięć mil (ang.) od wsi. Po drodze trzeba było przedostać się na drugi brzeg szerokiej rzeki, do czego służył u przewoźnika prom. Kilkakrotnie budowano u przewoźnika most, za każdym razem jednak zniosły go fale. Trzebaby było mostu nieładna, aby mógł oprzeć się w tym miejscu rzece, gdy woda przybiera.

Pewnego zimowego, mroźnego wieczoru powracał Mosaku z Minokiczi do wsi, gdy naraż zerwała się wielka śnieżycą. Dotarłszy do domku przewoźnika, spostrzegli, że przewoźnik odszedł, zostawiając prom na drugim brzegu rzeki. Mowy nie było o tym, aby się móc przedostać na drugą stronę wpław, wobec czego drwale schronili się do domku przewoźnika, uważając się za szczęśliwych, że wogóle dach nad głową znaleźli. W chacie nie było ani piecyka, ani jakiegokolwiek bądź miejsca, na którem możnaby rozpaścić ogień. Była to poprostu szopa, szerokości dwóch mat*), z drzwiami, lecz bez okien. Mo-

*) To znaczy, że podłoga jej miała sześć kwadratowych stóp.

saku z Minokiczi zamknęli za sobą drzwi i ułożyli się do snu, w swych chroniących od deszczu, szerokich pelerynach ze słomianych ździebeł. W pierwszej chwili nie było im bardzo zimno; zdawało się im nawet, że burza szybko przejdzie.

Starzec zasnął prawie natychmiast, ale chłopak Minokiczi leżał długi czas, nie mogąc zasnąć, zasłuchany w posępny wicher i bezustanne bicie śniegu w drzwi. Rzeka ryczała, a cała chata kołysała się i trzeszczała, jak dżonka na morzu. Burza wściekała się strasznie, z każdą chwilą robiło się coraz zimniej, tak, że Minokiczi dygotał pod swą słomianą peleryną. Wreszcie jednak, mimo zimna, również zasnął.

Obudził się, czując, iż śnieg smaga go po twarzy. Drzwi chaty stały otworem i przy odbłasku śniegu ujrzał w chacie kobietę—kobietę całą białą ubraną. Pochyliwszy się nad Mosaku, tchnęła na niego—a odech jej podobny był do jasnej, białej pary. W tej chwili zwróciła się do Minokiczi i zatrzymała się nad nim. Chciał krzyknąć, ale nie mógł głosu z siebie wydobyć. Biała kobieta pochylała się nad nim coraz niżej i niżej, aż wreszcie prawie, że go dotykała już twarzą—a choć się zląkł jej oczu, pomyślał, że twarz jej jest bardzo piękna. Przez chwilę przyglądała mu się, a potem uśmiechnęła się i szepnęła:

— Chciałam postąpić z tobą tak samo, jak z twoim towarzyszem... nie mogę jednak pohamować litości nad twą młodością—ładny z ciebie chłopak, Minokiczi, i ja nie zrobię ci nic złego. Ale jeśli powiesz komukolwiek—choćby nawet swej matce—co widziałeś dzisiejszej nocy, dowiem się o tem z pewnością, a wówczas—zabiję cię!

Z temi słowy odwróciła się od niego i wyszła. A wówczas on uczuł znowu, że może się poruszać, zerwał się i wybiegł z chaty. Ale kobiety nie było już widać, a gęsty śnieg zasypywał wnętrza szopy.

Minokiczi zamknął drzwi i podparł je kilku polanami. Dziwił się w jaki sposób wiatr wogóle je otworzył. Przez chwilę nawet myślał, że to wszystko mu się tylko śniło i że odbłask śniegu we drzwiach wziął, przez pomyłkę, za postać białej pani: ale nie był tego pewny. Zaczął wołać Mosaku i zląkł się, kiedy starzec nie odpowiadał. Posuwając się poomacku w ciemnościach, dotknął twarzy Mosaku i stwierdził, że jest zimna jak lód. Leżał sztywny i martwy.

O świcie burza ucichła, a kiedy tuż po wschodzie słońca, pojawił się u przewozu przewoźnik, znalazł w schronisku swem Minokiczi, leżącego bez zmysłu obok zimnych zwłok Mosaku. Zakrzątnięto się koło Minokiczi tak, że wkrótce odzyskał przytomność, przez długi czas jednakże musiał się leczyć z odmrożeń, jakie doznał tej strasznej nocy. Również głębokie wrażenie zrobiła na nim śmierć starca, ale o objawieniu się kobiety w bieli nikomu nie wspominał. Jak tylko wyzdrowiał, powrócił do swego dawnego zajęcia i chodził codzień do lasu, przynosząc, z zapadnięciem wieczoru, wiązki smolaków, które matka pomagała mu sprzedawać.

Jednego wieczoru, w zimie następnego roku, spotkał, wracając do domu, dziewczę, które przypadkowo szło w tę samą stronę. Była to wysokiego wzrostu, smukła dziewczyna, bardzo przystojna, a na pozdrowienie Minokiczi odpowiedziała głosem tak miłym, że zabrzmiał w jego uszach, jak śpiew ptaka. Szedł tedy dalej, rozmawiając po drodze. Dziewczyna powiedziała, że nazywa się O-Juki, że w ostatnich czasach straciła matkę i ojca i udaje się do Jedo, gdzie spodziewa się odnaleźć ubogich krewnych, którzyby pomogli jej znaleźć służbę. Minokiczi wkrótce uległ urokowi nieznanjomej, a im dłużej się jej przyglądał, tem piękniejszą się mu wydawała. Zapytał ją, czy nie jest przypadkiem zaręczona, na co ona ze śmie-

chem odpowiedziała mu, że jest wolna. Wtedy ona znów ze swojej strony zapytała, czy Minokiczi jest żonaty i czy ma zamiar się żenić. On zaś odpowiedział jej, że, choć utrzymuje tylko dawno owdowiałą matkę, o przyjęciu do domu „szanownej synowej” nic jeszcze nie mówiono, ponieważ on jest bardzo młody. Po tych zwierzeniach, szli przez długi czas w milczeniu.

Zanim dotarli do wsi, nadzwyczaj się polubili, a Minokiczi poprosił O-Juki, aby chwilę w jego domu odpoczęła. Po pewnem wahaniu, udała się za nim; jego matka przyjęła ją uprzejmie i przyrzędziła dla niej ciepłą wieszakę. O-Juki zachowywała się tak grzecznie, że matka Minokiczi rozkochała się w niej nagle i namówiła ją, aby swą podróż do Jedo odłożyła. Naturalne zakończenie tego wszystkiego było, że O-Juki wogóle nigdy nie zobaczyła Jedo, lecz została w domu Minokiczi, jako „szanowna synowa”.

O-Juki była bardzo dobrą synową. Kiedy matka Minokiczi, w jakie pięć lat potem, umarła, ostatnie jej, pełne miłości i pochwały, słowa, zwrócone były do synowej. Prócz tego, O-Juki obdarzyła Minokiczi dziesięciorgiem dzieci, chłopców i dziewcząt, dzieci ładnych i bardzo jasnej cery. Okoliczni mieszkańcy uważali O-Juki za osobę poniekąd niesamowitą ze względu na jej odmienną naturę. Naprzykład: wieśniaczki starzeją się przeważnie bardzo wczesnie, zaś O-Juki, mimo, iż była matką dziesięciorga dzieci, wyglądała tak młodo i świeżo, jak tego dnia, gdy przybyła do wsi.

Pewnego wieczoru, kiedy dzieci poszły już spać, O-Juki siedziała, szyjąc przy świetle lampy. Minokiczi, który się jej przyglądał, odezwał się naraz:

— Kiedy cię tak tu widzę szyjącą, z tą oświetloną twarzą, myślę o dziwnem zdarzeniu, jakie zaszło, jak miałem lat osiemnaście. Widziałem wówczas ko-

gość tak pięknego a białego zarazem, jak ty jesteś dzisiaj—i, doprawdy, ty jesteś bardzo do niej podobna.

Nie odrywając oczu od szycia, O-Juki odpowiedziała:

— Opowiedz mi coś o niej... Gdzie ją spotkałeś?

A wówczas Minokiczi opowiedział jej wszystko, co widział podczas strasznej nocy w chatce przewoźnika i o białej pani, która pochylała się nad nim, uśmiechając się i szepcząc o cichej śmierci Musako.

— Czy mi się to śniło, czy może było to na jawie, wtenczas pierwszy i ostatni raz widziałem istotę tak piękną, jak ty. Prawda, ona nie była z krwi i kości, ja się jej bałem — bardzo bałem. Ale ona była taka biała!... Doprawdy, wciąż jeszcze nie jestem pewny, czy to był sen, czy też ja naprawdę widziałem wówczas kobietę śniegów...

O-Juki rzuciła na ziemię robótkę, zerwała się i, pochylivszy się nad siedzącym na podłodze Minokiczi, krzyknęła mu w twarz:

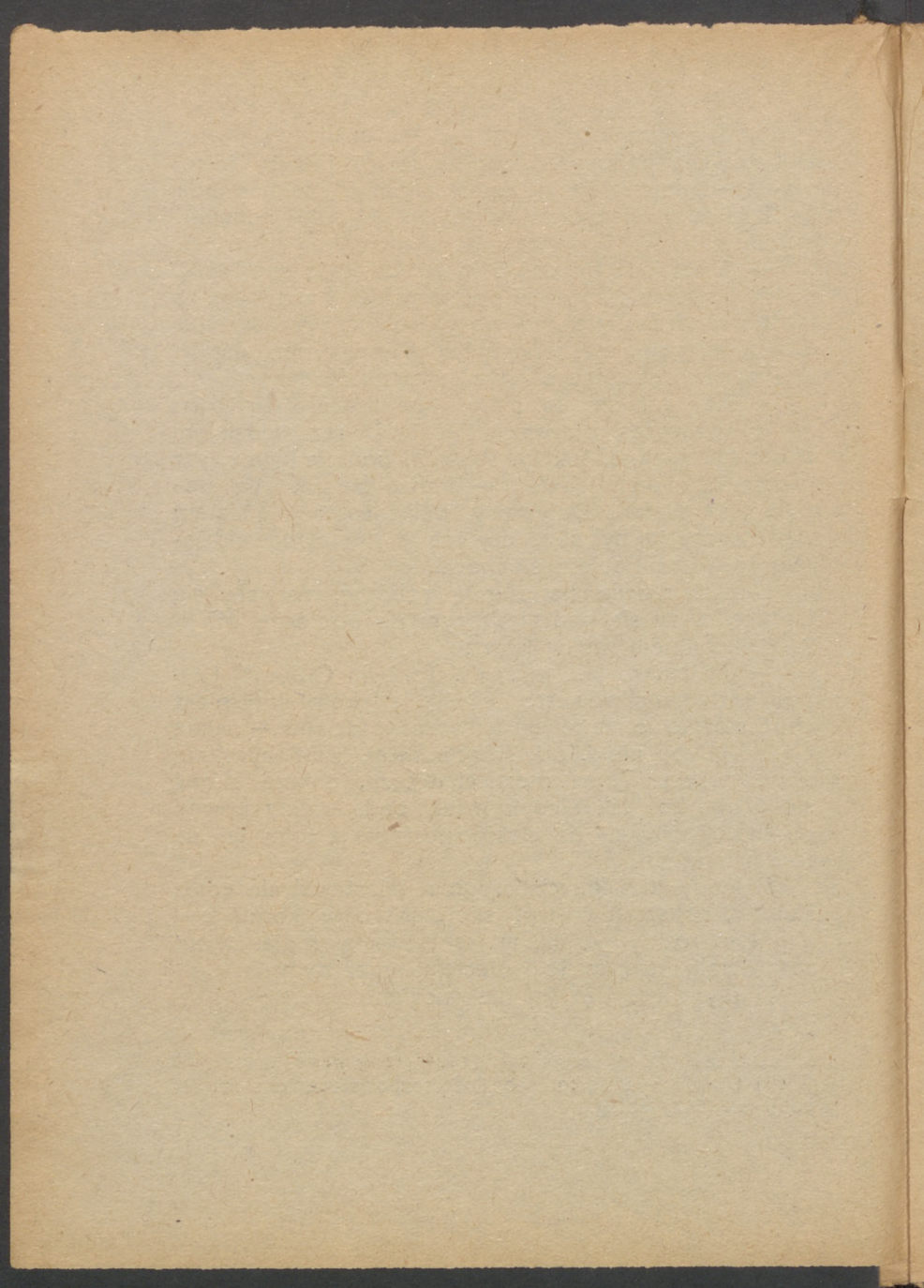
— To byłam ja... ja... ja... To była O-Juki*) i zapowiedziałam ci wówczas, że jeśli kiedykolwiek piśniesz choć słówko o tem, co wówczas widziałeś — zabiję cię... I gdyby nie dzieci, śpiące tutaj, zabiłabym cię z pewnością. Teraz radzę ci dobrze, dobrze starać się o nie, bo jeśli kiedykolwiek będą miały powód do uskarżania się na ciebie, postąpię z tobą, jak na to zasługujesz!

A kiedy tak krzyczała, głos jej stawał się coraz słabszy, nakształt wiatru, skomlącego w kominie — a potem rozplynęła się w jasną, białą mgłę, która zawirowała ku powale i uleciała przez dymnik.

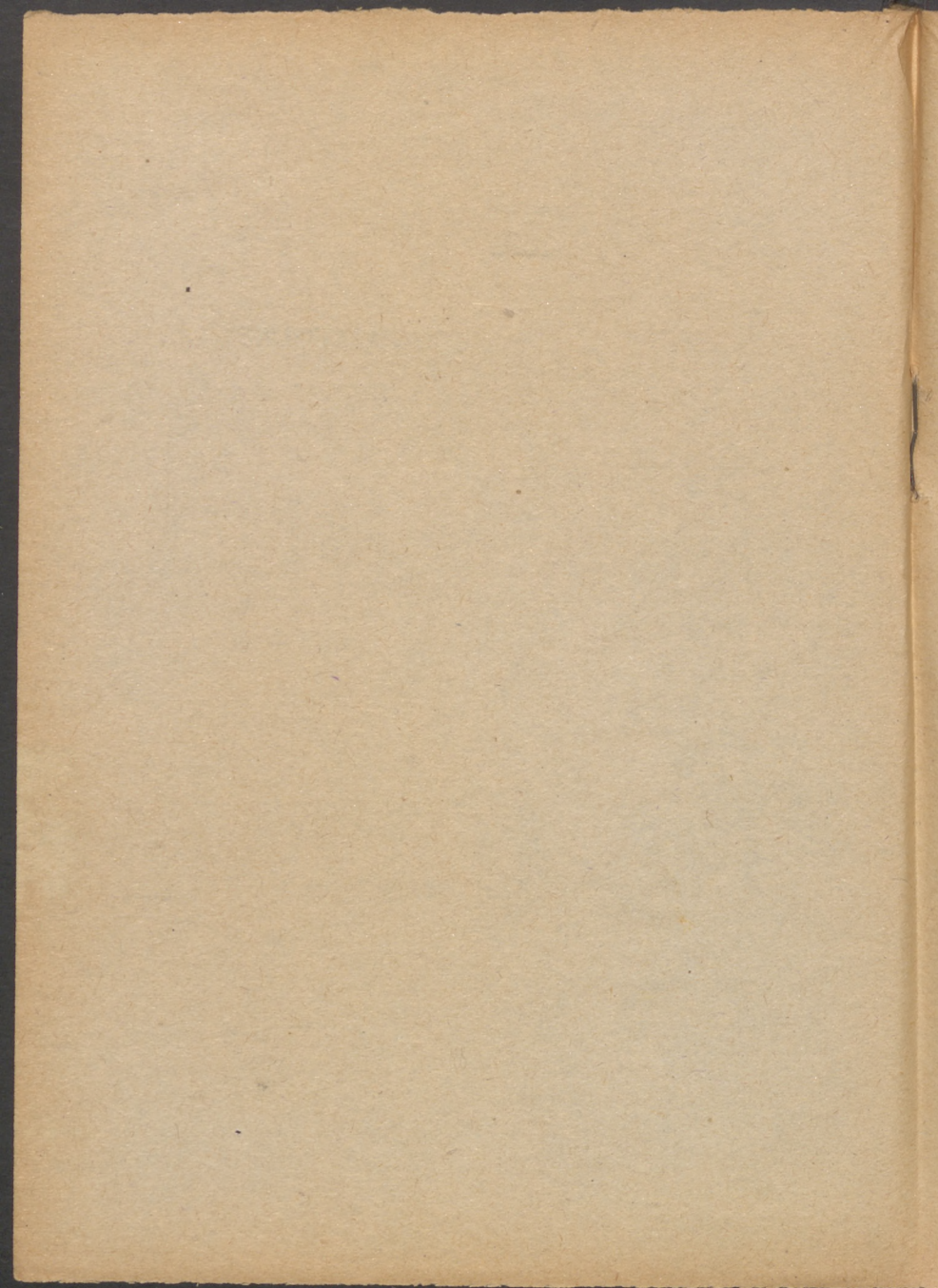
Nigdy więcej już jej nie widziano...

(Kwajdan).

*) O-Juki — imię kobiece, dość rozpowszechnione w Japonji — znaczy śnieg.



SEN AKINOSUKE



W okręgu, zwanym Toiczi, w prowincji Jamato, mieszkał szlachcic zaściankowy, nazwiskiem Mijata Akinosuke. W ogrodzie Akinosuke rośło wielkie stare drzewo cedrowe, w cieni którego zwykł by, drzemać w upalne dnie. Pewnego, bardzo upalnego południa, siedział pod tem drzewem z dwoma przyjaciółmi, zaściankowymi szlachcicami, jak i on, gawędząc i popijając wino, gdy naraz uczuł się bardzo sennym, tak sennym, że, przeprosiwszy swych przyjaciół, poprosił ich o pozwolenie zdrzemnięcia się w ich obecności. A kiedy legł u stóp drzewa, miał sen następujący:

Śniło mu się mianowicie, że, leżąc w swym ogrodzie, ujrzał naraz orszak, podobny do świty wielkiego *daimja*, schodzący z najbliższego wzgórza tak, że mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Był to bardzo wielki orszak, znacznie większy, niż wszystkie, które dotychczas widział—cała ta procesja szła prosto ku jego sadybie. W orszaku tym zauważył wielką liczbę bogato przybranych młodych ludzi, którzy ciągnęli obszerne karocę dworską z laki, tak zwaną *goszo guruma*, strojną w jasnoblękitny jedwab. Orszak, znalazłszy się w niewielkiej odległości od jego domu, zatrzymał się i jegomość jakiś, w bogatym

stroju—najwyraźniej nie byle jaki dostojnik—podszedł ku Akinosuke i, złożony mu głęboki pokłon, przemówił:

— Czcigodny panie, oto stoi przed wami wasal Kokuo z Tokojo*). Król mój i pan, poleciwszy mi powitać was, w swem dostojnem imieniu, kazał mi oddać się zupełnie na wasze rozkazy, polecił mi także zawiadomić was, że raczy życzyć sobie, abyście się stawili w jego pałacu. Racztwie, wobec tego, natychmiast zająć miejsce w tej honorowej karocy, jaką przysłał do waszych usług.

Usłyszawszy te słowa, Akinosuke chciał w pierwszej chwili godnie odpowiedzieć, był jednak tak zdumiony i zmieszany, że brakło mu słów; — w tej samej chwili stracił wszelką wolę, tak, że mógł zrobić tylko to, czego sobie życzył wysłaniec. Wsiadł do karocy, a dworzanin, usiadłszy przy nim, dał znak, a pacholcy, chwyciwszy jedwabne sznury, zwrócili wielki pojazd na południe, i tak zaczęła się podróż.

Ku wielkiemu zdumieniu Akinosuke, karoca, po bardzo krótkim czasie, zatrzymała się przed wielkimi wrotami w chińskim stylu, których on jednak dotychczas nigdy nie widział. Tu dworzanin wysiadł, mówiąc:

— Idę obwieścić przybycie waszej wielmożności! — rzekłszy, zniknął.

Po chwili oczekiwania, Akinosuke ujrzał, zbliżających się od bramy, dwóch dostojnie wyglądających mężów, w szatach z purpurowego jedwabiu

*) Słowo „z Tokojo” ma nieokreślone znaczenie, stosownie do okoliczności, może oznaczać jakiś nieznany kraj—nieznane strony, z których żaden podróżnik nie wraca — lub też kraj baśni dalekiego wschodu — tak zwane królestwo Horai. Określenie „Kokuo” — znaczy władca danego kraju, stąd też król w oryginale, „Tokojo no Koku”, możnaby przetłumaczyć „władca Horai” — czyli „Król kraju baśni”.

I wysokich czapkach, których sam kształt świadczył o ich wysokiej godności i dostojności. Pokłoniwszy się mu z szacunkiem, pomogli mu wysiąść z karocy i poprowadzili go, przez wielkie wrota i ogromny ogród, do bramy pałacu, którego front zdawał się rozciągać na całe mile ku wschodowi i zachodowi. Akinosuke wprowadzono do sali przyjęć, wspaniałych proporcji i niesłychanego przepychu.

Przewodnicy usadowili go na honorowym miejscu, sami zaś usiedli naboku, podczas, gdy dziewczęta służebne w uroczystych szatach obnosiły napoje chłodzące. Kiedy Akinosuke odświeżył się trochę, dwaj dworzanie w purpurowych szatach złożyli mu pokłon i zwrócili się do niego z przemową, mówiąc naprzemiennie, stosownie do etykiety dworu:

— Mamy zaszczyt poinformować was o przyczynie zawezwania was tutaj. Nasz król i pan raczy sobie życzyć, abyście się stali jego zięciem a, stosownie do jego życzenia i rozkazu, macie się dziś zaraz ożenić, zaślubiając dostojną księżniczkę, jego córkę. Za chwilę zaprowadzimy was do sali tronowej, gdzie jego majestat już was oczekuje... przedtem jednak, trzeba będzie przebrać was w szaty, odpowiednie do uroczystości*).

Rzekłszy to, obaj dworzanie powstali i poprowadzili go do alkowy, w której stała wielka szafa, pokryta połączoną laką. Otworzywszy szafę, wyjęli z niej przeróżne szaty i pasy z przepysznych materij, a prócz tego *kamuri*, czyli królewskie nakrycie głowy. We wszystko to przystroili Akinosuke, jak przystało na narzeczonego księżniczki, poczem zaprowadzono go do sali tronowej, gdzie stanął przed obliczem Kokuo-

*) Obaj dworzanie mówili dotychczas naprzemiennie, ostatecznie zdanie jednak wypowiedzieli równocześnie. Cały ten ceremoniał można obserwować dziś jeszcze w japońskim teatrze.

Stokajo, siedzącego na tronie w wysokiej, urzędowej, czarnej czapce i w szatach z żółtego jedwabiu. Przed tronem, po lewicy i prawicy, siedziało, stosownie do rangi, całe mnóstwo dostojników, nieruchomych a wspaniałych, jak posągi w świątyni. Zaś Akinosuke, krocząc pomiędzy nimi, złożył królowi, należny mu, trzykrotny pokłon. Król powitał go łaskawymi słowy, poczem rzekł:

— Powiadomiono już was o przyczynie wezwania was przed nasze oblicze. Postanowiliśmy, iż macie pozostać adoptowanym małżonkiem naszej jedynej córki — zaś ceremonia odbędzie się natychmiast.

Kiedy król skończył mówić, dały się słyszeć dźwięki wesołej muzyki, w takt której długi orszak pięknych dam dworu wypłynął z poza zasłony, aby poprowadzić Akinosuke do sali, w której go oczekiwała oblubienica.

Mimo, że sala była olbrzymia, z trudnością mogła pomieścić tłum gości, którzy mieli być świadkami zaślubin. Kiedy Akinosuke ukląkł na przygotowanej dla siebie poduszce naprzeciw królowej, wszyscy złożyli mu pokłon. Królowa wyglądała jak niebianka, a szaty jej były piękne, jak niebo w czasie lata. Ślub odbył się wśród wesołej wrzawy. Po dopełnieniu obrzędów, odprowadzono młodą parę do komnat, przygotowanych w osobnej części pałacu; a tam przyjmowali życzenia mnóstwa dostojnych osobistości oraz prezenty ślubne bez liku.

W kilka dni później, wezwano Akinosuke znowu do sali tronowej. Przyjęto go tu jeszcze łaskawiej niż przedtem, a król w ten sposób odezwał się do niego:

— W południowo zachodniej stronie naszego państwa znajduje się wyspa Raiszu. Mianowaliśmy was wielkorządcą tej wyspy. Lud tamtejszy jest wierny i posłuszny, ale prawa jego nie są należycie ujedno-

stajnione z prawami Tokojo, a zwyczajów jego odpowiednio jeszcze nie uregulowano. Powierzamy wam obowiązek udoskonalenia ich bytu społecznego, o ile tylko to się da, i pragniemy, abyście zarządzili nimi łaskawie i roztropnie. Wszystkie niezbędne przygotowania do podróży na Raiszu zostały poczynione, tak, że możecie się udać w drogę natychmiast.

Tak więc Akinosuke opuścił, wraz z małżonką, pałac w Tokojo i, odprowadzany przez wielką świętą szlachty i urzędników, udał się do przystani, gdzie wsiadł na statek państwowy, dostarczony i wyekwirowany przez króla. Dzięki sprzyjającym wiatrom, bezpiecznie wylądowali w Raiszu, której wierni mieszkańcy zebrali się na wybrzeżu, aby ich powitać.

Akinosuke natychmiast przystąpił do wykonywania swych obowiązków, które jednak, jak się okazało, nie były nazbyt ciężkie. Przez pierwsze trzy lata swojego panowania zajmował się głównie układaniem i spisywaniem praw, ponieważ jednak miał ku pomocy mądrych doradców, zadanie to nie sprawiło mu trudności. Kiedy to ukończył, nie miał już żadnych innych obowiązków, jak tylko przestrzeganie obrzędów i ceremonij, podyktowanych starym zwyczajem. Kraj był tak zdrowy i żyzny, że nie znano ani chorób, ani nędzy, a lud był tak zacny, że nie zdarzyło się, aby ktoś przestąpił prawo. Tak Akinosuke mieszkał na Raiszu i władał jeszcze dwadzieścia lat — razem dwadzieścia trzy lata, podczas których najmniejszy cień nie padł na jego życie.

Zato w dwudziestym czwartym roku panowania spadło na niego wielkie nieszczęście; albowiem żona jego, która obdarzyła go siedmiorgiem dzieci, pięciu chłopcami i trojgiem dziewczątek, rozchorowała się i umarła. Pochowano ją uroczyście, na szczycie pięknego wzgórza, w powiecie Hanrijoko, a na gro-

bie jej wzniesiono wspaniały nagrobek. Ale po jej śmierci Akinosuke ogarnął taki żal, iż zupełnie nie zależało mu na życiu.

Naraz, jak tylko minął czas dworskiej żaloby, przybył na Raiszu z Tokojo *szisza*, czyli kurjer królewski. *Szisza* wręczył Akinosuke list z kondolencją, poczem przemówił w następujące słowa:

— Oto co nasz dostojny pan, król Tokojo, rozkazał mi wam powtórzyć; odeślemy was teraz do waszego własnego ludu i kraju. Co się tyczy waszych siedmiorga dziedziców, są to wnukowie i wnuczki króla, które będą miały należytą opiekę. To też raczcie się nie martwić ich dołą.

Otrzymawszy tę wiadomość, Akinosuke posłusznie zaczął się przygotowywać do odjazdu. Kiedy wszystkie jego sprawy były już uporządkowane, a pożegnania z wiernymi radcami i zaufanymi urzędnikami skończyło się, odprowadzono go z wszelkimi honorami do portu. Tam wsadzono go na przygotowany dla niego statek, Statek wypłynął na błękitne morze i pożeglował pod błękitnym niebem i wkrótce kontury samej wyspy Raiszu zbłękitniały, aż wreszcie znikły na wieki... A wtedy Akinosuke zbudził się naraz — nod drzewem cedrowym, w swym własnym ogrodzie...

W pierwszej chwili patrzył przed siebie osłupiały, ale ujrzał znów swych dwóch dobrych przyjaciół, siedzących wciąż koło niego, pijących i gawędzących wesoło. Przypatrywał się im w zdumieniu, a potem wykrzyknął głośno:

— Co za dziwna historia?!

— Akinosuke musiało się coś przyśnić! — wykrzyknął jeden z jego przyjaciół z uśmiechem — powiedz, Akinosuke, cóż to było tak dziwnego...

Akinosuke opowiedział im swój sen — sen o dwudziestotrzyletnim pobyciu w Tokojo, na wyspie Raiszu,

a oni dziwili się bardzo, bo w rzeczywistości on spał zaledwie parę minut.

Jeden ze szlachty rzekł:

— Co tu gadać, widzieliście dziwa nielada. Ale i my też widzieliśmy coś niezwykłego, kiedyście wy chrapali. Przez jakiś czas latał nad waszą gębą mały, żółty motylek; przyglądaliśmy się mu, bo nie wiedzieliśmy co robi. Usiadł na ziemi przy was, tuż przy drzewie, a jak tylko tam siadł, wyrwała się skądś taka wielka, wielka mrówka, chwyciła go i wciągnęła do swej dziury. Ale w sam raz, kiedyście się obudzili, motyl znowu z dziury wydarł i zaczął latać nad waszym pyskiem. A potem nagle zginął; nie wiemy gdzie się podział.

— A może to była dusza Akinosuke?—zapytał drugi szlachcic — jabył przysięgł, że ten motyl wleciał mu prosto do pyska... Ale gdyby nawet ten głupi motyl był duszą Akinosuke, to jeszcze wcale jego snu nie tłumaczy.

— Trzeba się spytać mrówek — odpowiedział pierwszy szlagon — mrówki to dziwne stworzonka, kto wie, czy nie jakie duchy... A nuż pod tem drzewem jest jakie wielkie mrowisko?..

— Zaraz zobaczymy! — wykrzyknął Akinosuke, zaniepokojony tym pomysłem.

To rzekłszy, pobiegł po łopatę.

Istotnie, ziemia dokoła cedru i pod nim była w niesłychany sposób wyżłobiona przez olbrzymią kolonję mrówek. Mrówki rozbudowywały się wciąż dalej w jej wyżłobieniach, a ich budowle, wzniesione z trawy, gliny i żdziebeł, miały wygląd dziwnych mjał. W ńrodku zabudowań, znacznie obszerniejszych niż inne, widać było olbrzymi rój malutkich mrówek dokoła ciała wielkiej mrówki, która miała złociste skrzydła i długą, czarną głowę.

— Cóż znowu? Wszak to król z mego snu! —

wykrzyknął Akinosuke -- a tu oto znajduje się pałac Tokojo. Dziwna rzecz... Raiszu powinnyby leżeć gdzieś na południowy zachód stąd -- po lewej stronie tego wielkiego korzenia, ależ oczywiście! -- oto Raiszul... Dziwne, doprawdy dziwne, teraz już pewny jestem, że znajdę górę Hanrijoko i grób mojej księżniczki.

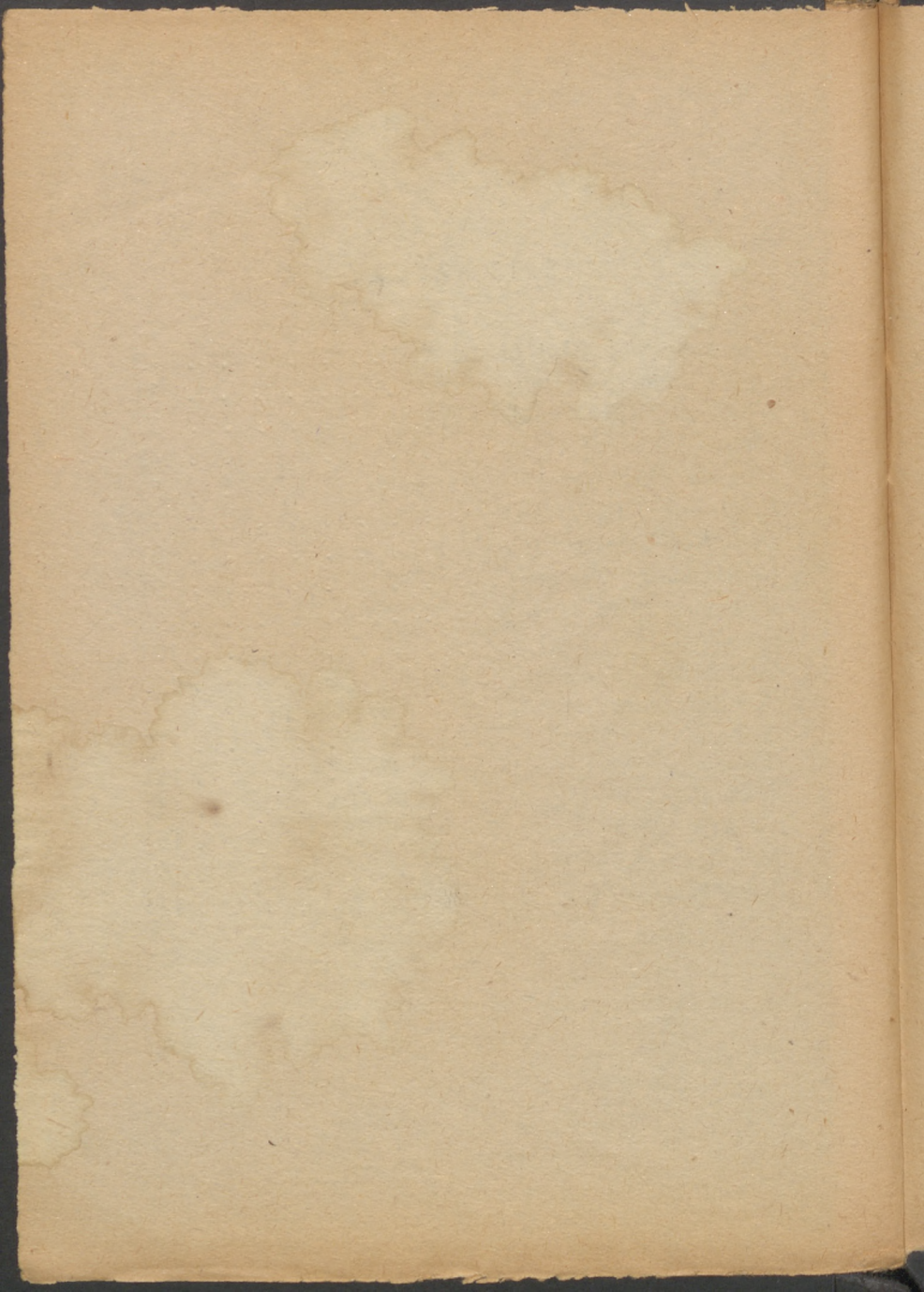
I tak szukał w śmietniku mrowiska i szukał, aż wreszcie odnalazł jakiś mały kanalik, nad którym, na jakimś pagórku, znajdował się spaczony przez wodę kamyczek, przypominający kształtem pomnik Byddy. A pod nim w glinie leżała martwa mrówka.

(Kwajdan).

K O N I E C

SPIS RZECZY:

	str.
<i>Czerwony ślub</i> (Out of the East)	3
<i>Dyplomacja</i> (Kwaidan)	31
<i>Historja O-Tei</i> (Kwaidan)	37
<i>Kimiko</i> (Kokoro)	43
<i>Historja Mimi-Naszi-Hoiczi</i> (Kwaidan)	59
<i>Rokuro-Kubi</i> (Kwaidan)	73
<i>Dżiju-Roki-Dzakura</i> (Kwaidan)	87
<i>Ubadzakura</i> (Kwaidan)	91
<i>Dzikininki</i> (Kwaidan)	95
<i>Riki-Baka</i> (Kwaidan)	103
<i>Pośmiertna tajemnica</i> (Kwaidan)	109
<i>Powtórne narodziny Kacugoro</i> (Gleaings in Budda-Fields)	115
<i>Historja Aojagi</i> (Kwaidan)	131
<i>Żywy Bóg</i> (Gleaings in Budda-Fields)	145
<i>Haru</i> (Kokoro)	157
<i>Juki-Onna</i> (Kwaidan)	167
<i>Sen Akinosuke</i> (Kwaidan)	175



PRENUMERATA

Książek Biblioteki Groszowej.

Od kilku miesięcy, t. j. od czasu wydzielenia **Biblioteki Groszowej** w odrębną organizację wydawniczą i księgarską, Biblioteka przekształcona została w tygodniowe, stałe, regularnie ukazujące się wydawnictwo, jednając sobie popularność do tego stopnia, że sporo tomów już w pierwszych nakładach zaraz po ukazaniu się było wyczerpane i wielu Czytelników, szczególnie prowincjonalnych, nie mogło otrzymywać brakujących już tomów, przeto podajemy **warunki prenumeraty**, która wynosi:

Kwartalnie (12 do 13 tomów); w Warszawie bez odnoszenia **Zł. 9 gr. 95**, z przesyłką pocztową **Zł. 11 gr. 95**.

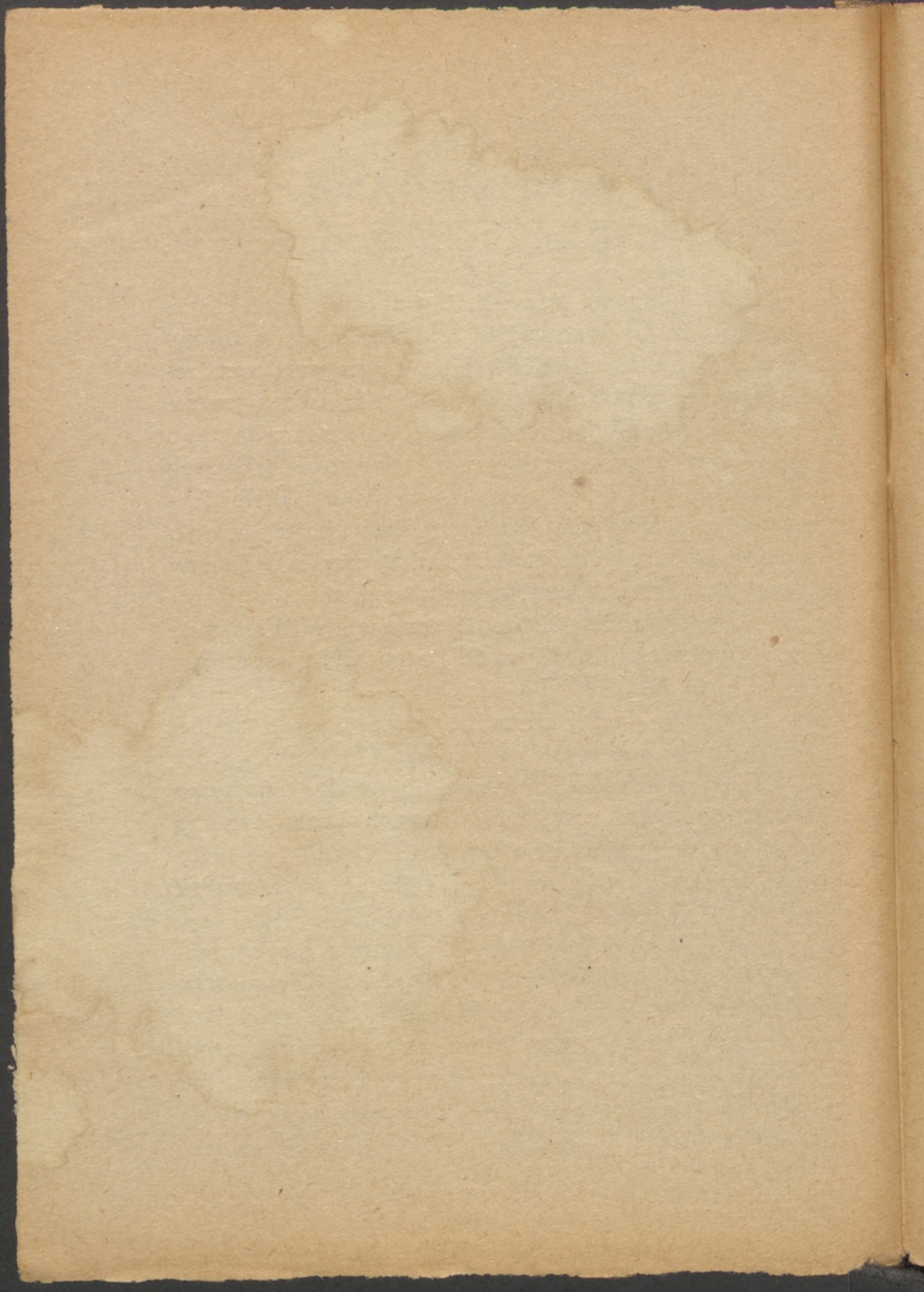
W pojedynczej sprzedaży cena 12—13 tomów bez przesyłki pocztowej wynosi **Zł. 11,40 do 12,35**.

Dotychczasowa numeracja podaną była tylko dla dogodności przy zamówieniach i nie oznacza kolejności pojawienia się książek.

Prenumeratę prosimy wpłacać na rachunek w **P. K. O. Nr. 11140**.

Wszelką korespondencję, związaną z prenumeratą, prosimy adresować: **Biblioteka Groszowa w Warszawie, ul. Moniuszki Nr. 11, m. 1**.

Dotychczasowi prenumeratorzy celem nie utrudniania Administracji ekspedycji, otrzymywać będą należące się jeszcze tomy — tylko z ukazujących się z druku tomów kolejno.



List zwrotny
DO BIBLIOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie

Moniuszki II. m. I.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygo-
dniowego

Biblioteka Groszowa

Należność za kwartał:

Bez przesyłki Zł. 9 gr. 95

Z przesyłką pocztową Zł. 11 gr. 95

{ Wiersz nie-
potrzebny
przekreślić.

jednocześnie przesyłam przekazem (P. K. O.
Nr. 11.140).

Imię i nazwisko.....

.....

Adres

.....

.....

Zamówienie

Do

Biblioteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.

Biblioteka Przygód Romantycznych



W bibliotece tej ukaże się w kolejnym porządku cykl powieści **Aleksandra Dumasa** (ojca)

Pamiętniki Lekarza

Józef Balsamo (Cagliostro)

Naszyjnik Królowej

Anioł Pitoux

Hrabina de Charny

Kawaler de Maison Rouge.

Cena 1 tomu w barwnej okładce St. Norblina **95 gr.**

Prenumerata kwartalna z przesyłką pocztową

zł. 9 gr. 50.

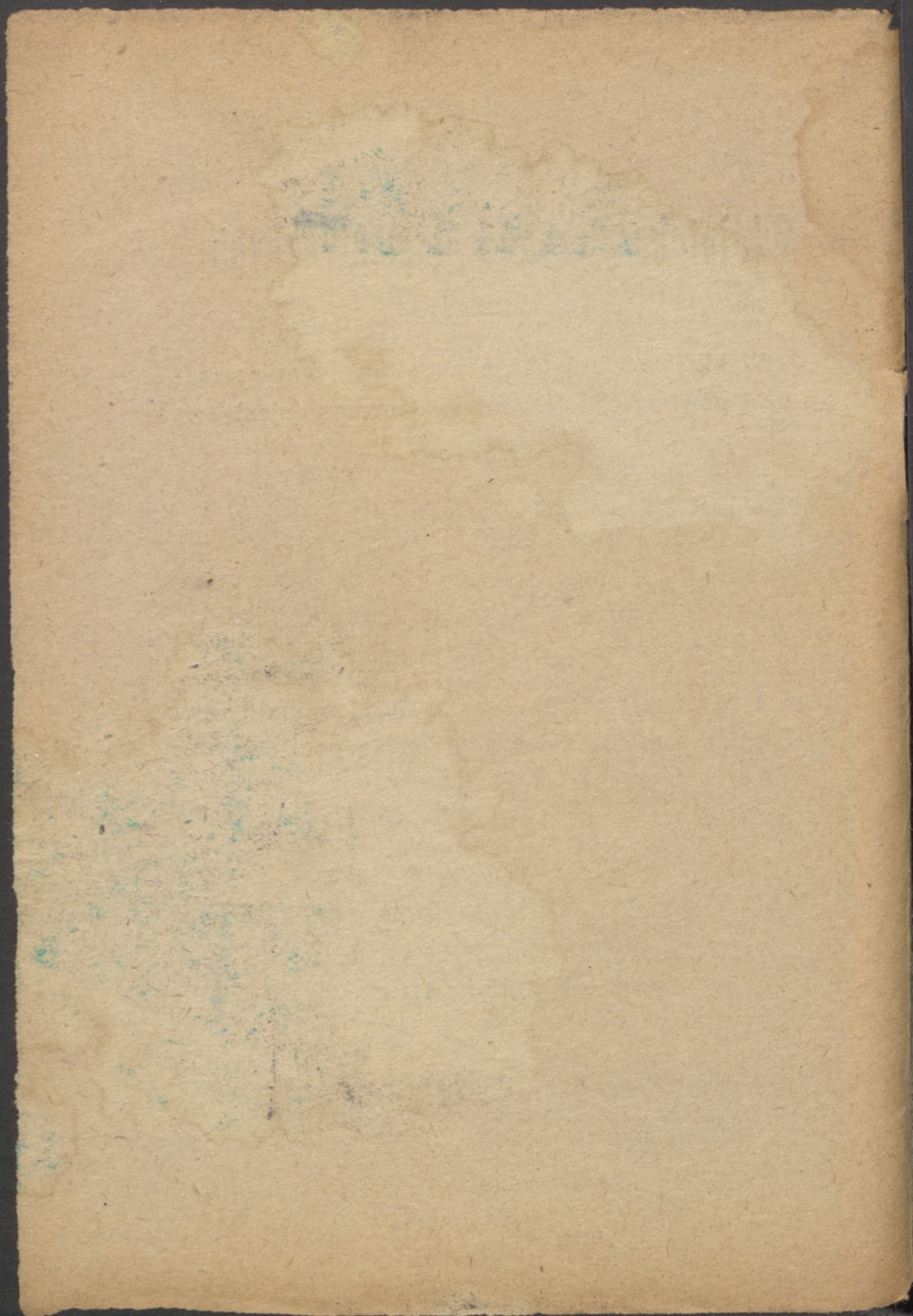
Wychodzi w odstępach tygodniowych — co sobotę.

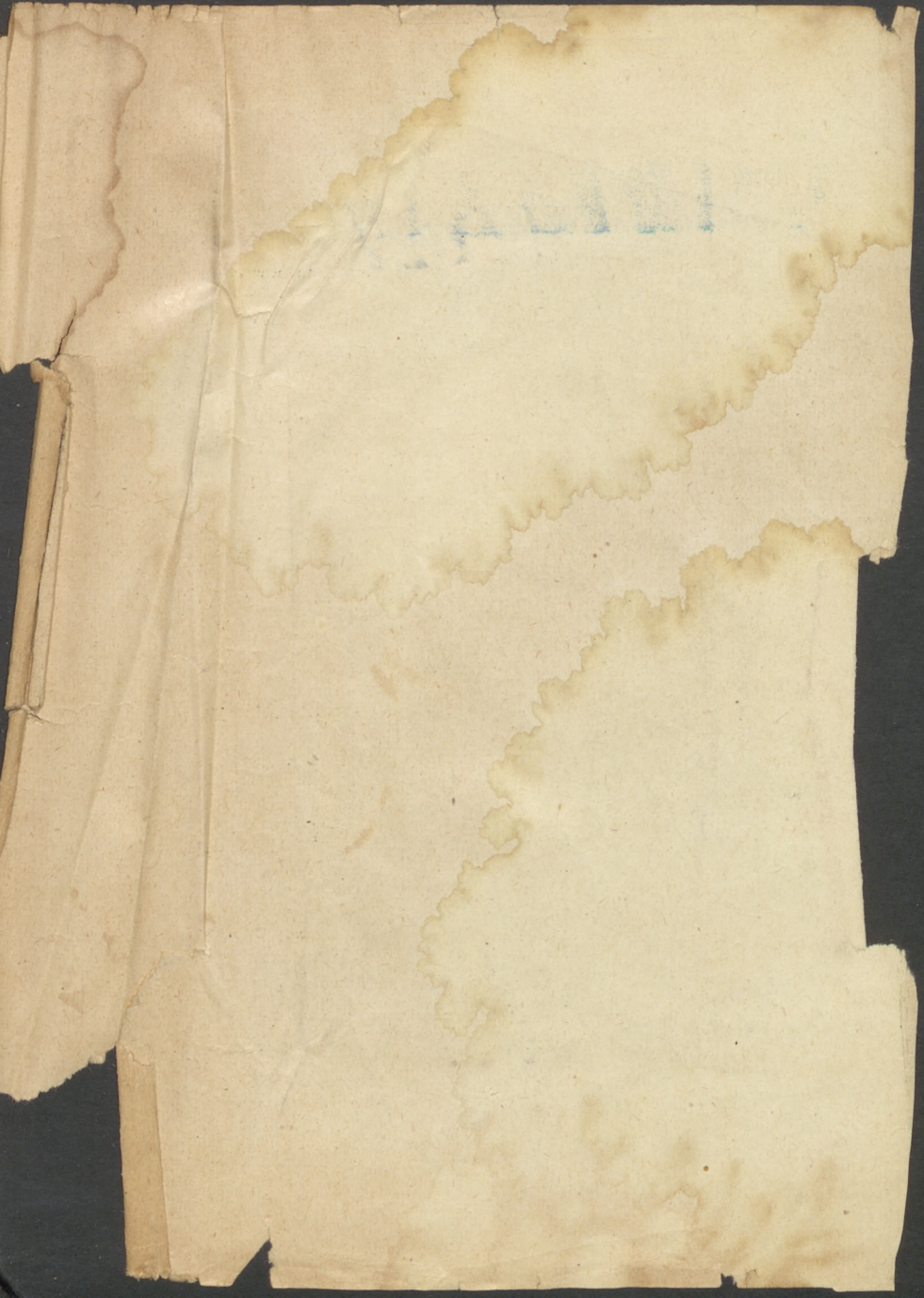
—— Nabywać można ——

BIBLIOTEKA GROSZOWA Sp. z ogr. odpow.

Warszawa, ul. Moniuszki 11, m. 1.

Konto w P. K. O. Nr. 111-40.





BIBLIOTEKA GROSZOWA.

1. *London J.* Na Szlaku.
2. — Opowieści Mórz Południowych.
3. — Syn Słońca.
4. — Zew Krwi.
5. *Dygasiński A.* Z pod ciemnej gwiazdy.
6. *Maupassant G.* Miłość.
7. — Panna Fifi.
8. *Tetmajer-Przerwa K.* Waterloo.
9. — Gra Fal.
10. *Kraszewski J. I.* Hrabina Cosel t. I.
11. — — t. II.
12. — Ostatni z Siekierzyńskich.
13. *Dumas A.* (syn). Dama Kameljowa.
14. *London J.* Wyga.
15. *Twain Mark.* Król i Osiol.
16. *Winawer B.* Lepsze czasy.
17. *Dickens K.* Opowieść wigilijna.
21. *Wells G. H.* Wehikuł czasu.
22. *Korzeniowski J.* Spekulant.
23. *Dygasiński A.* Złamane Życie.
24. *Grubiński W.* Nowele.
25. *London J.* Prawo białego człowieka.
26. *Gallet.* Przygody Cyrana de Bergerac t. I.
27. — — t. II.
33. *Ligocki E.* Powrót Beatryczy.
36. *London J.* Serce kobiety.
- 37, 38, 39. — Wilk morski.
40. — Odyssea Północy.
41. — Przygody w zatoce San Francisco
42. — Bóg Ojców Jego.

W DRUKU:

- London J.* Odszczepieniec.
Maupassant. Kulka Łojowa.
 — Szalony.
 — W pewnym lokalu
Daudet. Mały (Le Petit Chose).
 — Przygody Tartarena
Dygasiński A. Upośledzeni i wybrani.
Cottrud J. Tajfun.
Dzikowski St. Gracz.
Clifford. Wyprawa po Złote Runo.
Tetmajer-Przerwa. Romans Panny Opolskiej
Dygasiński A. Co lepsi, gina.
Zola Emil. Marzenie.
Gomulicki W. Siódme Amen.
Klęszczyński Zdz. W latarni.
Lafcadio Hearn. Czerwony ślub.
Colderon V. G. Zemsta Kondora.
Erculan-Chatrian. Opowieści Alzackie.

od [illegible]